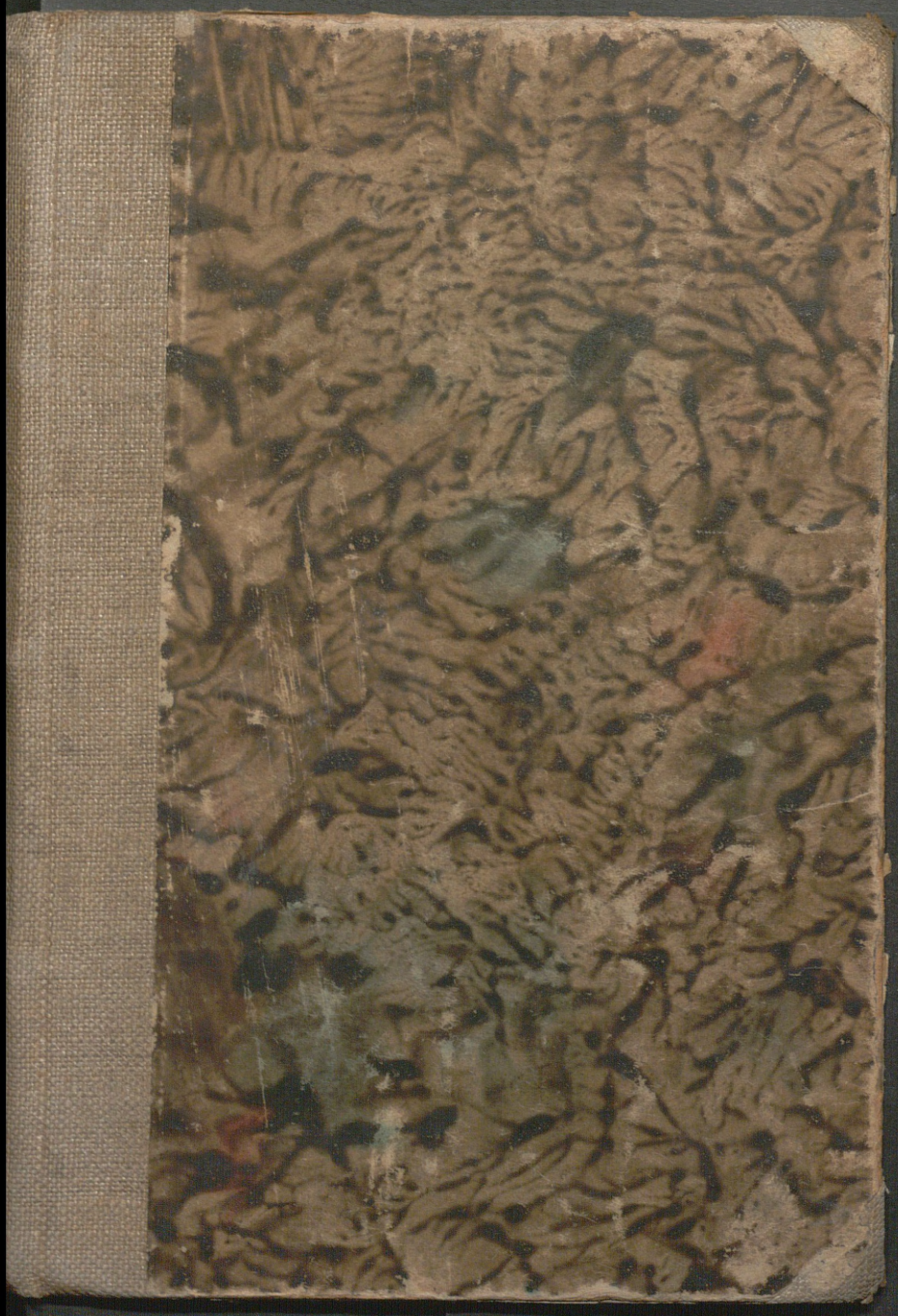
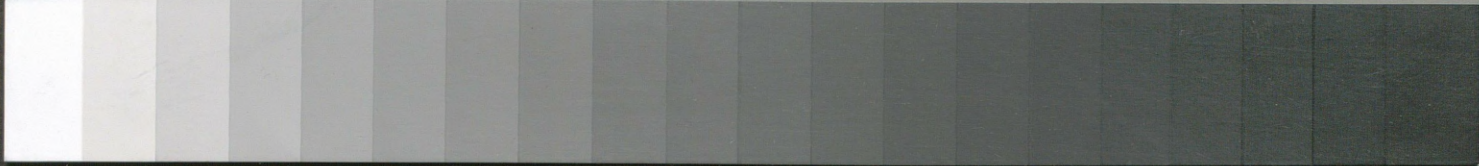


Grey Scale #13

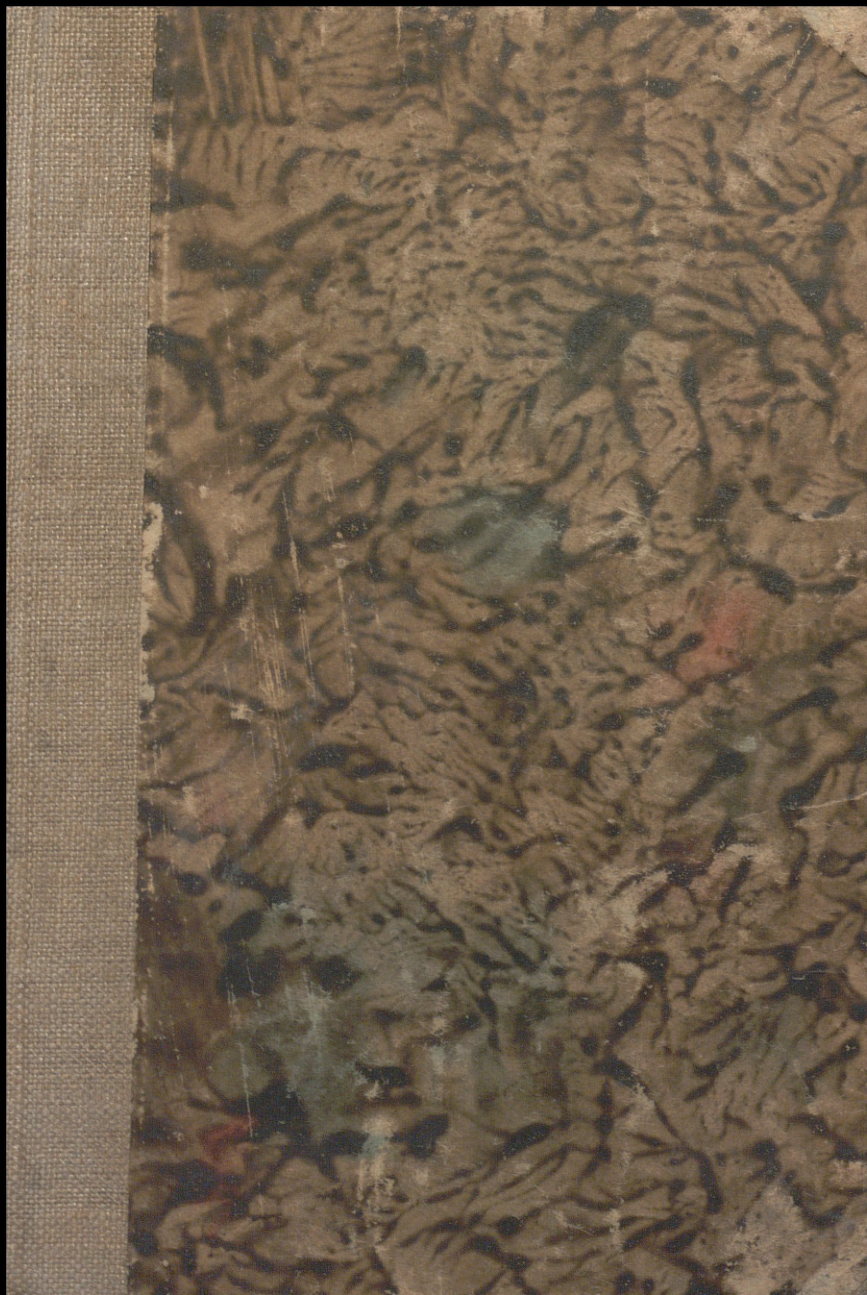


A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



Colour Chart #13





Anna Neumanowa.

XVI
OBRAZY

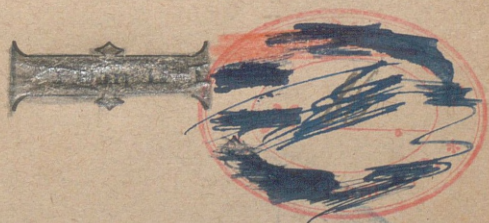
Z życia na Wschodzie.

(Rumunia — Bułgaria — Egipt — Grecya.
Baśnie i legendy wschodnie.)

Z PRZEDMOWĄ

J. A. Święcickiego.

(Z ilustracjami).



WARSZAWA.

DRUKARNIA

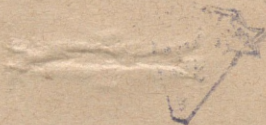
Granowskiego i Sikorskiego.

47. Nowy-Świat 47.

908 : 884-4

Дозволено Цензурою.
Варшава, 13 Апрѣля 1899 года.

4207/1



ROZDZIAŁ VIII.

Nil i legendy o nim. — Starożytne obrzędy. — Wyspa Rhodah. — Klimat Egiptu. — Chamsin.

Dwoma ramionami, niby uściskiem ojcowskim, opasuje Nil zielone niwy Deltę. Silną swą pierśią rozrywając skwarne piaski pustyni i granitowe ściany górnego Egiptu, niesie on zdala, z jezior zwrotnikowych, z kolebki swej tajemniczej, bogactwo i życie tej ziemi, co z łona jego przed wiekami stworzona, po dziś dzień sse jego wody, jakby pierś mleczną.

I nie tylko sama ta kraina starożytna powstała z namotu, przez rzekę naniesionego; dawni Egipcjanie, uważając siebie samych za praojców ludzkości, wierzyli, iż pierwszy człowiek stworzony został z ziemi falą Nilu zroszonej, z zaślubin życiodajnej fali ze złotem słońcem, z bożkiem niebios, Horusem.

Cześć dla tej świętej błogosławionej rzeki przechodziła z pokolenia w pokolenie, z narodu na naród, po dziś dzień Arabowie przysięgają na Nil i falom jego cudotwórczą przypisują władzę.

Dziwna bo to rzeka i innym prawom podległa niż wszystkie rzeki świata. Przez długie wieki szukano napróżno jej źródeł; według baśni arabskich, niały się one znajdować w górach Księżycowych, przy zdrojach wiecznej młodości i wiecznego życia.

Straszne potwory strzegły tych źródeł i nikt dojść nie mógł do nich bezkarnie. Inne podania wierzyć kazały, iż Nil wypływa z nieznanego ziemskiego raju, który niedostępny śmiertelnym, w krajach zwrotnikowych się znajduje. Arabowie twierdzą, że ryby nilowe są dlatego smaczne ¹⁾, iż żywią się liśćmi z drzew rajszych, które woda czasem przynosi.

W najnowszych czasach poczynione odkrycia dowiodły, jak wiemy, że Nil biały jest wypływem dwóch, a raczej, według zdania Stanleya, trzech jezior w równiku się znajdujących, t. j. jeziora Ukerewe (Wiktorya Njanza), Albert Njanza i Edward Njanza ²⁾; wypływające z jezior tych strumienie, łączą się z Nilem niebieskim, z Abisynii płynącym koło Kartumu, w jedną rzekę. Odtąd żaden poboczny strumień, żadna inna rzeka nie zasila wód Nilu, sam sobie zawdzięcza on swą wielkość i siłę; zwężony nieco koło katarakt, rozlewa się wspaniale na płaszczynach Egiptu, tak, iż koło Kairu dochodzi szerokość rzeki do 1000 metrów. Tu jednak rzeka, jak mówiłam, dzieli się na dwa ramiona, a przytem tak liczne kanały zasila swemi wody, iż przy ujściu swem do morza wydaje się niewielkim strumieniem.

Wylew Nilu nie zakłóca wcale spokoju jego fal i brzegów, przypada on co roku w tymże samym czasie koło połowy sierpnia, woda jednak przybiera bardzo powoli już z wiosną. Przyływ jej zawdzięczamy deszczowej porze, która w Abisynii i w środkowej Afryce w miesiącu kwietniu panuje. Wody jednak wznoszą się powoli, gdyż długą drogę przebyć im trzeba.

Starzy Egipcyanie wierzyli, iż iza jedna bogini

¹⁾ Mojem zdaniem Nil, rybami smaczniejszymi nie może się poszczycić; ryby te są nadzwyczaj tłuste i błotem cuchnące.

²⁾ Zdaniem Stanleya rzeka *Semliki*, z Edward Njanza wypływająca, jest Nilu początkiem (patrz rozdz. o Sudanie).

Izydy, z nieba w fale rzucona, zapładnia rzekę i błogosławieństwo całej krainie przynosi.

Wspomnienie tej legendy przechowało się u dzisiejszych Arabów, gdyż po dziś dzień obchodzą oni w czerwcu święto, zwane „Nocą Izy“ (Leilet-el-nuktah). Tysiące łódek, oświetlonych pochodniami, zjawia się owej nocy na Nilu, a igrzyska ludowe na wybrzeżach trwają do rana.

Od dnia, gdy woda wzbierać zaczyna, zjawia się codziennie na ulicach Kairu „Munadi“, t. j. stróż Nilu, ogłaszający wysokość wody według miary wskazanej nilometrem. Nilometr jest to słup marmurowy, wkopany w rzekę, przy wyspie Khodah, naprzeciw Kairu. Słup ten jest zabytkiem starożytnych wieków Egiptu i znajdować się miał pierwiej powyżej nieco, naprzeciw Memfis. Gdy woda wzbierze po brzegi, co zwykle około połowy sierpnia ma miejsce, n:ntenczas obchodzimy w Kairze starożytną uroczystość: Otwarcia Nilu, t. zw. „Mussim-el-Kalig.

Kalig jest to kanał, prowadzący wodę Nilu wzdłuż miasta do głównego kanału Ismailje, a ztąd na całą Deltę. Kalig oddzielony jest od Nilu wąską, corocznie odnawianą groblą, czyli tamą. Otóż zerwanie tej tamy, wstrzymującej wylew, odbywa się z wielką uroczystością, a obrzędy zachowywane sięgają najdawniejszych czasów Egiptu.

Dnia tegoż (zwykle 15 sierpnia) o świcie już, Munadi przebiega ulice i zatrzymując się przed domami bogatszych baszów i właścicieli ziemskich, woła: „Sławię potęgę Najwyższego, który ziemię rozprzestrzenił i rzeki dał jej szumiące i niwy zielone zbudził do życia. Bóg dał dostatek i nappełnił rzekę po brzegi... skarb jego przepelniony... etc. etc.“ Wyciągając zaś rękę po bakszysz, dodaje zwykle Munadi: „Raj jest przybytkiem hojnych, a piekło czeka skąpca“.

Wnet tłumy ludzi przeciągają przez ulice mia-

sta, skacząc, krzycząc, śpiewając, przy odgłosach fletów i tarabuki.

Wszyscy śpieszą za miasto na szeroki bulwar, nad Kaligiem i Nilem się ciągnący, tuż pod murami starego Tostatu. Na falach rzeki migają łodzie i łódki, wiosłarze wyprzedzają się w biegu, bryzgają wodą, rzucają kwiatami, kołyszą się, wirują, jakby w zręcznym tańcu. W pośrodku, jak królowa, posuwa się zwolna przepyszna dahabija, przystrojona wstążkami i chorągiewkami, wieńcami i lampionami. Pod jej żaglami widna postać kobieca w białych zasłonach i strojach, obwieszona świecidelkami. To narzeczona Nilu! dziś... lalka gliniana, niegdyś jednak była to żywa ofiara, najpiękniejsza dziewczica Kairu, którą, ustrojoną jak do ślubu, rzucono w wezbrane fale dla ubłagania bożka Nilu o szczęśliwy wylew. Bogiem Nilu był u Egipcyan Sebek, przedstawiany w posągach z głową krokodyla lub hipopotama; temu to potworowi poświęcano narzeczoną.

Podanie arabskie mówi, iż pogromca Egiptu Amru zniósł ten barbarzyński zwyczaj, jednakże fale Nilu rozgniewane, iż odmówiono im corocznej ofiary, nie chciały wystąpić z brzegów. Próżne były modlitwy i błagania, Nil nie przybywał i zagrażał nędzą całej krainie. Wtedy zrozpaczony Amru zapytał o radę kalifa swego, Omara.

Omar, obdarzony władzą cudotwórczą, przysłał emirowi swemu następującą odezwę do Nilu:

— Jeżeli sam z siebie czerpiesz siły do swego biegu, to wstrzymaj go; ale jeśli Bóg najwyższy panem fal twoich, to błagamy o to Boga, byś wystąpił z brzegów!

To pismo kazał Omar wrzucić do Nilu i wnet podniosły się fale i zalały spragnione pola.

Odtąd musi się stary Nil zadawałać glinianą narzeczoną, obrzędy jednak i igrzyska ludowe zachowały dawny charakter.

Tancerki, śpiewacy ballad, kuglarze, santoni,

popisują się zręcznością i sztuką na wilgotnym żwirze wybrzeża, przy jaskrawem świetle tysiąca pochodni, zatkniętych na wysokich żerdziach. Lud skacze, ryczy, wyje z radości i śmieje się na całe gardło; ten uśmiech tutejszego ludu jest jedną z oryginalności Egiptu. Tak śmiać się z duszy u nas żaden wyrobnik nie potrafi głośno.

W dzień otwarcia Nilu zabawy trwają przez noc całą; nad samym Kaligiem na szerokim placu rozłożone są bogate, rzęsiso oświetlone namioty dla ministrów i dygnitarzy. Z takiego namiotu patrzyłam na całą uroczystość; przewodniczył jej pierwszy minister, Nubar-basza, zastępując nieobecnego w Kairze wicekróla. On to własnoręcznie rzucił w fale Nilu małą złożoną kartę, zapewne jako wspomnienie owego listu kalifa Omara. U stóp naszych leżała oświetlona pochodniami i lampionami mała grobla, którą rozerwać miano dopiero o świcie.

W dali na Nilu jaśniała w tęczowych światłach dahabia narzeczonej, migwały żagle i wiosła. Wojsko egipskie w świątecznych strojach zalegało plac cały; śniade twarze żołnierzy arabskich przepysznie odbijały od szkarłatnych kofij, które zgrabnie zarzucone i jedwabnemi sznurami nad czołem przewiązane, opadają w jaskrawych fałdach na białe mundury.

Dwie orkiestry przygrywały nam naprzemian to europejskie, to arabskie melodye, przygluszały je jednak tarabuki i flety, śpiewy i dzwonki, krzyki i śmiechy, rozlegające się na wybrzeżu, co wszystko razem tworzyło muzykę i wrzawę piekielną. Od czasu do czasu strzały przerywały ten gwar szalony, a z łodzi na Nilu pływających i u podnóża naszych namiotów ukazywały się ognie sztuczne. Lud witał każdą raketę wyciem i okrzykiem radości. Uciecha ta wzmogła się jeszcze, gdy na rozkaz ministrów rozdano między tłumy cygarety i kawę, słodycze i limoniadę.

Okolo północy opuściliśmy nasz namiot, znu-

rzeni wrzawą, która wzrastała ciągle; o świcie jednak trzeba było powrócić, gdyż właściwa ceremonia zerwania tamy dopiero zrana się odbywa. To też stanąwszy nad Nilem o wschodzie słońca, zastaliśmy już w namiocie naszym grono ministrów i głównego sędziego Kairu (kadi), który jest zarazem religijnym dygnitarzem.

Słudzy jego trzymali przed nim srebrną misę, także puhar i złotem dziergane ręczniki. Kadi umył ręce, według przepisu, i zwrócony ku wschodowi, rozpoczął głośną modlitwę, którą za nim wszyscy powtarzali. „Allahu akbar!” ryczał tłum u stóp naszych i drżał z niecierpliwości, czekając hasła do zaczęcia roboty; nadzy robotnicy stali już na grobli ze wzniesionemi łopatami. Zabrzmiały salwy, rozległ się hymn narodowy: „Selahm Effendinah“ i białą narzeczoną wtrącono w mętne fale, krwawe od wschodzących promieni słońca rannego.

W tejże chwili tłumy nagie rzuciły się na groblę, nie łopatami, ale rękami i zębami rwąc ziemię oślizgłą. Z namiotu ministrowie rzucali garście drobnych monet złotych między ten lud wściekły, upojony rozpustą całonocną. I rozpoczęło się dzikie pasowanie tych ciał nagich, namulem, błotem zbrzydzanych, walka o grosz lub piędziesiąt ziemi. Z wybrzeża coraz to nowi zapaśnicy, młodzieńcy, starcy, dzieci, rzucali się w fale brudne, zgęszczone, spienione. Tu kłęb cały ciał zwitych tonie w namule, szarpiąc się i wyjąc, tam głowa, z włosiem zlepionym błotem, ukaże się nagle, lub ręka skrwawiona chciwie o grosz nowy błaga. Okropny to widok; przypomniał mi obraz jeden z piekła Dantego, ustęp, w którym dusze toną w falach błota, tarzając się w kale namiętności. Ale nietylko chciwość zachęca Arabów do tej niezbyt milej kąpieli w namule Nilu, fanatyczny przesąd gra tu główną rolę; lud wierzy dotychczas, iż ta woda gęsta, namulem przesycona, która najpierw z Nilu do Kaligu się przelewa, posiada

się cudotwórczą i leczniczą. Matki zanurzają w niej drobne dzieci, chorzy wloką się na kolanach, by choć parę kropli tej cudownej wody zaczerpnąć. Często krwawe walki odbywają się na wybrzeżu między cisnącym się do tego błota tłumem i zdarza się, że zapaśnicy toną w falach, ale to nie osłabia wiary w czary Nilu.

Sam namuł wysuszony na słońcu uważają Egipcyanki za bardzo skuteczny środek leczniczy i zjadają go chciwie ¹⁾ Roznosi go po domach Munadi, który po otwarciu Kaligu znów przebiega ulicę i woła: „Wielkim jest Bóg! on rzekę napelnił po brzegi, skarb jego przepelniony! Allahu akbar!“

Cześć bałwochwalcza dla Nilu nie wyda się nam tak dziwną, jeśli zważymy, że Egipt żadnego innego strumienia, żadnego źródła nie posiada. Za to woda Nilowa jest tak przyjemna do picia, jak najlepsza zdrojowa.

Seneka nazwał ją najśłodsza z wód na świecie, a Arabowie powiadają, że gdyby Prorok był skosztował wody Nilu, byłby wymodlił sobie u Boga nieśmiertelność, aby ją pić wiecznie.

Ale niestety, i Nil błogosławiony, jak wszystko na świecie, ma swe niemiłe strony; w czasie wylewu przynosi on nam miliardy jaszczurek i węzów; na wilgotnym żwirze wylęgają się skorpiony, miliony much i największa plaga Egiptu: moskity. Wszystkie domy w Kairze przepelnione są owadami; od moskitów bronią nas trochę saslony, nad łózkami powszechnie używane; pomimo tego w pierwszych tygodniach pobytu w Kairze jest się umęczonym. Wszyscy nowoprzybyli mają twarze obrzękłe, pokryte wyrzutami, które pochodzą od ukąszenia moskitów lub są wywołane wpływem wody nilowej.

Po jakimś czasie moskity przestają się znęcać

¹⁾ Czynią to szczególnie kobiety bezdzietne.

nad obcymi, co przypisać należy słonym wyziewom puszcy, które tak działają, iż każde ciało po niejakiem czasie pot słony wydzielać zaczyna. Nie smakuje to moskitom i z tej pewno przyczyny tylko na nowoprzybyłych rzucają się chciwie.

Skorpiony i olbrzymie egipskie pająki widzieć tu można często i spotykać się z nimi na starych gruzach w dawnych domostwach i na kamiennych, słońcem ogrzanych tarasach. Owady te stronią jednak od nowych budowli. Zato węże i jaszczurki wkradają się do najpyszniejszych salonów i ogrodów. Wężów strzedz się trzeba, ale jaszczurki są wszędzie mile witane, gdyż chwytają muchy i uwalniają nas od tej istotnie Mojżeszowej plagi Egiptu. W Kairze mamy niezliczone gatunki much: jasne, złotoskrzydłe i ciemne włochate; wielkie jak osy i małe jakby ziarna kminku. Te ostatnie są najdokuczliwsze, pełno ich na ulicach, tak, iż opędzić się trudno; cisną się one do oczu i są najgłówniejszą przyczyną tak rozpowszechnionej w Egipcie oftalmii.

Niemilą też w czasie wylewu Nilu jest gorąca para, wydobywająca się ciągle z ziemi, często, szczególniej rankiem, tak gęsta, że oddech zapiera.

Ale zapomnijmy na chwilę o tych przykrych stronach Egiptu, a rzućmy okiem na przepyszny krajobraz, który nam zalana Nilem Delta przedstawia. Cała szeroka jej płaszczyna wygląda wtedy jakby zwierciadło, w którym odbijają się tęcze wschodniego nieba.

Pustynie liliowym rąbkiem okalają ten obraz; liczne kolumny palm dwoją się i troją w szklanej przestrzeni, rozciągając na nią swe wachlarze. Gdzieś tam dobiegają się z pod wody kępy i wysepki już zielonem zbożem pokryte, gdyż zaledwie woda nieco opadnie, już rzucają Arabowie ziarno w pulchny, lekko wzruszony namul. Na długą orkę czasu tu tracić nie trzeba, niech nikt jednak nie myśli, że praca rolnika łatwa jest w Egipcie. Istnieją tu ty

siące łąk i ogrodów, do których woda Nilu nie sięga, tylko za pomocą maszyn ciągle prowadzoną być musi. Od świtu do nocy „fellah” egipski pracuje nad skrapianiem pól swoich, gdyż po opadnięciu Nilu ziemia schnie nadzwyczaj szybko. Posiadają też Arabowie wszystkie możliwe maszyny do zawodniania pól, począwszy od starożytnej „sakkije” o skrzyżnięciem kole, aż do najmłodszego dzieła cywilizacji, maszyny parowej. Za to pługów tu mało widać, bo też ziemia głęboko oraną być nie może z powodu małej warstwy urodzajnej ziemi.

Zbiorów mamy w okolicach Kairu trzy albo cztery w jednym roku, pszenicę jednak, ryż lub żyto raz tylko sieją rolnicy, za to kukurydzę, trzcinę cukrową, arbuzy, fasolę, wiecznie zielone widzieć tu można. Dzięki afrykańskiemu słońcu, rośliny rozwijają się nadzwyczaj bujnie w zwilżanej ciągle ziemi. Drzewa rosną tak szybko, że założony w Kairze ogród w 10 lat staje się istnym lasem dziewiczym.

Najpiękniejszą roślinność podziwiałam na wyspie Khoda; wyspa to niewielka, położona naprzeciw dawnego Tostatu, więc tworzy jakby przedmieście Kairu. Sama jej nazwa: Khoda—oznacza po arabsku: kępa kwiatów.

Dawniejszymi czasy najmożniejsi baszowie mieli tu swe letnie rezydencje; dziś z tych letnich pałaców mury tylko nagie sterczą i błyszczą ostatkiem szyb potłuczonych. Za to ogrody rozbijały jak lasy; widzieć tu można olbrzymie bambusy, które wiotkie pnie swoje wspierają o czoła palm kokosowych i daktylowych. Drzewa figowe, tamaryski, oleandry i drzewa tulipanowe, rozmaite akacje z wielkimi strąkami, migdały, gojawy i pomarańcze, otoczone wiankami kaktusów i aleosów, tworzą tu gąszcz nieprzebytą. Na wybrzeżu, na falach Nilu, rozkładają swe liście nenufary białe; starożytnych jednak lotusów brak tutaj. Kwiaty te wyginęły zupełnie, może z tęsknoty za swą boginią Nają (Neith), która,

jak mówi legenda egipska, lubiła się kołysać na kielichach lotusu. Owoce tych roślin miały być przedziwnej słodczy, a nawet ich korzeń służył starym Egipcyanom za pokarm.

U stóp wyspy Khoda, wśród gęstych zarośli sitowia, ukazują Arabowie miejsce, w którym, według podania, córka Faraona znalazła Mojżesza. Dziś znaleźć tu można tylko stada ibisów i pelikanów, które poklaskując szerokimi, strasznymi dziobami, skubią swe pierze różowe. Nie brak tu i dzikich gęsi, kaczek, turkawek i innych pierzastych gości, których nazwiska są mi nieznane.

Wyspa Khoda jest istotnie spiżarką Kairu, zaostrza nas w zwierzynę, owoce, jarzyny i przepyszne kwiaty. Jej to zawdzięczamy głównie, iż targ w Kairze wcale wspaniale się przedstawia ze swemi stosami najrzadszych owoców, nieznanych u nas zielenin i jarzyn i z koszami róż, jaśminów i magnolij. Ponieważ targ jest jedną z oryginalności Kairu, więc czytelnicy moi wybaczą, że ich z nad Nilu znów w dzielnicę Muski zaprowadzę, gdyż tu w wązkich, bocznych przejściach, ocienionych dachem z desek i łachmanów, kryją się karmiciele i karmicielki miasta, przekupnie mięsiwa, owoców, sałat i wszystkiego, co żołądkom mieszkańców potrzebne. Niejedna z polskich gosposi będzie ciekawa się dowiedzieć, co też na tym targu kupić można; otóż największą rolę grają tu jarzyny, tykwy rozmaitego kształtu i arbuzy, karczochy i małe ogórki, zwane bami, które ugotowane, są ulubioną arabską potrawą. Naszej pocziwej, łokciowej marchewki nie znaleźć tutaj, bo wszystkie jarzyny, więcej w liściach rozbujałe, mają korzenie karłowate.

Z owoców mamy tu najpierw świeże daktyle, których zbiór w sierpniu przypada, i banany. Banan jest to krzew na trzy metry wysoki, o pniu grubym, mięsistym, z którego wyrastają liście miękkie, na dwa metry czasem długie. Owoce wyrastają w gronach

i kształtem przypominają nieco ogórki, ale są nadzwyczaj słodkie i silny mają zapach. Byłam także ciekawą smaku indyjskich owoców, których tu bardzo wiele dostarcza kolej z Suez, jednakże zaręczam czytelnikom, że maliny naszych borów stokroć lepsze od owych wsławionych: manga, gojawa i kremów, które smakiem chyba do osłodzonej pomady podobne.

Najuboższym jest Kair pod względem nabiału, mieszkańcy tutejsi przenoszą oliwę nad masło, a sera wcale nie znają. Jest wprawdzie gatunek białej masy, którą jako ser owczy podają, ale sam zapach tego sera odstraszyć może najmężniejszych. A cóż dopiero, gdy w nim przekupka swą czarną rączkę zatopił! Bo tutejsze przekupki niewiele czynią ceremonij ze swym towarem, straganów nie posiadają i rozkładają go na ziemi. O czystość na placu targowym starają się jedynie psy, których się tu setki włączają samopas, szukając odpadków i walcząc o nie z gromadami chłopaków arabskich, którzy również przychodzą szukać pożywienia.

Zresztą pomimo, że Kair należy do najbrudniejszych miast na świecie, to jednak niema tu wcale niezdrowych wyziewów i zgnilizny, jakie nam w innych miastach wschodnich dokuczają. W Kairze powietrze jest zawsze czyste i tak suche ¹⁾, że każde ciało martwe, każdy okruch pokarmów, w dni kilka już w proch się rozpada. Tej to suchości powietrza zawdzięczamy, iż barwy na staroegipskich sarkofagach i w grobowcach po dziś dzień zachowały świeżość i jaskrawość.

Deszcz w Kairze jest nadzwyczaj rzadkiem zjawiskiem i pada tylko w miesiącach zimowych, t. j. w styczniu i w lutym. W tym to czasie termometr zniża się czasem i do 5 stopni Reaum., ale tylko nad

¹⁾ Wilgoć mamy tylko po wylewie Nilu,

ranem; w południe zaś słońce przygrzewa, jak u nas w czerwcu. W pomieszczeniach tylko dość chłodno bywa, gdyż pokoje są wysokie, posadzki kamienne, a kominki należą do największego zbytku. Aby pokój ogrzać, dość jest w południe otworzyć okno do słońca.

Gdy czasami, co się jednak raz na lat kilkanaście zdarza, szron się ukaże, to Arabowie płaczą z zimna i przeklinają głośno Europejczyków, twierdząc, że chmury i chłody za nimi się wloką! Od marca do grudnia pogoda trwa nieustannie, niebo jednak nie jest tak ciemno-niebieskie, jak np. we Włoszech, przybiera ono raczej blado-turkusową, w szmaragd wpadającą barwę, albo mieni się blaskiem opalu. Upały w lecie dochodzą do 50, a nawet 60 stopni Celsjusza, a ziemia jest tak rozpaloną w słońcu, że nieprzywykłym trudno stapać po niej. Arabowie w dniach najgorętszych pieką na słońcu swe placki z kukurydzy, a to tym sposobem, iż ciasto układają między dwa cienkie kamienie w słońcu rozpalone; po jakimś czasie ciasto jest zupełnie ugotowane.

Najprzykrzejszą porą w Kairze jest sezon chamsinu, w kwietniu i maju przypadający. Chamsin jest to skwarny wicher, z puszczy wiejący. Nazwa jego oznacza liczbę 50 (chamze), gdyż Arabowie utrzymują, że wicher ten przez dni pięćdziesiąt się powtarza. W pierwszych dniach tej pory przypada święto staro-egipskie pisane, zwane „Szam-el-Nessim“. O chamsinie nikt pojęcia mieć nie może, kto go nie czuł i nie widział. Wicher ten nie zawsze jest silny, jednak powietrze całe jest tak rozpalone w tych dniach, jak gdyby żarem ziejące. Suchy, drobny kurz przepelnia całą atmosferę, a z po za tumanów tych słońce przeziera jakby bledy punkt żółty. Gdy w dniu takim wyszłam na ulicę, zdawało mi się, że płomienie chwytają twarz moją, oddechu zabrakło mi w piersiach, gardło scisnęło się nieugaszonym

pragnieniem, a tętna mi były, jak w silnej gorączce. Na ulicach pusto wtedy i ruch wszelki ustaje, okna domów szczelnie zamknięte, robotnicy rzucają pracę, do której sił im nie staje. Cisza, jakby omdlenie, ogarnia też całą naturę; rośliny zwieszają liście, kwiaty więdna, sępy nawet, wiecznie krążące nad tarasami ¹⁾ domów w Kairze, chronią się między gałęzie drzew lub pod stare mury. I gruchanie synogarlic, zwykła muzyka Kairu ²⁾, ustaje na chwilę.

Chamsin trwa czasem kilka, często i kilkanaście godzin, zaczyna się nagle; zapowiada się jednak już pierwiej dziwną wonią w powietrzu, jak gdyby ziemi świeżo rozkopanej. Straszny jest gość ten pustyni, ale też z niezrównaną rozkoszą czuje się potem, po opadnięciu kurzu, świeży oddech budzącej się znów z odrętwienia natury.

ROZDZIAŁ IX.

Mokattam.— Cytadela.— Stary Kair.— Meczet Amru.— Groby kalifów.

Chcąc miasto całe objąć jednym rzutem oka, musimy stanąć na murach cytadeli lub na szczycie Mokattamu. Mokattam jest to wzgórze skaliste od wschodniej strony miasta, a na granicy puszczy Arabskiej położone. Cały łańcuch skał takich ciągnie się ztąd przez puszczykę ku Czerwonemu morzu. Wzgórza te utworzone są po większej części z pokładów muszlowych; szerokie lawy ostryg i innych

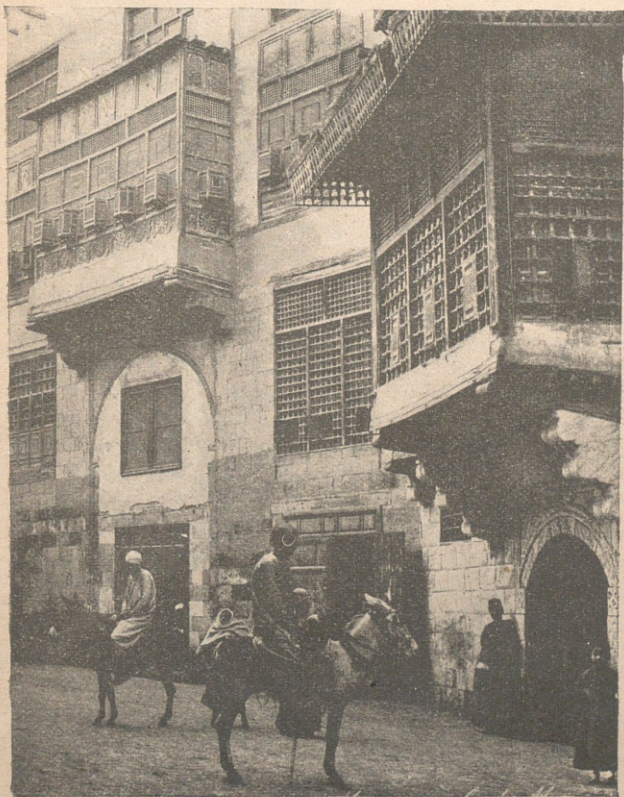
¹⁾ Sępy szukają żeru na tarasach, gdyż kuchnie w Kairze na tarasach są umieszczone.

²⁾ Synogarlice są ulubionymi ptakami na Wschodzie,

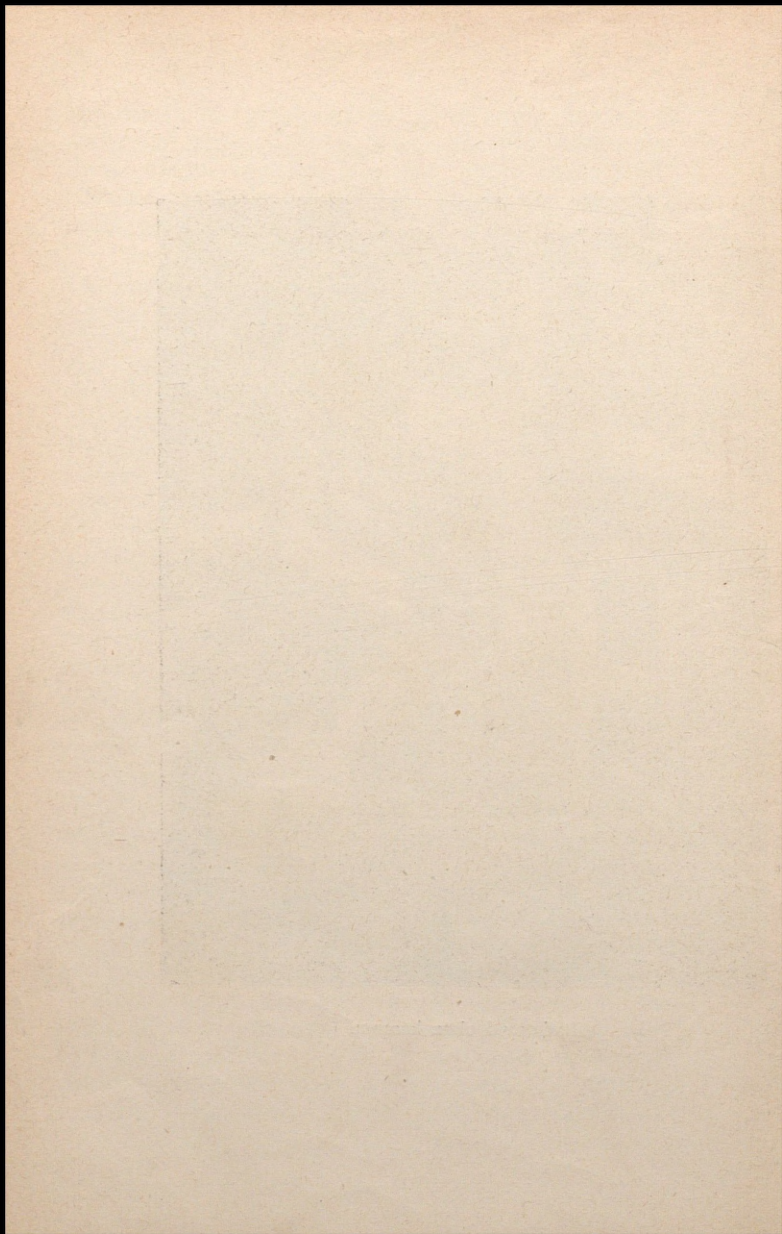
skamieniałości przypuszczać nam każą, iż cała ta przestrzeń puszczy była przed wiekami zalana morzem, czego dowodzą również liczne słone źródła i jeziora, oraz słone wyziewy, dobywające się z piasków.

Pod skałami Mokattamu znajdują się szerokie kamieniołomy, tworzące jak gdyby sale wspaniałe i grotty tajemnicze; gromady szakali i stada sępów obrały je sobie za mieszkanie. Czasem dojrzeć tu można i zbłąkaną gazelę, albo usłyszeć wycie głodnej hyeny. Widok ze szczytów skały przepyszny, szczególnie gdy zachodzące słońce powodzą swych blasków obraz ten oblewa. Całe wzgórze wtedy zdaje się zasiane rubinami, gdyż liczne odłamy kryształu skalnego i kwarcu błyszczą i mieniają się wśród fal żwiru, rozgrzane nieba pożarem. Dokoła od wschodu i południa puszcza cicha, martwa, nieruchoma, a nad nią noc już błękitna, ciemna, z wieniec swych srebrnych, drżących promieni, dziwną tworzy sprzeczność z jaskrawym obrazem Deltę i Kairu, który u podnóża Mokattamu ukazuje się z setkami swych wieżyc sztucznych, z chaosem swych gruzów i ulic, wijących się, płaczących, jak gdyby w arabeskowym rysunku, którego całość tworzy dziwną, ale miłą dla oczu harmonię.

Wzgórze Mokattam ma też i w dziejach arabskich swoją kartę, niestety, niezbyt wesołą. Na tem to bowiem wzgórzu przepędzał długie godziny sułtan Fatymida El-Slakem, którego kronikarze opisują jak drugiego Nerona lub Heliogabala. Kalif ten należał do sekty Darar, t. j. reformatorów islamu. Pragnął on zabawić się w proroka, dlatego też codziennie o świcie dążył samotnie na Mokattam i tam, jak głosił, miał widzenia i rozmowy z Bogiem, niby Mojżesz drugi! Codziennie też wydawał nowe prawa i najdziwaczniejsze rozporządzenia. Zakazał np. kobietom wychodzić z domów i śmiercią karał szew-



Balkony i okna haremu.



ców, którzy się poważyli sporządzać obuwie kobiece.

W końcu szaleństwo jego przebrało miarę; sam ogłosił się Bogiem i na cześć swoją kazał podpalić Kair, a ze szczytu meczetu, który zbudował, przypatrywał się z radością płomieniom, obejmującym miasto. Lud arabski, służalczy a tchórzliwy, znosił cierpliwie krwawe jarzmo, aż wreszcie rodzona siostra kalifa, przez niego na śmierć razem ze swym kochankiem skazana, zdołała przekupić siepaczy, którzy też zamordowali El-Slakema w chwili, gdy samotny o brzasku dnia dążył na Mokattam (1021 r.)

Kiedy powoli, nie bez trudu, co krok zapadając w głęboki piasek, zjeżdżaliśmy na osielkach naszych ze szczytów Mokattamu, ujrzałam nagle przed sobą kilka ociosanych głazów i dół głęboki, wmurowany w skałę. Przewodnicy pośpieszyli z objaśnieniem, iż to jest grób Faraona. Roześmialiśmy się na te ich słowa, nie przypuszczając ani na chwilę, aby ta pustelnicza mogiła mogła być grobowcem dumnego półboga dawnego Egiptu. Istotnie, grobowiec ten, jak mnie później objaśniono, kryje ciało sułtana Tuluna, który, jak wspomniałam, założył ogród El-Katajach tuż obok Fostatu, na wiek cały przed założeniem Kairu. Władca ten należał do rzędu tych pierwszych muzułmańskich kalifów, którzy nie łzami i trudem, ale szczęściem swych poddanych się bogacili. Mogiła jego bez ozdób, cicha, ukryta wśród piasków pustyni, nie żąda ni podziwu, ni wspomnienia. Spokoju jej za to nie brak tutaj, gwary dalekiego miasta nie dolatują w to ustronie; dziwnem tylko zdarzeniem w chwili, gdym oglądała grobowiec, z odległej jakiejś wieży katolickiego kościoła odezwał się dzwonek wieczorny, a saraceńskie gruzy, rade nierade, powtórzyć musiały echem pacierz dwonów chrześcijańskich!

Poniżej nieco szczytu Mokattamu, a powyżej miasta wznoszą się dumnie, okopane w skałę, najezone groźnemi basztami, ciemne, ponure mury cytadeli. Olbrzymia ta średniowieczna budowa, odnowiona nieco przez Francuzów (1800 r.), jest dziełem Saladyna a raczej emira jego Boha-ed-dina i sięga roku 1170. Krwawą snać pracą i mieniem własnem okupić musiał lud arabski koszta tej budowy, gdyż emira tego przezwano czarnym ptakiem, „Kara kucz“; odplacono mu nienawiścią i wzgardą wieczną, tak, że dotychczas pajac skaczący na ulicach Kairu, z którego lud cały drwi i szydzi, nosi tę nazwę.

Według pierwotnego planu, mury cytadeli okazać miały miasto całe i obejmować starożytny Tostat. Do budowy fortów użyto dawnych gruzów i ostatnich szczątków zburzonego Memfis. To też przy podstawie jednej z wieżyc ujrzałam szeroki, pokryty hieroglifami odłam granitu, wmurowany pomiędzy głązy budowy.

Pierwszym gmachem, który za murami cytadeli naszym oczom się przedstawia, jest meczet Mehemeta Alego z r. 1830. Budynek to nowy, niezgrabny, lśniący białością swych marmurów i alabastrów, zakończony dwoma smukłemi minaretami, które sterczą jak kominy i nad całym Kairem górują. Meczet ten nie przypomina niczem arabskiej architektury średniowiecznej; jest dziełem Turków, którzy, jak wiadomo, pojęcia o sztuce nie mają. Jednakże dzisiejsi Arabowie szczycą się tym gmachem, a to z powodu przepychu i bogactw, jakie w tej świątyni nagromadzono. Ściany jej całe pokryte alabastrem, posadzka wyłożona perskiemi dywanami, membar grubo złożony, a bogate świeczniki zastąpiły miejsce dawnych arabskich, sztucznie rzeźbionych latarni.

Wszystko tu nowe i błyszczące, ale zimne, martwe, powszednie, bo na ścianach nagich ani napisów arabskich, ani barwnej mozaiki nie znajdziesz, tak, że świątynia z całym swym nowoczesnym prze-

pychem wygląda raczej jak pałac rozbogaconego krwią ludów tyрана, a nie jak dom boży, przeznaczony ku cichej modlitwie.

U wejścia do świątyni w obszernym podwórzu znajduje się wodotrysk, a naprzeciw, na murze okalającym świątynię umieszczono niezgrabną wieżyczkę, która dźwiga zegar francuski w stylu „rococco” — dar Ludwika Filipa dla pogromcy Mameluków. Arabowie chwalą się tym podarkiem, jakby cudem jakim, powtarzając z dumą, iż przysłał go do Kahirry „imperator Zachodu.” Trzeba wiedzieć, iż lud arabski nie może dotychczas pojąć, z ilu mocarstw Europa się składa. Dla Arabów istnieje tylko jeden sultan wschodu i jeden imperator Zachodu, którego także nazywają cesarzem Austrii, gdyż według nich, wszystkie państwa poddane są Austrii.

W pobliżu meczetu Mehemeta wznosił się niegdyś pałac Saladyna, którego wspaniałe staroegipskie kolumny, arabskie napisy i gzymsy podziwiano jeszcze w początkach naszego stulecia. Zwyczajem jednak tutejszym złożono w tych ruinach zapasy prochu, które eksplodując, pozbawiły nas tego cennego zabytku rycerskich wieków. Jako jedyne wspomnienie po Saladynie, pozostała studnia, zwana „Birel Jussut”, gdyż Saladyn nosił imię Jussuta. Przewodnicy arabscy, mieszając pojęcia wszystkie, opowiadają zwykle przy tej studni legendę o biblijnym Józefie i w złość wpadają, jeśli się ich słowom nie wierzy.

Studnia Jussufa ma do stu metrów głębokości i podzielona jest na trzy piętra; wodę z piętra na piętro czerpią sakkije, obracane przez bawoły. Studnię tę zwiedzić można, gdyż schody, wykute w skałę, prowadzą w głąb tej przepaści; nie miałam jednak ochoty do tej ślizkiej podróży i wolałam wierzyć opowiadaniom tych ciekawych ludzi, którzy tę niezbyt ponętną wycieczkę odbyli.

Zwiedzałam zato w cytadeli drugą studnię,

której woda, podług Arabów, posiada przymioty zdroju Letejskiego i leczy nieszczęśliwą miłość.

Długie godziny błądzić można w cytadeli, w tym labiryncie cichych, ponurych gruzów, wśród wąwozów ciemnych i kamiennych przepaści, stromemi ścianami otoczonych. I mimowoli przed oczyma naszymi snuć się zaczynają straszne wspomnienia i krwawe widma arabskich dziejów, a chwilami здаje się nam, że z tych głązów krew się sączy, ta krew, co plami każdą kartę kronik tutejszych! Bo też w naszym już stuleciu krew całemi falami zlewała kamienie cytadeli Kairu. Było to w roku 1811.

Mehemet Ali wiedząc, iż potęga jego dopóty nie będzie zapewnioną, dopóki mameluccy książęta zagrażać jej będą, postanowił podstępem pozbyć się tych wrogich stróżów. Zawarłszy z nimi sojusz, sprosił ich na ucztę do cytadeli. Przybyło 400 bejów, a każdy wiódł długą drużynę sług i niewolników w bogatych świątecznych szatach, którzy nieśli dary dla zastępcy sułtana. Gdy cały orszak znalazł się za bramami cytadeli, zawarto nagle bramy, zerwano mosty i zaczęła się rzeź straszna. Zginęli wszyscy książęta; jeden z nich tylko ująć zdołał, gdyż spiąwszy konia, szalonym skokiem rzucił się z murów cytadeli w alicę miasta, która jak przepaść leżała pod stopami jego. Koń padł nieżywy, ale jeździec, padając na konia, ocalał. Ztąd też lud arabski nazywa dotychczas miejsce to na cytadeli i mały przełom w murze „Przepaścią Mameluka.“ (Podobnym sposobem w r. 1809 ocalał przed pogonią austryacką hr. Ksawery Krasicki, skokiem konno ze skały w Sanoku; p. r.)

Widok z murów cytadeli równie rozległy jak ze szczytów Mokattamu. Dokładniej nawet objąć ztąd okiem możemy nekropolę dawnego Memfis, całe rzędy piramid na puszczy Libijskiej. Widzimy najpierw trzy największe piramidy w Gizeh, dalej

nleco odgrzebane niedawno piramidy Sakkary ¹⁾, i wreszcie najstarsze wiekiem, bo pierwszej dynastyi sięgające piramidy Dachur. (4000 lat przed Chr.). Dokładniej także przypatrzeć się możemy z cytadeli starożytnym a nieznanym nam jeszcze dzielnicom dawnego Małego Babilonu i Fostatu i miastu sułtana Tuluna, El Katajch (Mieszkańcy nazywają mylnie te dzielnice Starym Kairem).

Najbliżej cytadeli leży miasto Tuluna, opasane rozwalonym na w pół murem, milczące, bezлюдne, jak miasto umarłych. Nizkie lepianki fellahów i lichy domostwa, najczęściej do gruzów starych przyparte, tworzą to przedmieście, zupełnie nieodpowiadające swej świetnej przeszłości.

W pośrodku rumowisk widać kilka wieżyc odartych, pochylonych; jedna z nich szczególnie zwraca uwagę, gdyż schody, prowadzące na szczyt minaretu, są umieszczone zewnątrz, czego nie spotykamy w żadnym meczecie późniejszym. Cały styl budowy przypomina architekturę bizantyńską raczej, niż czysto arabską. Jest to meczet Tuluna z r. 890. Niegdyś tysiące latarni gorzało pod temi arkadami na chwałę Bożą; dziś z ozdób, co gruzem się sypią, pozostał tylko kawał sklepienia, misternie wykładanego srebrem i kością słoniową, i napis kufijski, w drzewie żłobiony, dokoła ścian niby gzyms się ciągnący. Drzewo tego gzymsu, jak prawią baśnie arabskie, ma być odłamem z arki Noego, które to relikwie sułtan Tulun na szczycie Araratu odnalazł.

Z miasta Tuluna przez puste, gruzami zarzucone ulice i place, dostajemy się wreszcie do ruin dawnego Fostatu. Dzielnica ta, zamieszкана dziś wyłącznie przez ubogich Koptów, chrześcian, którzy

¹⁾ Sakkara, osada arabska w miejscu, w którym znajdowały się niegdyś egipskie „domy żałoby“, w których balsamowano mumie.

tu już przed wiekami ze swą nędzą i swą wiarą przed muzulmańskim prześladowaniem się schronili. Po obu stronach ulic widzimy ubogie kramy garncarskie, miły chłód panuje zawsze w tych uliczkach, ocienionych wijąciami się roślinami, które tworzą dach zielony nad całym Fostatem.

Tuż do tego przedmieścia przylegają, jednym warownym murem objęte, ruiny Małego Babilonu, owej miejsciny, założonej przez żołnierzy Kambizesa (ob. rodz. V.). Arabowie nazywają tę część miasta klasztorem chrześcian „Deir-el Nassarah“. Brama po zachodniej stronie murów, zbudowana w stylu doryckim, dowodzi, że mury te zapewne przez Greków, czy też Rzymian odnowione zostały.

Ciekawym także zabytkiem jest tu kościółek chrześcijański, sięgający, jak mówią, pierwszych czasów chrześcijaństwa. Zbudowany jest na podziemiach, w których, według podania, ukrywać się miała Przenajświętsza Rodzina w czasie ucieczki do Egiptu.

Sam kościółek, zaniedbany i brudny, posiada jednak cenne ozdoby w drzewie rzeźbione i księgi kościelne, pisane w języku dawnych Koptów, t. j. w skoszlawionym języku egipskim, który dziś zupełnie jest zaniedbany, niezrozumiały nawet dla tych potomków starych Faraonów.

Powracając z Babilonu przez kręte uliczki Fostatu, dochodzimy do meczetu Amru. Jest to, jak już wspominałam, pierwsza arabska świątynia, która na ziemi egipskiej stanęła (w 21 r. hegiry). Styl tej budowy, zupełnie różny od stylu wszystkich meczetów arabskich, przypomina pogańskie indyjskie świątynie. Jest to szerokie podwórze, wcale niekryte, dokoła rzędami kolumn otoczone. Kolumny te, z rozmaitych epok pozbierane, niektóre olbrzymie granitowe, inne lekkie marmurowe, o kapitelach greckich lub rzymskich, zrabowane się zdają z dawnych świątyń i gmachów. Większa połowa tych kolumn leży w gruzach, inne poszły zdobić pałace lub meczety

nowożytnie. Jeden tylko rząd kolumn koło kibli stoi nietknięty, a wpośród tych słupów jeden szczególnie zwraca uwagę, gdyż na gładkim marmurze słupa błyszcząca biaława, nieco krwawa pręga.

Legenda arabska uczy nas, iż ta kolumna cudem z Mekki przeniesioną tu była, a to następującym sposobem. Dnia pewnego przechadzał się kalif Omar przed świątynią w Mecce, a mając dar jasnowidzenia, spojrzął w stronę Fostatu, aby ujrzeć, czem też zajęty był w tej chwili emir jego, Amru.

Otóż spostrzegł Omar, że Amru pracował właśnie nad umieszczeniem kolumny w nowym meczecie; dojrzał także, iż ta kolumna nie była dobrze ociosaną. Zwracając się więc do jednej z kolumn, stojących w świątyni obok niego, zbliżył się kalif do niej i rzekł: „Rozkazuję ci, wznieść się w górę, i stań na ziemi Egipskiej w meczecie Amra.“ Ale kolumna nie usłuchała rozkazu. Zdziwiony kalif trącił ją ręką; kolumna zachwiała się, ale nie podniosła w górę. Rozgniewany wtedy władca chwycił bat i z całej siły uderzył o słup, wołając: „W imię Boga Najwyższego zaklinam cię, leć!“ Teraz dopiero wzniosła się kolumna w powietrze i wirując, odezwała się temi słowy do Omara: „Czemuż zapomniałeś pierwej wezwać Boga w pomoc?“—I w tejże chwili stanęła kolumna owa w Fostacie przed kiblą nowego meczetu; pręga od bata kalifa pozostała jednak na wieki, jakby wstęga sina i ognista. Arabowie utrzymują także, iż żadna siła w świecie, ani topór najeźdźców, ani dłoń niszcząca wieków, nie zdoła obalić tej kolumny. Allah jeden zniszczyć ją może, bo on ją tu umieścił.

Prócz tej kolumny, znajduje się także w meczecie Amru cudowna studzienka, do której woda przyplływać ma z fontanny, znajdującej się w Mecce i dlatego uchodzi za czarodziejską.

Po drugiej stronie meczetu widzieć można do-
brze zachowany grób sławnego emira. Kamień to

prosty, zupełnie z ozdób odarty, bez żadnego napisu, a jednak każde dziecię arabskie umie powiedzieć, że to mogiła tego, który półksiężyc zatknął na ziemi Faraonów.

Jeśli ze szczytów Mokattamu lub cytadeli spojrzemy ku wschodnio-północnej stronie na puszcze Arabską, to wśród wzgórz skalistych i wydm piasku widzimy tam dolinę szeroką, pokrytą gruzami, spośród których wznosi się kilka przepysznych minaretów i kopuł arabskich, haftami z kamienia wabiących zdala oko. Jest to dolina grobów, cmentarz sułtanów Mameluków. Arabowie przywykli nazywać te grobowce mogiłami kalifów, choć nazwa to niesłuszna, gdyż panowaniu kalifów położył koniec Salah-ed-din już w 1171. r., groby zaś wspomniane pochodzą wszystkie z późniejszych stuleci, t. j. z czasów sułtanów Mameluków. Dojeżdżamy do cmentarza przez starożytną bramę, zwaną „Bab-el-Nasr“, czyli bramą zwycięstw. Grobowce arabskie, jak dawne nekropole egipskie, rzucone są w piaskach puszczy i nieotoczone murem; ani drzewa, ani krzewu tu nie ujrzysz, coby cieniem chłodził kamienie mogił; dokoła puszcza, obraz śmierci i milczenie grobów!—Nigdzie jednak nie dostrzegamy takiej różnicy pomiędzy charakterem dawnych Egipcyan a dzisiejszych Arabów, jak właśnie w tych cmentarzach. Egipcyanin, wierzący w zmartwychwstanie ciała, starał się grób trwałym uczynić. Arab zaś, dla którego śmierć tylko wstępem do rajy rozkoszy, nie dbał o trwałość budowy, ale chciał ją uczynić lekką, piękną, przybrać ją w zmysłowe formy, aby mu się stała bramą Edenu.

Grobowce Mameluków należą niezaprzeczenie do najpiękniejszych dzieł architektury arabskiej. Trudno słowami oddać wdzięk i przepych tych ozdób, których odłam każdy zdaje się być wypieszczonym ręką artystów, malarzy. Niestety, żadna siła w świecie

nie zdoła ocalić od zniszczenia tych arcydzieł, które się kruszą i opadają za każdym powiewem wichru, jak cacka w ręce dzieciny. Najlepiej zachowana, a raczej odnowioną niedawno, jest świątynia grobowa sułtana Kail-beja; podziwiać w niej możemy czysty styl saraceński. Jestem pewną, że żadna budowla w świecie nie posiada pyszniej rzeźbionych napisów, lub sztuczniej układanej mozaiki. Każda płyta marmurowa pod stopami przedstawia coraz to inne barwy i linie, każda część sufitu ułożona w inne arabeski z hebanu, srebra i kości słoniowej, oko gubi się w tych szczegółach miniaturowych, a jednak tworzą one razem z koronkową wieżą minaretu i wspaniałą kopułą grobowej kaplicy niezrównaną harmonię, jak gdyby rozdzielone tony muzyki, co z licznych akordów jedną składają melodyję, jedną pieśń czarującą. Wrażenie to psują trochę tylko jaskrawe szyby kolorowe, któremi zastąpiono dawne szkła przyćmione.

Równie pięknym grobowcem jest meczet sułtana Barkuko, tylko niestety, jak większa część tych mogił, leży on w gruzach. Jeden szczyt minaretu, na wpół rozerwany, pochylił się ku lewej stronie; z kopuły żwir się sypie, a na obalonych kolumnach tłumy arabskich dzieciaków harczą swobodnie. Trzeba wiedzieć, że groby kalifów służą dziś za mieszkanie ubogim rodzinom arabskim, które szukają schronienia w tych murach, nie mając pojęcia o ich wartości.

Smutno patrzeć na to zniszczenie, a jednak nie wiem, czyby te świątynie, w całości zachowane, budziły tak silne wrażenie, jak dziś budzą ich ruiny, nad którymi pustynia hymn pogrzebu nuci.

ROZDZIAŁ X.

Wycieczka z Kairu do Heliopolis.—Obelisk.—Świątynia Horusa.—Starożytne wspomnienia.—Wieś Materijeh.—Drzewo Matki Boskiej.—Kościółek misjonarzy francuskich.—Légendy.—Strusiarnia.

Trudno istotnie określić, w czym leży ów dziwny urok i powab nadnilowej krainy; być może, iż w przeciwstawieniu szmaragdowych pól i bujnych gajów Deltę, do martwej, szarej przestrzeni pustyń—w niezmaconej pogodzie jasnego, przejrzystego nieba, które się w cichych, spokojnych wodach Nilu odbija—a szczególnie w niezrównanym blasku słońca o jaskrawych, tęczowych promieniach, w których ziemia egipska jest jakby skąpana.

Gdybyśmy nad Egiptem rozwiesili ciemne, mgliste obłoki, to szeroka owa płaszczyzna stałaby się nad wyraz monotonna, szarą, ponurą; straciłaby urok swych barw i blasków. Jej całym pięknem jest jasne słońce; nie dziw więc, że starożytni Egipcjanie kraj swój „ziemią słońca“ nazywali, i czcili to słońce, jako symbol zmartwychwstającego wiecznie życia, jako objaw najwyższej potęgi, wiecznego światła: Boga. Bóg ten objawiony w potędze życiodajnej słońca, zwany „Horussem“ (inaczej Ammon-Ra), posiadał osobną świątynię, słynną w całym ówczesnym świecie, w Heliopolis, w pobliżu Memfis, o milę drogi od dzisiejszego Kairu. Wspaniałą tę świątynię opisuje nam geograf grecki Strabon (za czasów Tyberyusza), choć już w owym czasie starożytnym była zabytkiem. Ruiny tak samego miasta Heliopolis, jak i świątyni, istnieć jeszcze musiały w średnich wiekach naszych, gdyż jeden z kronikarzy arabskich z r. 1190 wspomina o potwornych posagach i obeliskach, które podziwiał w tem miejscu. Dziś je-

dnak, jako pomnik jedyny minionych wieków i porzebanego pod namulem Nilu miasta ¹⁾, pozostał samotny, granitowy obelisk, będący celem wycieczek wszystkich turystów, w Egipcie przebywających.

Wycieczka do Heliopolis jest jedną z najprzyjemniejszych i najmniej trudzących; odbywać ją można albo świeżo zbudowaną koleją żelazną, wiodącą do pałacu i wioski Kubbeh, w pobliżu obelisku, albo wygodnym pojazdem, albo też dawnym zwyczajem na osiolkach, który to sposób jazdy, w celu dokładnego zwiedzenia okolicy, jest najodpowiedniejszym.

Zwiedzając po raz pierwszy Heliopolis, wybraliśmy do wycieczki dzień jasny, pogodny, a nie skwarany, jeden z tych dni uroczych, które zima w Kairze zachwyca turystów. Było to w połowie marca.

Nie bez pewnego trudu wdrapywałam się na mego uszatego rumaka, bo już to modne kobiece ubrania niezbyt są dogodne do jazdy na osiolkach, a przytem siodła arabskie, będące najczęściej własnością poganiaczy, sklecone i powiązane sznurami, należą podobno do starożytności faraonów. Czarną też stroną jazdy na osiolkach jest ta okoliczność, że osieł słucha jedynie głosu i kija poganiacza swego, Araba, który pieszo obok niego galopuje niestrudzony. Daremny byłoby wołać nawet po arabsku „w prawo” (jeminak), osieł biegnie w lewo, jeśli mu dwunożny jego kolega, Arab, nie powtórzy rozkazu. Trzeba także przywyknąć do powabnego głosu osła, który od czasu do czasu nawołuje rykiem swych towarzyszy, nie zważając na delikatne uszka europejskich amazonek.

Pozostawiając za sobą hałaśliwą dzielnicę Ezbekich, galopowaliśmy żwawo przez przedmieście

¹⁾ Heliopolis leży na polach Delt, kędy Nil co roku znaczne pokłady namułu składa; w starożytności musiały wody Nilu skierowane być w inną stronę.

Abassijeh, podziwiając bogate pałacyki i wille, wznoszące się po obu stronach szerokiej i wygodnej ulicy. Domy te, przeciążone ozdobami, najczęściej niezgrabne, podobne są raczej do fancuskich strojnych bombonierek, niż do wygodnych domostw, przeznaczonych na schronienie i mieszkanie dla ludzi.

Ze sztucznych balkoników pochylały się ku nam zgrabne główki i blade twarzyczki Lewantynek, strojnych w jaskrawe jedwabie.

Cała ta część miasta zamieszkała jest przez Syryjczyków, Ormian, Greków i innych Lewantynów.

Przy końcu dzielnicy Abbassijeh ukazują się mury rozwalonych fortów, koszary i strzelnice, pobudowane za czasów francuskiego zaboru. Jeden z tych fortów nosi nazwę „Fort Sulkowski”, pochodzi on jeszcze z czasów panowania Saladyna¹⁾, przebudowany jednak został przez ks. Sulkowskiego, adjutanta Napoleona. W starożytnym tym gmachu założyli dzisiejsi uzurpatorowie Egiptu, Anglicy, rzeźnię wołów.

Opodal od fortów, na czystym polu, wznosi się olbrzymi grobowiec arabski, opuszczony i samotny, nakryty ciężką kopułą; w pustych jego oknach gnieźdzą się swobodnie sępy i kruki, a cała budowa, choć dziś silnie jeszcze stoi, czyni wrażenie szkieletu; jest ona jakoby obrazem potęgi islamu, co przeżyła dni swoje i chyli się powoli do upadku.

Tuż za grobowcem ukazuje się gmach dziwny, noszący pyszną nazwę obserwatorium; w dali zaś bieleją mury austriackiego szpitala „Rudolfa“, otworzonego przed trzema laty za staraniem konsulatu austriackiego i urządzonego wzorowo. Szpitalem tym zawiadują siostry miłosierdzia, Włoszki, wykupione z niewoli Mahdiego.

¹⁾ Był to pierwotnie meczet, którego ruiny przerobiono na strzelnicę.

Minawszy te gmachy, jako też ruiny olbrzymiego pałacu Abbasa baszy¹⁾, którego krwawe rządy dotychczas w pamięci arabskiego ludu pozostały, wjeżdżamy pomiędzy zielone niwy, przepyszne gaje, ogrody i bujne zarośla Deltę. Droga wije się wśród alei pomarańczowych i brzoskwińowych krzewów, pomiędzy ogrodzeniami z laurów, róż i akacyj. Powietrze całe przepelnione jest wonią kwiatów i owoców i upaja niby haszysz. Ziemia tu żyzna i bogata; nawet nędzne chaty fellahów pokażniej i schludniej wyglądają wśród pól zasadzonych bawełną i cukrową trzcina. Najmożniejsi baszowie i bejowie mają w tej części Deltę swe ogrody i pola; w połowie zaś drogi do Heliopolis ukryty jest w gęstwinie drzew i krzewów letni pałacyk wicekróla, zwany „Kubbeh“, obecnie zamieszkały przez wdowę Tewfika baszy, księżnę Emineh, która wybrała to ustronie, pragnąc się usunąć od gwaru stolicy.

Zanim dojdziemy do stóp starożytnego obelisku, zatrzymać się musimy chwilę w wiosce Mattarijeh, gdyż spotkamy się tu z jedną z cennych pamiątek religijnych. Pamiątką tą jest „drzewo Maryi“, pod którego cieniem spocząć miała Przenajświętsza Rodzina w czasie swej ucieczki do Egiptu. Podanie mówi, iż drzewo to pochyliło swe gałęzie ku ziemi, aby zakryć dziecię Jezus przed pogonią Heroda i nakarmić je owocami swemi. Tuż obok płynie strumień, w którym woda była gorzka i słona, ale gdy dziecię Jezus zacerpnęło rączką tej wody, wnet stała się ona słodka, przynosząc od tej chwili ochłodę i życie strudzonym wędrowcom. Śliczna to legenda, choć drzewo, zwane „drzewem Maryi“, jest to zwykła sykomora, stara wprawdzie, ale liczyć mogąca najwyżej kilka, nie kilkanaście wicków. Arabowie

¹⁾ Abbas basza, wnuk Mahmeta-Alego, uduszony został w swym pałacu w Benha, w pobliżu Kairu.

opowiadają, że dawne drzewo uschło wprawdzie, lecz z konarów jego wnet nowa urosła sykomora. Ota-
czają oni drzewo Maryi czcią niezwykłą, utrzymując,
iż wydaje sok, uzdrawiający schorzałych i paralityków.
To też kora cudownego drzewa ponacinana jest
w wielu miejscach i gałęzie mocno uszkodzone, gdyż
każdy turysta stara się uszczknąć parę listków, i sa-
mi Arabowie, strzegący ogrodu, rozdają je za niewiel-
ką opłatą.

Ogród, w którym rośnie drzewo Maryi, jest
własnością *ex-cesarzowej* Eugenii, oddany jej w da-
rze przez byłego wicekróla, Ismaila, który, jak wia-
domo, oczarowany wdziękami Eugenii, byłby jej chę-
tnie cały Egipt rzucił pod stopy. Nie mogłam jednak
dowiedzieć się, kto w imieniu cesarzowej spożywa
owe setki pomarańcz, brzoskwiń i melonów, które
ogród ten produkuje. Podobno dochody przeznaczo-
ne są dla zakonu sióstr: „*de la légion d'honneur.*“
W miejscu zaś, z kąd wypływa cudowny strumyk,
o którym wyżej wspomniałam, wzniesiono przed
dwoma laty niewielki kościółek, otoczony klombami
róż i laurów.

Naprzeciw wioski Mattarijeh widzimy szeroką,
zielonemi trawami pokrytą równinę; przestrzeń ta, to
pole walki pamiętnej w dziejach Francji; w r. 1800
na polu tem 10,000 francuskich żołnierzy, wyne-
dzniałych, spalonych skwarem i znękanym trudami,
pobiło pod dowództwem Klebera 70-tysięczną armię
muzułmańską. Zatrzymajmy się trochę przy tem hi-
storycznym wspomnieniu.

Wiadomą jest rzeczą, iż z chwila, w której Bo-
naparte potajemnie opuścił Egipt, stanowisko Fran-
cuzów nad Nilem zachwiane zostało. Kleber nie
umiał i nie chciał zjednać sobie arabskiego ludu; nie
posiadał on wszechstronnego geniuszu Napoleona,
który szanując religijne prawa muzułmanów, przema-
wiając do nich stylem Koranu, zdumiewał i olśniewał
umysły Arabów; nazywali go oni „ulubieńcem zwy-

ciężtwa" (Melek-el-Mansur), albo „małym dowódcą“, a nawet „żrenicą Allaha.“ Kleber przeciwnie, uciśkając lud podatkami, deprecjując dawne zwyczaje i formy, do których mieszkańcy Egiptu fanatycznie są przywiązani, zniechęcił i oburzył muzułmanów; nie był on administratorem, tylko żołnierzem, a dopiero w godzinie stanowczej bitwy okazał się znów bohaterem i uratował honor Francji.

Równina, na której stoczona została bitwa Klebera z zastępami wezyra Jussufa, zajmuje tę właśnie szeroką przestrzeń, kędy przed setkami wieków istniało miasto wielkie i sławne, nazwane przez Greków grodem słońca: Heliopolis.

Z całego miasta śladu dziś niema; gruzów chyba pod ziemią szukaćby trzeba, pod pokładami namułu, któremi Nil pokrył te strony. Jedyłą pamiątką, jedynym nagrobkiem na szerokim tym cmentarzu, pozostał, jak wspomniałam powyżej, samotny obelisk, wysoki 21 metrów, choć podstawa jego w ziemię zapadła. Jest to monolit z różowego granitu, jakiego dostarczały Egipcyanom okolice Assuanu i nadnilowe skały Nubii. Wszystkie cztery ściany obelisku pokryte są hieroglifami, z trzech stron jednak hieroglify te są zatarte, gdyż pszczoły egipskie, nie wiele dbające o chwałę Faraonów, pracą swą i gniazdami osnuły tajemnicze, sztucznie żłobione znaki.

Powracając do Kairu, zwiedziliśmy po drodze założoną w pobliżu Matterijeh strusiarnię. Zakład ten liczy przeszło trzysta olbrzymich tych ptaków, z których najstarsze, zaledwie lat 6 mające (struś może żyć lat 20), wzrostem swym, gdy długie szyje wyciągną, przewyższają najwyższych ludzi. Różowe ich uda, grube jak u cieląt, zupełnie są nagie, a pióra wcale nie wyglądają tak uroczo na skrzydłach żywych strusi, jak na główkach naszych.

Jaja, składane w piasku, potrzebują dni 40, aby się młode wylęły. Mówiono mi, że strusie małżeństwa są bardzo przykładne, gdyż samiec wyręcza sa-

micę w wylęganiu jaj¹⁾. Zwierzęta te są tak łakome, iż chwytają wszystko, czego dosięgną z po za krat żelaznych, otaczających szerokie ich zagrody. Zaręczano mi, że mury, otaczające podwórze, co rok odnawiać trzeba, gdyż strusie zjadają je. Jedno jajo pełne waży 4 kilo i wystarcza na jajecznicę dla 10 osób, nie jest jednak smaczne; również i mięso strusia, które miałam sposobność kosztować, nie należy do przysmaków, choć przypomina nieco pieczeń sarnią i tak samo się przyrządza.

Późnym wieczorem powróciliśmy do Kairu, i znów otoczyła nas swym nieopisanym urokiem noc przesłiczna, wschodnia, niosąc nam z jednej strony świeży powiew pustyń, a z drugiej woń róż i jaśminów, co jak haszysz upaja. W takiej nocy nikt nie chciałby usnąć, ale żyć i szaleć i pełną piersią pić tchnienia tej Boskiej przyrody, co nawet we śnie tak rozkosznie uśmiechać się umie.

ROZDZIAŁ XI.

Heluan.—Zdrowisko w pustyni.—Otwarcie meczetu.—Pogrzeb w pustyni.—Wycieczki z Heluanu do kamieniołomów starożytnych Turry i Massary.—Roślinność na pustyni.—Lasy skamieniałe.

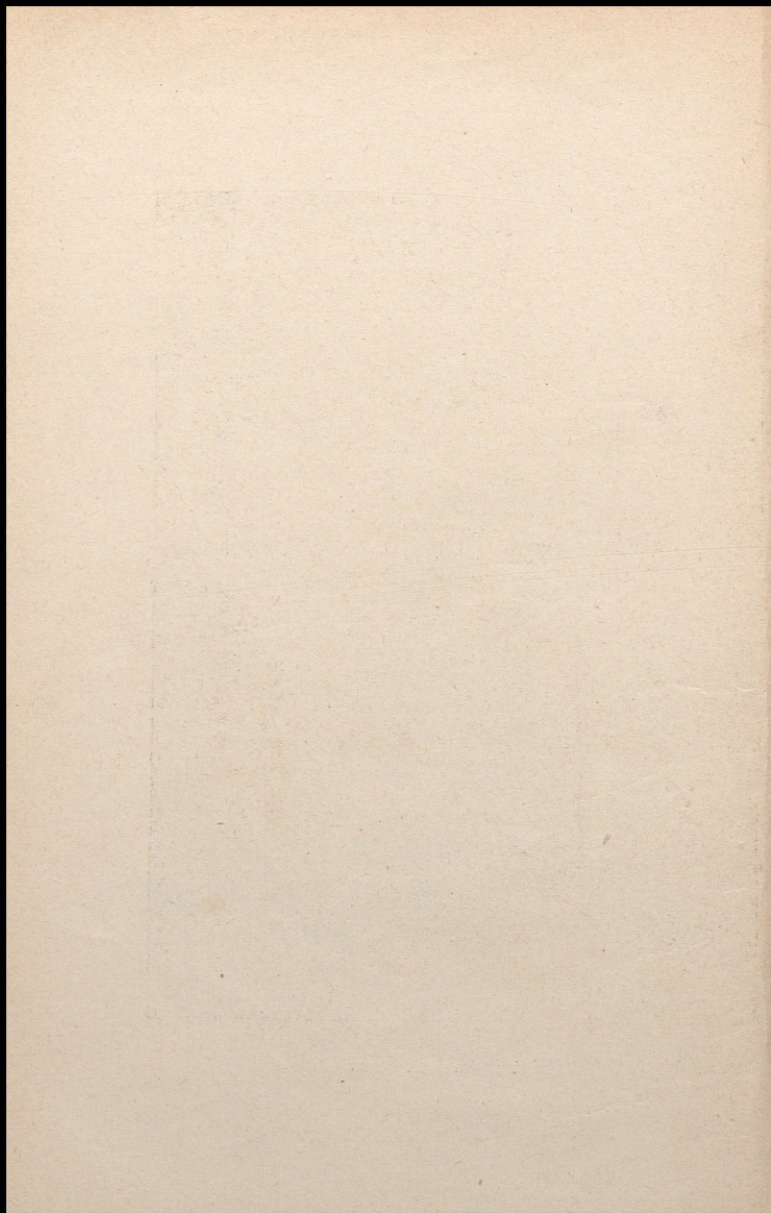
Kąpiele na pustyni! Zdrowisko modre wpośród szerokiego morza skwarnych piasków i skał martwych, czyliż to nie cud prawdziwy?

Na tej niezmierzonej okiem pustej przestrzeni, co po prawym brzegu Nilu na wschód od Kairu kę-

¹⁾ W strusiarni jaja wygrzewają sztucznie w piecykach, umyślnie do tego urządzonych.



Księżniczka haremowa.



dyś w dal, aż ku morzu Czerwonemu sięga, wpośród wyżyn piaszczystych i kamiennych przepaści, w których dawno minione stulecia złożyły szczątki drzew i tworów skamieniałych, ukazuje się nagle oczom naszym na tle jaskrawem rozgrzanego słońcem nieba kilkadziesiąt pałacyków marmurowych i małych willi, otoczonych zielenią ogrodów, witają nas dźwięki muzyki wojskowej, szmery wodotrysków i wesołe gwary zebranej tu licznie, zimową zwłaszcza porą, tak europejskiej, jak i egipskiej publiczności.

Zdrowowisko Heluan, będące dziś ulubionem miejscem pobytu turystów spędzających zimę w Kairze, stworzone zostało wszechwładną wolą byłego khedywa, Ismaila baszy. Jak wiadomo, posiadał on cudotwórczą, w złocie skąpaną różdżkę, za pomocą której tworzył w mgnieniu oka pałace i teatry, zakładał wspaniałe ogrody, ulice i skwery.

Otóż pewnego dnia przyszło na myśl Ismailowi, że dobrzeby było mieć w Egipcie miejsce kąpielowe, podobne do zdrojowisk europejskich. Wysłał więc przybocznego lekarza swego, dra Reil, w pustynię, z rozkazem odkrycia jakiegokolwiek mineralnego źródła. Zadanie to nie było zbyt trudnem, gdyż pustynia Arabska, będąca dawnem morza łożyskiem, posiada wiele źródeł słonych i strumieni natronem przesyconych. Dr. Reil, jak gdyby Mojżesz drugi, uderzył tylko o skały, a wnet z suchego ich łona wytrysnął strumień gorzko-słonej wody.

Spędzono lud biedny do pracy, żyznym namulęm Nilu pokryto martwe piaski i w krótkim czasie stanął zakład, istnie czarodziejska oaza, w pośrodku cichej, tajemniczej pustyni.

Zwolennicy siarczano-słonnych kąpeli w Heluanie utrzymują, iż w średnich już wiekach znane były mieszkańcom Egiptu lecznicze własności tych zdrojów. Podczas dzumy, która Egipt często nawiedzała, sami kalifowie umykali z Kairu do istniejącej już

podówczas osady Heluan, a wody słonych źródeł i świeże, czyste powietrze pustyni Arabskiej (nie przepełnione kurzawą jak w pustyni Libijskiej) chronić miały od zarazy.

Wygodna kolej, przecinając przedmieścia Kairu, w trzech kwadransach przenosi nas ze stolicy do Heluanu; tuż za Kairem wspaniałe widoki rozciąga się przed oczyma naszymi: dwie pustynie łączą się tu prawie z sobą, przedzielone tylko wąską doliną Nilu, ogrodzoną palmowymi gajami, gdyż Kair leży na samym krańcu Delt, u granic górnego Egiptu. Z jednej strony Heluanu ciągną się w nieskończoność ciemne, nagie skały pustyni Arabskiej, od zachodu za Nilem ukazują się piaszczyste, w złotych blaskach skąpane wzgórza pustyni Libijskiej, dźwigające siedemnaście piramid¹⁾. Na północy zaś, w dali, jak obraz „fata morgany“ w przejrzystych falach powietrza, migają rzeźbione szczyty minaretów kairskich.

Heluan posiada kilka dogodnych i eleganckich hotelów, teatr, park, wspaniałe urządzone łaźienki, kto zaś, będąc chorym, uniknąć chce gwaru i tłumu, ten rozbija namiot na pustyni, której czyste, słonemi wyziewami przepełnione powietrze, cudownie działa na płuca.

Do podniesienia tego zakładu kąpielowego przyczynił się wiele zmarły przed kilku laty khedyw, Tewfik-basza. Przebywał on często w pałacyku swym w Heluan, gdy gwary i przyjęcia w stolicy zbyt go znużyły²⁾. Widywaliśmy go wtedy bądź w pustyni, jadącego na białym wielbłądzie w towarzystwie znanego w Egipcie Beduina Solejmana, bądź w „dahabii“ na Nilu, przy boku wicekrólowej, z którą etykieta muzułmańska nie pozwalała mu nigdy pokazywać się w Kairze.

1) Piramid Girch, Daszhur, Sakkar.

2) Tewfik basza, jak wiadomo, zmarł w Heluan, gdzie zastąpił czas w stale przebywał.

Miłą niespodzianką dla europejskich gości, przybywających do Heluanu, jest widok krzyża na wysokiej, zdala widnej wieżycy kościoła katolickiego. Kościół ten, stojący pod opieką austro-węgierskiego rządu, wzniesiony został przed dwoma laty staraniem włoskiego biskupa, ks. Soggaro, przełożonego misji centralno-afrykańskiej. Budowa ta w tak krótkim czasie ukończoną została, iż wtedy dopiero, gdy krzyż błysnął na jej szczycie, Arabowie spostrzegli, że Heluan nie ma jeszcze muzułmańskiego meczetu i że ich chrześciance w tem ubiegli. Stał więc wkrótce naprzeciw kościoła wspaniały meczet, którego otwarcie i poświęcenie według starożytnego arabskiego odbyło się zwyczajem. W chwili, gdy „kadi“ (najstarszy dygnitarz religijny) razem z khedywem przestąpić mieli próg meczetu, pięciu pachokłów przywlokło przed świątynię dwa olbrzymie, spętane bawoły i w oczach naszych zatopiło noże w ich szyjach. Przez fale krwi ciepłej, tryskającej z drgających jeszcze tułowiów biednych zwierząt, przeszli dygnitarze w progi świątyni, pozostawiając w wejściu swe obuwie (nawet khedyw nie czyni w tem wyjątku i obuwie w progach meczetu pozostawiać musi).

Od tej to chwili przeciągły donośny głos muezzina rozlega się w pustyni, Heluan okalającej, wtóruje mu jednak często dźwięczny a rzewny pacierz dzwońców chrześcijańskich!

Wzniesienie kościoła katolickiego w Heluanie jest prawdziwym dobrodziejstwem dla przebywających w zakładzie chorych, których lekarze często w ostatnim stadium suchot do Egiptu wysyłają. Przykro było dawniej patrzeć na tych nieszczęśliwych, pozbawionych nie tylko przyjaciół i rodziny, ale nawet pociechy religijnej w ostatnich chwilach życia.

Nie zapomnę też nigdy zdarzenia smutnego, które miało miejsce w czasie mego w Heluan pobytu. Przybył tam młody Węgier, dogorywający prawię na gruźlicę, z młodziutką i śliczną żoną, jedyną

swą towarzyszką i... opiekunką. Lekkomysłna kobieta nie miała jednak pojęcia ani o niebezpieczeństwie grożącym mężowi, ani o pielęgnowaniu chorego, ani też o obowiązkach na niej ciążyących. Wesoła, wystrojona, uśmiechała się zalotnie do wszystkich, strojąc od męża, którego cierpienie widoczną w niej budziło odrazę. Biedny suchotnik odczuwał boleśnie tę niechęć żony i odpłacał jej wzajem nienawiścią, choć zaręczano mi, że ubóstwiał ją dawniej. Cierpienie rozgoryczało mu smąc serce, gdyż pasując się ze śmiercią, przeklinał świat i ludzi, bluźnił Bogu i najświętszym uczuciom. Nadaremnie starano się często złagodzić tę dziką jego rozpacz; jedno spojrzenie na wesoło i spokojnie uśmiechniętą żonę wystarczało, aby w nim znów wściekłość wzbudzić. Pewnego dnia dano mi znać, iż choremu pogorszyło się znacznie; nie pytając go o zezwolenie, zatelegrafowałam do Kairu, wzywając lekarza ¹⁾ i księdza, ale ci przybyli za późno.

Straszna to była śmierć, gdy chory ostatnich sił dobywając, miotał przekleństwa i odpychał cisnącą się teraz do stóp jego żonę—skonał z zaciśniętymi pięściami, z wyrazem rozpaczony i nienawiści w twarzy. Pochowano go nazajutrz ²⁾, (gdyż tak każe zwyczaj krajowy), w pustyni, kędy kilkanaście nagrobków wskazuje miejsce spoczynku tych, którym egipskie słońce gasnącego życia wrócić nie zdołało ³⁾.

Na prostym wozie złożono trumnę, kilku fellahów kopało grób, odwracając z niechęcią oczy od naszych krzyżów i obrzędów, i usypaliśmy z piasków pustyni niewielką mogiłę, przytłaczając ją ciężkimi kamieniami dla ochrony od hyen i szakalów, które

¹⁾ Obecnie mieszka w Heluan dwóch lekarzy.

²⁾ Z powodu skwarne go klimatu pogrzeby odbywają się w Egipcie w 24 godziny po śmierci.

³⁾ Spotykamy tam kilka niemieckich i angielskich nazwisk...

zazwyczaj groby rozkopują. Smutny to obraz tych samotnych kilkunastu mogił i krzyży, pokrytych obecnie nazwiskami w cichej, dalekiej, dzikiej pustyni, kędy szmer wichrów jedynym hymnem, a krakanie sępów i wycie hyen jedyną pogrzebową jest pieśnią.

Odwróćmy teraz oczy i myśli od tych smutnych obrazów, bo egipskie, jasne słońce i wesołe, ruchliwe życie, jakie się zwykle nad Nilem prowadzi, rozpraszają melancholię i ponure dumania. Najmilszą rozrywką turystów, w Heluan przebywających, są wycieczki bądź ku zielonym wybrzeżom Nilu, zkad przeprawiwszy się przez rzekę, dostać się można: na pustynię Libijską i zwiedzić groby memfiskie ¹⁾, bądź w pustynię Arabską, w stronę staroegipskich kamieniołów Turry i Masary, zkad Egipcyanie dobywali materyał na swe olbrzymie grobowce i świątynie. Wycieczka do Turry jest nader ciekawą i zajmującą, nietylko z powodów samych kamieniołomów i hieroglifów, pokrywających wewnątrz ich ściany, ale także dlatego, iż dążąc ku nim, przecinamy pustynię i poznajemy ją w całej jej grozie i niedającym się określić majestatycznym uroku. Niechaj bowiem nikt nie sądzi, że pustynia to gładka płaszczyna, niezmierzone okiem łożo piasków szarych; pustynia Arabska ma swe doliny tajemnicze i ciemne przepaście, swe wzgórza i skały. W dniu ciemnym i ponurym przestrzeń ta przygnębia nas złowrogą ciszą, przeraża ogromem swym i martwością śmierci; skoro jednak pustynia skąpana w słońcu ubierze swe wzgórza w rubinowe i liliowe blaski, albo gdy księżyc srebrzystymi smugami błądzi po jej dolinach i ścieżkach, natenczas zmienia się ona w kolebkę barw tęczyowych, w morze mieniącego się ustawicznie światła. Przeraza cię swym obszarem, ale nęci równocześnie obrazem nieskończoności, upaja powiewem

¹⁾ Piramidy: „Memfis-Sakkarah.“

swobody; mimowoli czujesz, iż tęsknić będziesz za tą przestrzenią jasną, jak ptak za błękitem powietrza.

To też Beduin kocha swą pustynię, jak góral swe góry; podanie zaś arabskie opowiada, iż małżonka jednego z kalifów, rodem Beduinka, otoczona przepychem haremów, umarła z tęsknoty za pustynią.

Wycieczkę do kamieniołomów Turry odbywaliśmy zwyczajem krajowym na osielkach, a galopowaliśmy raźnie przez doliny i wzgórza, zatrzymując się tylko czasami dla przyjrzenia się roślinom w pustyni rosnącym, jeśli nazwą rośliny uczcić można suche, kolczaste, do polipów podobne krzewy, z pod żwiru się dobywające. Było to w lutym, a więc w porze, w której, jak mówią Arabowie, „pustynia kwitnie.“ To też doliny pustyni pokryte były pękami róż Jerychońskich, które mają tę własność, że napozór martwe i suche, otwierają się, gdy je na dzień jeden w świeżą wodę włożymy¹⁾. Również ciekawą rośliną jest krzew „Zilla“, zwany także krzakiem Mojżesza, gdyż jasno i łatwo płonie. Spo-

¹⁾ Opowiadano mi w Kairze, iż róża Jerychońska ważną grała rolę w życiu Ferdynanda Lessepsa, który, jak wiadomo, w podeszłym już wieku ożenił się z młodą Kreolką, narzeczoną swego syna, Karola Lessepsa. Otóż dnia pewnego, znalazłszy się na okręcie do Europy jadącym, w towarzystwie kilku dam francuskich i swej przyszłej synowej, stary Lesseps, jak zawsze nadzwyczaj uprzejmy dla płeć pięknej, ofiarował każdej z pań różę Jerychońską, zaręczając, iż to, o czem śnić będą, spełni się z pewnością, jeżeli się różę otworzą. Nazajutrz wszystkie panie opowiadały sny swoje, jedna tylko młoda Kreolka nie chciała wyjawić tajemnicy, drażniąc zalotnie ciekawość starego Lessepsa, którego sława cenniejszą jej się zdawała, niż uczucie narzeczonego. Nareszcie ostatniego dnia podróży, gdy oczarowany jej zalotnością i dowcipem Lesseps, ukląkł przed nią, błagając o wyjawienie tajemnicy, młoda dziewczyna odpowiedziała śmiało: „J'ai révé, que je n'ai pas été madame Charles, mais madame Ferdinand Lesseps.“ „Mademoiselle, voilà ma main“—odpowiedział rozkochany starzec, zapominając o swym wieku i o szczęściu własnego syna.

strzegłam też wiele innych nieznanych mi krzewów, których korzonki i jagody nie tylko wielbłodom i naszym osielkom, ale, jak mi mówiono, samym ich właścicielom, Beduinom, służą za pożywienie. Po trzygodzinnej galopadzie stanęliśmy wreszcie nad głębokim jarem, którego brzeg przeciwległy tworzył wysoką, prawie pionową ścianę. Zjechawszy do parowu, znaleźliśmy z łatwością sztuczne wejście do grot podziemnych, które wspaniałe przedstawiają widok. W obszernych sklepionych salach olbrzymie głazy, pokryte hieroglificznymi napisami, bądź leżą na ziemi, bądź na wpół ociosane, tkwią w ścianach, ale wyryte na nich obrazy bóstw i hieroglify świadczą, iż były one przeznaczone do świątyń i grobowców. Na jednym z głazów widzimy obraz króla Amazisa (dyn. 18 ta), kierującego wozem, napelnionym olbrzymimi kamieniami, z hieroglifów zaś dowiadujemy się, iż on to kazał otworzyć wejście do kamieniołomów w celu budowania świątyń i innych gmachów. Na innej znów płycie widzimy króla, składającego ofiary bogom, dalej znajdujemy wyryte rachunki i pomiary, niezbędne przy wydobywaniu kamienia. Patrząc na te napisy na wpół ukończone, sądziłbyś, że praca w kamieniołomach tych nie przed wiekami, ale wczoraj dopiero przerwana została.

Dążąc z Turry do Kairu, nie potrzebujemy powracać do Heluanu, ale dostać się możemy do miasta wprost przez pustynię, jest to jednak nużąca i niebezpieczna droga; bez przewodników przebyć ją trudno, gdyż jako jedyny drogowskaz służą tu ślady osłów i wielbłądów. W pustyni Libijskiej piramidy i grobowce wskazują poniekąd kierunek, tu zaś wstępujemy z doliny na wzgórze, ze wzgórza znów w dolinę, przestrzeń dokoła wydaje się nieskończoną, nigdzie śladu niema, łatwo więc zmylić kierunek i zbłądzić; dlatego też Arabowie tę stronę pustyni zowią „Doliną błędzeń.“

Dolina ta, okolona łańcuchem skał, zajmuje ob-

szar kilkunastu wiorst i prowadzi do skamieniałych lasów, które są jedną z tajemniczych zagadek pustyni. Zdania geologów o ciekawem tem zjawisku są dotychczas podzielone: jedni utrzymują, że drzewa te uniesione zostały z gór Abisynii gwałtownym prądem wód pędzących ku morzu i w dolinach złożone; drudzy znów są zdania, że lasy te rosły w temże miejscu, gdzie je dziś widzimy, i dopiero przez trzęsienia ziemi i wybuchy „gejzarów“¹⁾, t. j. gorących źródeł, obalone i skryształizowane zostały.

Bądź co bądź, widok tych lasów może być nader zajmującym dla geologów, co do mnie jednak, to przyznać muszę, iż doznałam tu niemilego rozczarowania. W wyobraźni przedstawiałam sobie owe lasy, jakby obraz z baśni czarodziejskiej; tymczasem ujrzałam przed sobą kilkadziesiąt pni wcale niewielkich, rozrzuconych w piaskach; wydają się one podobniejsze do szczątków zdruzgotanych kolumn, niż do drzew i gałęzi. Trzeba istotnie wziąć w rękę te odłamy, zważyć ich lekkość i przypatrzeć się im zblizka, aby je od zwykłych kamieni rozróżnić.

Pni wrosłych w ziemię nie dojrzałam nigdzie; mówiono mi, że największe z nich przewieziono do Kairu dla ozdoby książęcych ogrodów.

Pustynia arabska sięga aż po same mury i bramy Kairu i styka się tu prawie z pustynią Libijską, koloryt jednak i formacya obu pustyni zupełnie są różne.

Pustynia Arabska ma skały rude i wydaje się zdała jakby skąpana w falach różowego światła; pustynia zaś Libijska jest o wiele jaśniejsza, więcej piaszczysta niż skalista, a nad nią wznosi się kurzawa złotych iskierok, powódź opalowych blasków, które tam, kędy horyzont się zniża, przybierają odcięcia ametystów.

1) Patrz: „Trass: Geologische Bilder aus dem Orient.“

Obie pustynie rozdziela tylko łożysko Nilu, ujęte w ramy pól i gajów, i dolina szeroka, w której, wsparte o skały Mokattamu, rozciąga swe mury i ogrody, wiją swe kręte uliczki i piętrzy swe minarety miasto Kair, zwane „klejnotem Wschodu.“

ROZDZIAŁ XII.

Wycieczka do Piramid.

Zamierzając przebyć w Egipcie lat kilka, nie śpieszyłam w początkach pobytu swego z odbyciem wycieczki do Piramid, pragnęłam pierwiej zapoznać się bliżej tak z samym Kairem i jego historycznymi pamiątkami, jak i z ludem arabskim i zajmującymi zwyczajami nadnilowych mieszkańców.

Wiedząc przytem, iż zimową porą dzień każdy gromadzi u stóp Piramid zbyt liczne tłumy ciekawych turystów, odłożyliśmy wycieczkę naszą do jednej z letnich księżycowych nocy, gdyż zaręczono mi, że Piramidy najwspanialej się przedstawiają w stroju srebrnych promieni księżyca.

Było to zatem w dniu 5-ym lipca (data dla mnie pamiętna), gdy zaopatrzeni w kosze pełne przysmaków (przezorność ta w Egipcie przy dalszych wycieczkach jest potrzebna), pod strażą naszych kawasów¹⁾ wybraliśmy się późnym wieczorem w pustynię Libijską.

Zdawaćby się mogło, iż pustynia w lipcu istnem piekłem być musi, jednakże wcale tak nie jest; wpra-

¹⁾ Kawasi, jest to straż, a zarazem służba, którą na Wschodzie każdy konsulat i każde poselstwo mieć musi. Kawasi noszą zazwyczaj strój turecki i długie szable.

wdzie w porze dziennej trudnoby było narażać się na palące słońca promienie, od których piaski jeszcze i wieczorem bywają rozgrzane; czasami noce również są przykre i groźne, gdy straszny gość afrykański, skwarny chamsin, zawita w pustyni; dziwnem jest jednak, że właśnie w lipcu przez parę tygodni wiatr chłodny powiewa z północy. Istnieje nawet starożytna legenda egipska, która okres ten chłodnych wiatrów tem tłumaczy, iż bogini Izyda, pragnąc wskrzesić do życia ciało męzonego Oziryna (siłą żywotną natury), powiewa nad nim skrzydłami swemi i tchnieniem swem je cuci.

Otóż więc i dzień 5-ty lipca należał do tych dni błogosławionych, w których nad Nilem świeży powiew czuć się dawał.

Minąwszy znany już czytelnikom z mych poprzednich opisów most na Nilu, obok koszar Kaszel-Nil (dziś przepelnionych angielskiem wojskiem), jechaliśmy czas dłuższy cienistą aleją wzdłuż wybrzeża Nilu. Za rzeką na tle ciemno-błękitnej nocy zarysowały się skały Shokałtamu, poniżej nieco szczyty i wieże Kairu, a dalej znów bujne ogrody wyspy Rhodah.

Z licznych łódek, których rozpięte żagle powiewały nad wodą, rozlegały się monotonne śpiewy arabskich śpiewaków, powtarzających przy wtórce brzękających „eul'ów¹⁾ „Leilet el Leilet, Mahabi²⁾— (Nocy, o nocy, pełna uroku).

Po drugiej stronie drogi, którą jechaliśmy, widać było tylko olbrzymie, daleko ciągnące się mury, gdzieniegdzie żelaznemi opatrzone bramami. Z za murów tu i owdzie dostrzedz można marmurowe tarasy i rzeźbionemi kratami osłonione balkony haremów. Są to pałace możnych baszów i książąt z ro-

¹⁾ „Eul^k—instrument, podobny do gitary.

²⁾ Tą zwrotką zaczynają i kończą zazwyczaj śpiewacy arabscy swe pieśni wieczorne.

dziny khedywa. Najwspanialszy z tych pałaców, zwany Kasz-Ani, należał do prababki dzisiejszego wicekróla Abbasa, niegdyś małżonki Ibrahima-baszy ¹⁾. Po jej śmierci zamieszkiwała pałac jedna z emerytowanych żon Ismaila; przed dwoma zaś laty gmach ten wspaniały sprzedany podobno został towarzystwu angielskiemu, które zamieniło go na hotel-pension.

Minąwszy Kasz-Ani, ujrzeliśmy znów pałac Gizeh, będący niegdyś letnią rezydencją Ismaila, a w którym złożono teraz zbiór starożytności egipskich; w cieniu palm i cyprysów, kędy snuły się niegdyś postacie uroczych odalisek, spoczęły dziś olbrzymie sarkofagi i tajemnicze starych bogów posagi.

Tuż za pałacem wjechaliśmy na wygodny gościniec, ocieniony akacyami i sykomorami, których gałęzie tworzą jakoby dach zielony nad całą drogą. Przed nami w dali ukazały się teraz Piramidy w całej swej okazałości, rosnąc niejako i olbrzymiejac z chwilą każdą.

Przestrzeń około 12 wiorst ($1\frac{1}{2}$ mili) oddziela Kair od skalistej wyżyny pustyni Libijskiej ²⁾, na której wznoszą się trzy najwyższe piramidy, otoczone rzędem pomniejszych grobowców, tak zwanych „mastaba” ³⁾. Tworzą one jakoby mur graniczny, dzielący dolinę Nilu, t. j. krainę bujnego życia od martwej pustyni, która u starożytnych była ojczyzną grobów. Wszystkie grobowce i nekropole egipskie znajdują się na zachodnim brzegu Nilu, t. j. tam, kędy słońce, będące u Egipcyan symbolem gasnącego i zmartwychwstającego życia, zachodzi i znika nam z oczu, w tajemniczych przestrzeniach „Amentu“ (krainy duchów).

¹⁾ Ibrahim-basza był, jak wiemy, ojcem ex-kedywa Ismaila.

²⁾ Pustynia Libijska dźwiga 17 piramid, z tych trzy najwyższe noszą nazwę piramid „Gizeh,” od wioski tejże nazwy, znajdującej się w pobliżu.

³⁾ „Mastaba” — grobowiec, mający kształt spłaszczonej piramidy.

Na wpół drogi do Piramid czyhają już na zbliżające się pojazdy tłumy Beduinów. Stojem i dumną podstawą różnią się oni od egipskich fellahów. Białe albo czarne płaszcze, zręcznie zarzucone, okrywają ich smukłe postacie; szafirowe chwasty u pasowych fezów mieszają się z kruczym, kędzierzawym włosiem; twarze ich brunatne, o rysach wydatnych, rażą jednak niemilym wyrazem, przypominającym żarłoczne i ponure sępy.

Chciwość i natręctwo tych malowniczych synów pustyni nie ma istotnie miary; rzucili się oni na nas, jak na zdobycz; wyprzedzając w biegu nasze konie, krzyczeli co sił: „Bakszysz ketir, ketir“ (datek wielki, wielki); jedni z nich ofiarowali nam starożytne posążki i amulety, drudzy przynosili nam dzbany z wodą, żądając wzamian cygaretek i tytoniu, inni jeszcze narzucali się na przewodników. Nie wiem, czy bylibyśmy cało z rąk ich wyszli, gdyby nagle nie był się zjawił wśród nich „szeik,“ to jest przewodca Beduinów. Przed wzniesioną jego łaską i siwym włosiem rozstąpiły się natrętne zgraje, a on sam, powitawszy nas z układnością światowego człowieka, ofiarował nam swoje usługi. Wyciągnął też z zanadrza cały zwitek papierów, pokazując pieczęcie i podpisy, które miały dowodzić, iż pierwsze znakomitości świata wprowadzał na szczyty Piramid. Łamaną francuszczyzną zaczął on nam opowiadać rozmaite podania historyczne, w komiczny sposób mieszając nazwiska i daty i przerywając opowiadania ustawicznymi wykrzyknikami: „Colossal piramidall“

Powierzywszy więc nasze osoby opiece szeika Solejmana, postępowaliśmy z wolna za nim, brnąc w falach piasku i patrząc w milczeniu na owe ciężkie, olbrzymie pomniki, których długie wieki zachwiać nie zdołały. Napróżno ludy i narody, jak fale burzliwe uderzały raz po raz o ściany tych gmachów, napróżno najdumniejsi świata władcy starali się ro-

zerwać te głązy, piramidy po dziś dzień górują nad Egiptem, jak gdyby wrosły w starożytną ziemię, a przysłowie arabskie zapewnia, że czas wszechwładny legł u stóp ich znużony.

Wrażenie, jakiego doznajemy na widok tych najpierwszych pomników architektury staroegipskiej, jest, rzechy można, przytłaczające, przygnębiające myśl i ducha; a wszakże i geniusz ludzki, gdy się objawił w tych dziełach, nie zachwył, lecz podziw tylko budzących, był jeszcze jakby niemowlęciem, spowitem u łona matki-natury, i nie znał potęgi skrzydeł swych lotnych.

Wielkość, siła, niespożytość, oto jedyne ideały, którym hołdował.

Wspomniałam powyżej, iż piramidy wzniesione są na skalistej wyżynie, sto stóp nad poziom Nilu wysokiej; są one jakoby wkopane w skałę, gdyż jedna z komnat we wnętrzu piramidy Cheopsa wykuta jest w skałe samej.

Najwyższa ta piramida, zwana przez Arabów „jasnością świata,“ ma 451 stóp wysokości, jest więc prawie tak wysoką, jak wieża strasburska, jednakże, gdy staniemy u jej podnóża, wydaje się ona o połowę niższą, niż się zdala przedstawiała. Jest to optyczne złudzenie, pochodzące ztąd, iż podstawa piramidy jest nadzwyczaj szeroka, gdyż ma do 800 stóp w obwodzie. Jeśli jednak zważymy, że głąz każdy tej budowy ma do 10 stóp długości, a $3\frac{1}{2}$ wysokości i że głązy takie prawie równej wielkości do samego szczytu sięgają, wtedy dopiero pojąć możemy, jak są wspaniałe rozmiary tego grobowca. Kamienie spajane są z sobą tym sposobem, iż kamień niżej umieszczony ma jak gdyby rynnę żłobioną, do której szczelnie przystaje listwa, wyciosana w kamieniu górnym, tworząc przez to jednolitą, niewzruszoną opokę. Ile to rąk, ile wytrwałości i trudu trzeba było do wykończenia takiej budowy, o tem my dziś zaledwie pojęcie mieć możemy, tembardziej, iż pirą-

midy nie są wewnątrz puste, lecz wypełnione ociosanymi głazami.

We wnętrzu piramidy Cheopsa znajdują się tylko trzy niewielkie sklepione komnaty i kilka przejść podziemnych, tak ściśniętych i niskich, że w wielu miejscach byliśmy zmuszeni pełzać i przeciskać się z największym trudem. Wszystkie komnaty i przejścia są dziś zupełnie puste; w jednej z nich tylko znaleziony został (w czasie francuskiej okupacji) sarkofag, ale również pusty i nie noszący żadnego napisu; jednakże na ścianie komnaty wyryte jest w hieroglifach imię króla: Chufu, czyli Cheopsa; napis ten, jak również imię w późniejszych grobach wyryte wzmianki, dowodzą, iż twórcą głównej piramidy był Cheops (dyn. 4-ta memficka).

Kronikarze starożytni przedstawiają nam tego władcę, jako nieubłaganego, nie mającego litości mocarza, który nie szanował świątyni, a szafował życiem i mieniem swego ludu.

Przez lat dziesięć — opowiada Herodot — pracować musiał lud biedny nad założeniem gościńca, którym z kamieniołomów Turry i Massary ¹⁾ prowadzono olbrzymie, już ociosane głazy, przeznaczone do budowy piramidy, lat dwadzieścia zaś jęczeli nieszczęśliwi niewolnicy, dźwigając w górę olbrzymie głazy. Ślady gościńca, wiodącego do Turry, istnieją po dziś dzień, choć w części zasypane żwirem.

Piramidy pokryte były w starożytności granitową powłoką, która zniszczoną została w wiekach średnich. Na tej to powłóce znajdować się miały niegdyś hieroglificzne złożone napisy, a między innymi wzmianka, iż przez czas budowania piramidy na samą rze-

¹⁾ Kamieniołomy Turry istnieją, jak wspomniałam, po dziś dzień w pustyni Arabskiej, na wschodnim brzegu Nilu, musiał więc w starożytności most rzucony na rzecę ułatwiać przewóz głazów w stronę pustyni Libijskiej, to jest łączyć oba wybrzeża.

pę i cebulę dla robotników wydawał Cheops 1,600 talentów srebrnych.

Dziś niema ani śladu hieroglifów na powierzchni piramid, ale za to na każdym kamieniu wyryte są imiona turystów, którzy je podziwiali, na samym szczycie zaś, wśród wielu nazwisk i napisów angielskich, odnalazłam na wpółzatarę, ręką Juliusza Słowackiego niegdyś wyryte słowa: „Przekażcie wiekom!...” dalej data 29 listop. 1830 i zaledwie widoczne już litery Jul... S...

Wejście na szczyt piramid należy istotnie do bohaterskich czynów, gdyż wspinanie się po olbrzymich głazach jest, szczególnie dla kobiet, nadzwyczaj męczące; trzeba dać się wlec i podnosić czterem Arabom, którzy szarpia i ciągną turystów w sposób nielitościwy, a pyszniąc się zręcznością przed europejczykami, urządzają zazwyczaj rodzaj turnieju i stawiają zakłady, który z nich najpierw ze szczytu powróci. Czepiają się też głazów jak sępy ku wielkiej uciechu Anglików, dla których zwiedzanie piramid jest rodzajem sportu. Aby sobie sport ten uprzyjemnić i ułatwić, zbudowali Anglicy przed trzema laty, tuż naprzeciw głównej piramidy hotel, zwany hotelem Mena, a odpowiadający wszelkim wymaganiom nowoczesnym zbytku i komfortu. Obok hotelu znajduje się pole do lawn-tennis, gimnastyka, pływalnia, słowem wszystko, co Anglikom do życia niezbędne. W porównaniu jednak do starożytnych pomników Egiptu, hotel Mena, podobnie jak zbudowane tu niegdyś, dziś pustką stojący szalecik cesarzowej Eugenii, wydaje się przesadnie ustrojonym kąpielcem.

Dokoła uwijają się tłumy angielskich dzokiejów, w czerwonych frakach i odartych arabskich przekupniów; ci ostatni rozkładają kramy z towarami pod samym grobowcem Cheopsa, gwarem i ruchem ustawicznym znieważając ciszę i powagę, jaką otoczone były niegdyś groby pustyni Libijskiej.

W tym czasie jednak, gdy je po raz pierwszy

zwiedzałam, hotel Mena nie istniał jeszcze; dokoła więc panowała cisza tak uroczysta, taki spokój martwy, tajemniczy, iż mimowoli wstrzymaliśmy tchnienie w piersiach, aby niczem tej ciszy cmentarnej nie przerywać.

Pragnąc poznać dokładnie rozmiary piramid, próbowałam obejść każdą dokoła, ale przechadzka ta okazała się o wiele mozolniejszą, niż w pierwszej chwili sądziłam; zdawało się, jak gdyby olbrzymie ściany grobowców rosły wszereż i umykały przed nami.

Tuż do piramidy Cheopsa przypiera mały, na wpół rozwalony grobowiec; Słowacki nazywa go Cheopsową górą, gdyż według podania, pomnik ten wzniesiony został dla córki Cheopsa, która od każdego ze swych wielbicieli żądała jednego kamienia do tej budowy. Ponieważ głazy piramidy na setki liczyć można, wnioskować trzeba, iż córka Faraonów posiadała dar niepospolity podbijania serc.

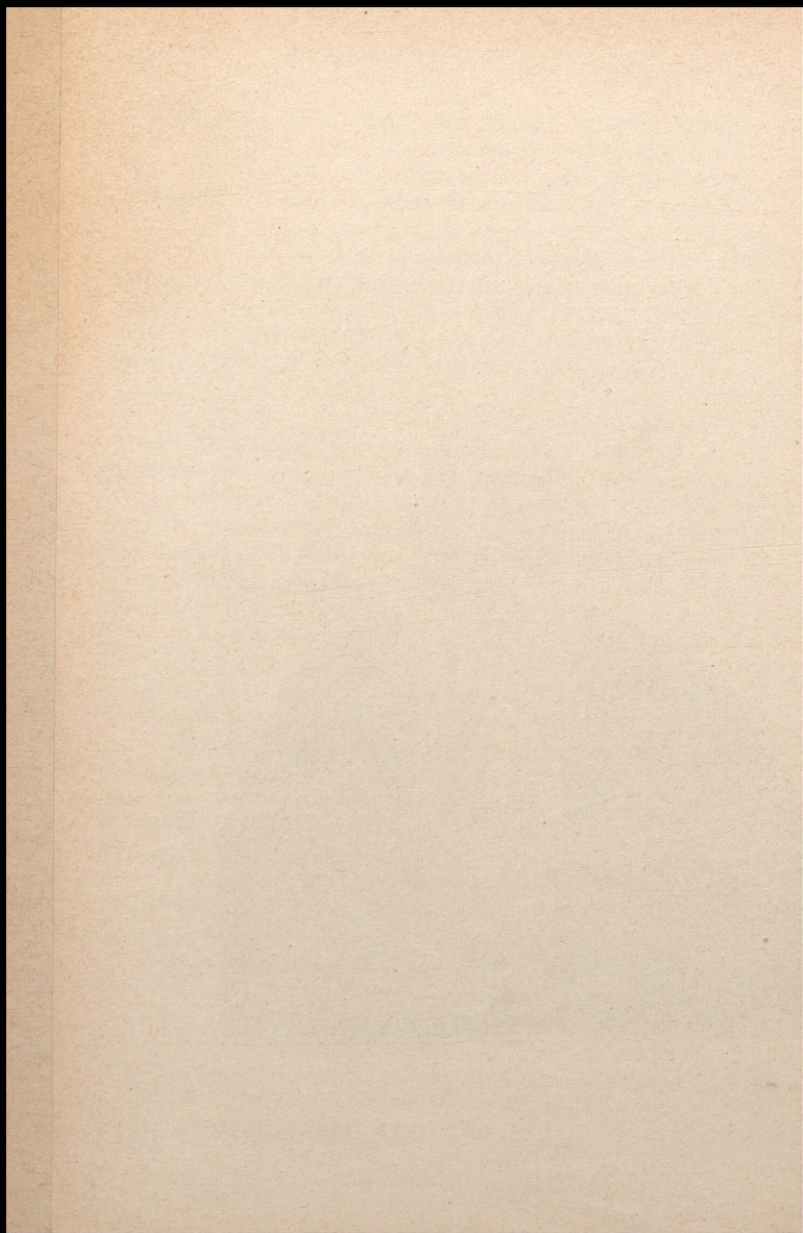
Druga z rzędu wielka piramida jest dziełem króla Szeffrena, jakkolwiek nieco niższa od Cheopsowej i nie tak starannie zbudowana, posiada ona jednak u szczytu szczątki dawnej granitowej powłoki.

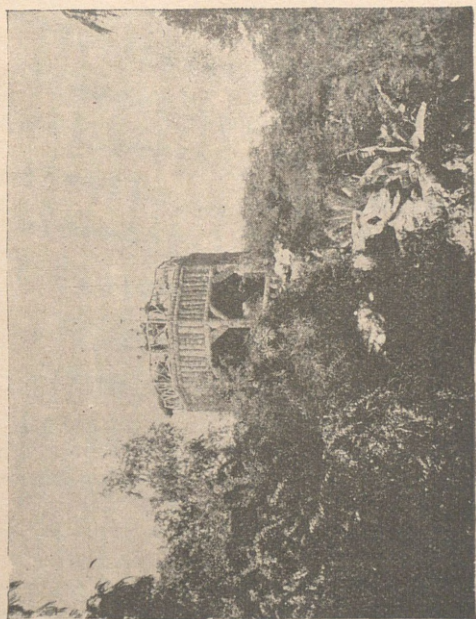
Twórcą trzeciej piramidy miał być Faraon Mykerinus, następca Szeffrena i Cheopsa; grobowiec jego jest znacznie niższy od poprzednich, ale najkształtniejszy i najstaranniej wykończony co do wewnętrznej budowy.

Obok sarkofagu króla znaleziono w trzeciej piramidzie sarkofag z bazytu, należący do królowej Nitokris, małżonki Mykerinusa, a o której liczne podania i legendy krążą dotychczas w ustach ludu. Beduini opowiadali nam, iż nad tą piramidą ukazuje się czasami kobieta w bieli, nadzwyczaj piękna; uśmiechem i skinieniem wabi ona podróżnych, ale biada temu, kto urokiem jej oblicza zwabiony, na szczyt piramidy wejść pragnie; z zimnym i szyderczym uśmiechem strąca go widmą ze szczytu. Według

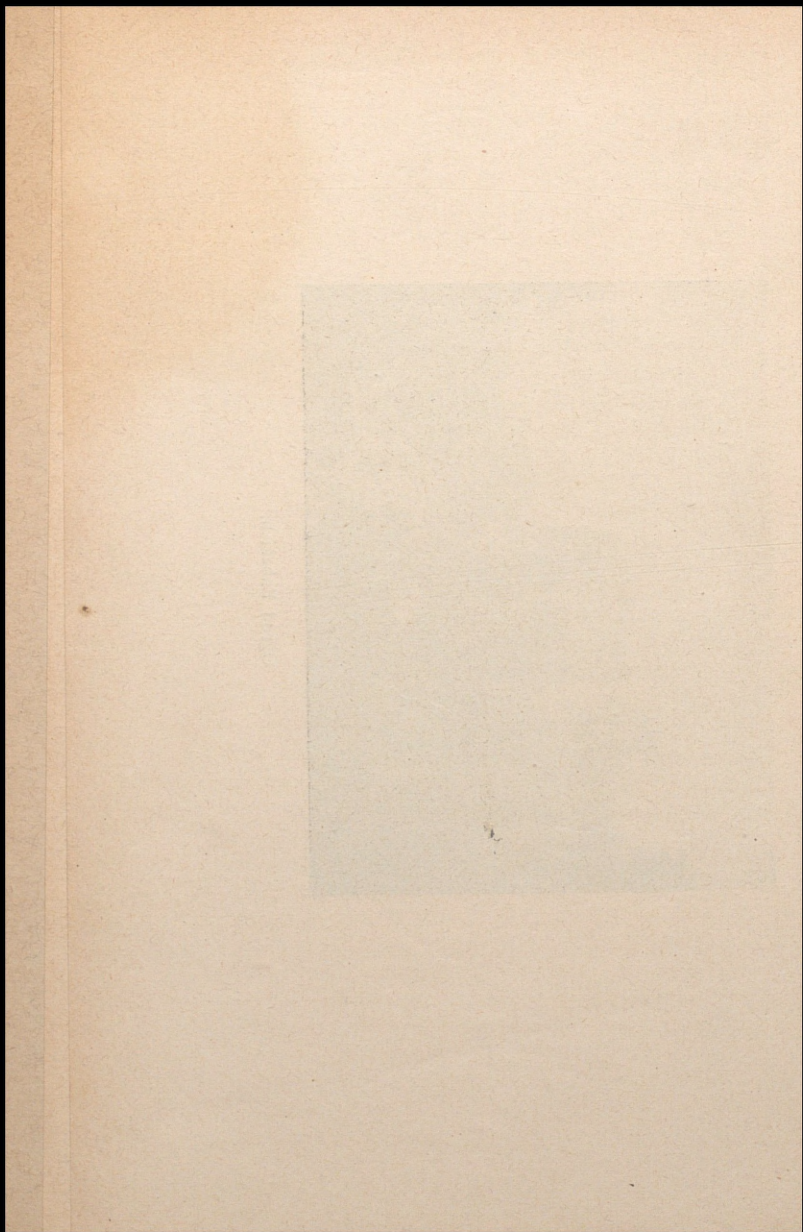


Szeik.





Ogród Ezbekich.



greckich podań, widmo to ma być duchem pięknej Rhodopis (a więc nie królowej Nitokris), faworyty króla Mykerinusa, dla której właściwie trzecia piramida wzniesioną została. Owa Rhodopis, jak opowiada Strabon, była rodem z Sais, zaludnionego już natenczas przez Greków. Kiedy dnia pewnego kąpała się w Nilu, orzeł porwał nagle jeden z jej pantofelków i uniósł w obłoki, a przelatując nad ogrodami Memfis, rzucił śliczny ów pantofelek Faraonowi pod stopy. Faraon po całym kraju szukać kazał właścicielki, a odnalazłszy piękną Greczynkę, uczynił ją panią swego serca.

Jest to więc baśń o Kopciuszką, przeniesiona pod piramidy, i dowodzi, że jak świat światem, tak pantofelek kobiecy ważną na ziemi grał rolę.

Ale zapomnijmy na chwilę o baśniach i legendach, a zastanówmy się, w jakim celu wznoszono te olbrzymie budowle i dlaczego nadano im kształt ten, którym zadziwiały świat cały i tajemniczym legendom otworzyły pole?

Przez długie wieki toczono spory co do celu pierwotnego piramid. Niektórzy uczeni chcieli w nich widzieć olbrzymie zapory, mające wstrzymywać piasku nawały, zalewające dolinę Nilu, z wiatrem zasypujące i miasta Deltę. Drudzy orzekli, że służyły one do spostrzeżeń astronomicznych bieglą w tej nauce Egipcyanom. Tego ostatniego twierdzenia dowodzono tem, że istotnie narożniki piramid zwrócone są ku czterem stronom horyzontu i odznaczają bardzo dokładnie północ, południe, wschód i zachód. Trudno jednak przypuszczać, aby astronomowie egipscy, jak akrobaci, wspinali się na piramidy, które w tamtych wiekach były prawie niedostępne, gdyż posiadały z granitu powłokę śliską i gładką. Woliemy raczej przypuszczać, iż Egipcyanie dlatego tak dokładny kierunek nadawali swym grobowcom, ponieważ w zjawiskach przyrody, szczególnie zaś w c

wschodzącem i zachodzącem słońcu, szukali symbolów religijnych.

Zresztą, wszyscy starożytni pisarze, jak Herodot, Strabon, Diodor, uważają piramidy za grobowce, a że tak jest, przekonały nas o tem nie tylko znalezione w ich wnętrzu sarkofagi, ale również napisy hieroglificzne, odczytane w innych grobach i świątyniach. Znajdujemy tam wzmianki, iż piramidy są to mieszkania wieczne, w których dusza zmartwychwstaje.

Wschodnie ludy jednak nie mogą się pogodzić dotychczas z tą myślą, iż dumne te gmachy tylko jako mogiły służyć miały.

Legendy hebrajskie nazywają je spichlerzami Józefa, gdyż w nich to przechowywać miano zapasy zboża na lata głodu w Egipcie. Podanie to jednak trudno pogodzić z prawdą, gdyż piramidy, jak już wspomniałam, nie są puste wewnątrz, lecz wypełnione glazami, nie wielkie więc zapasy pomieścićby mogły. Podanie arabskie w inny znów zupełnie sposób tłumaczy nam dzieje piramid.

Oto na 300 lat przed potopem panować miał w Egipcie Faraon, nazwiskiem Soris. Dnia pewnego Bóg zesłał nań sen, w którym mu ukazał zniszczenie świata przez wodę. Wtedy Soris, chcąc ciała swych praocjów, księgi święte praw, oraz bogactwa nagromadzone uchronić od zniszczenia, kazał zbudować piramidy. I potop przeminął i zmienił całą powierzchnię ziemi, ale piramidy nie zdrząły i przechowane w nich skarby ocalały.

Baśń o tych skarbach ukrytych była powodem, iż każdy z najeźdźców, uderzających na Egipt, starał się wtargnąć do wnętrza grobowców. Najpierwszy rozpoczął dzieło zniszczenia Kambizes, w czasie zaboru perskiego. Jego to głównie oskarża historia, iż łupił świątynie, rozwalął grobowce, niszczył posągi i targnął się na najświętsze pamiątki i religijne zwyczaje Egiptu. Niektórzy kronikarze utrzymują,

że już przed Kambizesem piramidy spustoszone zostały przez lud egipski, który, mszcząc się krzywd swoich i ciężkiej niewoli na trupach królów tyranów, mumie ich wyrwał a posągi porąbał, aby dusze ich nie powróciły już do ciał opuszczonych.

Wejście do grobu Cheopsa znajduje się w zachodniej ścianie, 18 metrów powyżej podstawy. Zwiedzanie jednak wnętrza piramidy jest nadzwyczaj utrudzającym; trzeba prawie nieustannie zginać się i pełzać, lub przeciskać przez wąskie ganki i niskie przejścia. Brak światła i powietrza, które tylko przez górne rynny się przeciska, bardzo jest dokuczliwy. Przewodnicy Arabowie zaopatrzeni są wprawdzie w pochodnie i świece, ale często dla własnej rozrywki gaszą je nagle, bawiąc się przestachem turystów, którzy w tym labiryncie kamiennym oddani są zupełnie na ich łaskę i niełaskę.

Zresztą wewnątrz piramid nie przedstawia nic tak dalece ciekawego; przez długie, tajemnicze ganki, zawalone gdzieś tam granitowymi głazami, dostajemy się wreszcie do komnat grobowych, z których jedna, na 13 metrów długa, a na 6 wysoka, zwana jest komnatą króla, gdyż w niej to spoczywać miały zwłoki największego w świecie tyrana, któremu nie tylko za życia, ale i po śmierci cześć boską oddawano.

Przy każdym grobowcu stawiano małe świątynie, jak gdyby kaplice grobowe, w których cześć oddawano zmarłemu królowi. Ze świątyń tych ledwie ostatnie gruzy znajdujemy w nekropoli Gizeh. Lepiej zato zachowane są małe piramidy o szczytach spłaszczonych, tak zwane mastaby, których całe szeregi u stóp wielkich piramid napotykamy. W grobach tych interesujące są hieroglify, bądź to żłobione, bądź w rodzaju płaskorzeźby, wykonane w ścianach i barwami ozdobione.

Prócz tych mogił, znajdują się jeszcze w nekropoli Gizeh całe rzędy głębokich lochów, w skałe

wykutych. W lochach takich składano mumie ubogich, którzy nie byli w stanie zakupić osobnego grobowca. Często i kilkadziesiąt mumij znajdowano w takim lochu; lud arabski odzierał je z kosztowności i starożytnych amuletów, ciało zaś suche rąbano jakby drzewo na opał i palono niemi. Biedni Egipcianie! Te ciała, które z taką starannością przechowywali, wierząc, iż dusza znów je kiedyś ożywi, dziś rzucone na pastwę płomieni, służą do ogrzania strawy dzikich Beduinów.

Poniżej piramid, na stoku skalistej wyżyny, zwrócony ku wschodowi, wpatrzony w słońce zmartwychwstające, śpi olbrzymi Tytan, stróż grobów, sfinks tajemniczy. Tułów jego, 64 metry długi, przedstawiający lwa leżącego, zagrzebany jest zupełnie w piaskach; głowa tylko, 18 metrów wysoka, ociosana w kształt głowy ludzkiej, wznosi się dumnie ponad skwarnymi falami żwiru. Postać cała jest ze skały, dłutem w rzeźbę zamieniona. Olbrzymia twarz budzi wrażenie, którego nikt nie zdoła w życiu zapomnieć. Oko podłużne, jak zwykle u dawnych Egipcyan, pełne smutku i powagi, patrzeć się zdaje w dal, w przyszłość wschodzącą; usta szerokie nieco, ale wyraz ich rzewny i łagodny; ucho zaś zdaje się chwytać hymny pustyni, echa dalekich wichrów. Nos tylko zeszpecony, odrąbany złośliwą ręką, psuje nieco harmonię tego oblicza. Posądzano o ten barbarzyński czyn żołnierzy Kambizesa, jednakże kronikarze wspominają jeszcze w średnich wiekach o nosie biednego sfinksa. Zdaje się więc, że sami Arabowie, wierząc, iż sfinks rzuca urok na pielgrzymów, chcieli zniszczyć kamiennego potwora. Zdarzyło się jednak, iż sprawca zamachu, wymierzywszy siekierą w twarz sfinksa, z taką wściekłością i siłą uderzył o skałę, iż sam zatoczył się w tył i upadłszy na skałę, zabił się na miejscu. Odtąd mają Arabowie przed sfinksem trwogę zabobonną i nazywają go „ojcem strachu“ (Abu-el-Hol).

O kilkanaście kroków koło sfinksa odgrzebaną została niedawno świątynia, zwana powszechnie świątynią sfinksa, czyli Horusa. Ściany i filary tej świątyni utworzone są z wielkich głazów granitowych, na 12 metrów długich; niektóre z nich mają nakrycie z alabastru, inne zaledwie grubo ociosane. Poznać łatwo, iż budowa ta należy do pierwszych, nieforemnych jeszcze dzieł architektury staroegipskiej, i równie jak sfinks, którego praojcem piramid nazywaćby można, sięga najdawniejszych czasów Egiptu.

Oto wzmianka, którą znajdujemy w jednym z grobowców w Gizeh o tej świątyni, jak również o świątyni Izydy, której ruiny opodal od piramid odkryto. Napis ten hieroglificzny przetłómaczono w ten sposób: „Żyjący Horus-Chufu (Cheops), król Górnego i Dolnego Egiptu, odnowił świątynię Izydy; wznosił on piramidę w miejscu, w którym sfinks się znajduje na północno-zachodniej stronie od świątyni Ozyrysa.“

W samej świątyni nie ma ani napisu, ani rzeźby żadnej, ani hieroglifów; ściany z granitu nagie, puste, pozostaną dla nas zagadką wieczną, równie jak postać wieczna Sfinksa, o którego pierś kamienną tyle ludów, tyle wieków się rozbiło!

Znużona zwiedzaniem piramid, usiadłam na chwilę u progów granitowej świątyni, chcąc zebrać myśli i zdać sobie sprawę z tych cudów, na które patrzyłam. Noc była cicha; księżyc szeroką tarczą swoją spoglądał w twarz Sfinksa i błękitne światło rzucał na alabastry i marmurowe głazy świątyni. W głębi, na jasnym tle pustyni, rysowały się niezmierzone okiem, wspaniałe we śnie swoim piramidy, za nimi przestrzeń nieskończona — martwa, milcząca, jak one. Patrzyłam z podziwem na te ciężkie wiekowe grzyby; myśl moja jednak biegła mimowoli od tych ponurych głazów do średniowiecznych lekkich gotyckich koronkowych gmachów, w których

wyobraźnia tak swobodnie buja, w których modlitwa, jak lekki oddech, w górę się unosi.

W świątyni egipskiej myśl ludzka czciła Boga, jako pana, drżała przed nim, jak przed strasznym władcą, ale niezdolna oderwać się od ziemi, nie mogła jeszcze ukochać w nim... ojca!

ROZDZIAŁ XIII.

Ruiny Memfis.—Piramidy Sakkary.—Przygody nasze.—Chamoin na pustyni.—Gróbowiec Apisów.—Wiara dawnych Egipcyan w nieśmiertelność duszy.

Patrząc na setki granitowych mogił, z których zmartwychwstaje nam dawna chwała i wiedza Egiptu, podziwiając długie rzędy piramid i szkielety wspaniałych świątyń, drzemiące pod skwarnym piaskiem pustyni, pytamy mimowoli: gdzie znikło miasto żyjących, co się stało z owem czarodziejskiem Memfis, o którym takie cuda prawią nam starożytne kroniki?

Dziś na całej tej przestrzeni pozostały tylko stopy drobnych kamieni, okruchy poczeriałych cegieł i gdzieniegdzie odłamy zdruzgotanych posągów. A wpośród tych szczątków pogrzebanej chwały istnieje uboga arabska osada, zwana Memf, a złożona z kilku lepierek lichych, z których wyziera straszna nędza fellahów. Oto spuścizna dumnych Faraonów! Ich prawnuki—żebrakami.

W burzy wieków ocalała tylko staranniej budowana przez Egipcyan nekropola, jako przybytek nieśmiertelnych dusz i ciał śpiących, oczekujących zmartwychwstania. Nekropola ta, cmentarz, nosi nazwę Memphis — Sekkarah, gdyż w pobliżu istnieje wioska, zwana po arabsku Sakkara.

Grobowce rozrzucone są po zachodniej stronie Nilu, jak wszystkie mogiły egipskie; tworzą one główne ogniwo długiego łańcucha piramid, którego początkiem są opisane powyżej groby królewskie w Gizeh. Łańcuch ten zajmuje całą wyżynę pustyni Libijskiej i sięgając po Górny Egipt, gubi się u progów tej nowszej nieco skarbnicy egipskich pamiątek, tej tajemniczej krainy, gdzie niegdyś dumne Teby setką bram swoich otworem stały.

Dążąc do Sakkary, dojechaliśmy z południowego dworca w Kairze, Bulak-Dakrur, do stacji Bedriszeni, o trzy mile od Kairu odległej. Południowa ta kolej przecina całą dolinę Nilu, zwężoną tuż za Kairem i tworzącą kraniec Deltę. W Bedriszeni wsiedliśmy na osiolki, które rade nierade podróż z nami koleją aż ze stolicy odbyć musiały, gdyż na pomniejszych stacyach w Egipcie trudno nawet o osły. Z dworca kolei puściliśmy się na przełaj przez pola, w ślad za przewodnikami Arabami. Wkrótce ujrzelśmy przed sobą szeroki parów, jak gdyby łożysko wyschniętego jeziora. Było to istotnie przed wiekami jezioro święte, przedzielające nekropolę od miasta. Tuż za jeziorem ukazał się gaj palmowy, poświęcony niegdyś bożkowi Phtah, którego świątynia wznosiła się w temże miejscu. Gaik ten to ostatni obraz życia i rozkoszy u wejścia do martwej krainy grobów. Za laskiem wjeżdżamy już w puszcę; niegdyś przed tysiącami lat istniały tu owe domy żałoby, w których balsamowano mumie; zajmowały one szeroką przestrzeń i tworzyły długie ulice, przecięte kilka razy strumieniami słonej, natronem przesyconej wody, która służyła do płukania ciał. Tysiące ludzi pracowało około usługi zmarłych i budowy grobowców. Spędzano do tej pracy więźniów i zbrodniarzy, a osobny cech księży i operatorów zajmował się urządzeniem wszystkiego w sposób przez religię nakazany.

W jednych domach czyszczono ciała, w dru-

gich przedzono i tkano płótna do owijania mumii, w trzecich znów przechodziły ciała kąpiel 70-dniową w natronie, poczem wypełniano je żywicą lub innymi balsamami. Zależało to od taksy, którą rodzina zmarłego zapłacić mogła. Mumie, za które nie złożono okupu, t. j. nie zwrócono kosztów balsamowania, pozostawały w domach żałoby tak długo, dopóki nie znalazł się miłosierny krewny lub przyjaciel i nie wykupił ich. Poczem składano mumie bądź w osobne grobowce, przeznaczone dla bogatych, bądź rzucono je do wspólnych lochów i mogił.

Odпочąwszy pod cieniem palm ostatnich, które nas, dążących w puszcę dziką, zdawały się żegnać kołysaniem swych zielonych koron, ujrzałam nad brzegiem parowu olbrzymi kamienny posąg, twarzą zagrzebany w ziemi. Jest to posąg Ramzesa II-go (Sezostrysa), obalony przed wiekami, a zbyt ciężki, aby go podnieść zdołano, gdyż ma kilkanaście metrów długości i poniewierając się w prochach, znosi hołdy ciekawych turystów, którzy klęcząc, przypatrują się zwykle tej olbrzymiej postaci.

Z podziwem patrzyliśmy na obalonego Faraona, budząc w myśli historyczne wspomnienia, gdy nagle tuż około moich uszu rozległ się krzyk przestachu, a nad głową Ramzesa ukazały się dwie, żywo się poruszające otyłe nóżki jednego z naszych turystów. Nieszczęśliwy nasz towarzysz chciał, nie zsiadając z osła, przypatrzeć się bliżej hieroglifom, a pochyliwszy się zbyt na siodle rozstał się ze swym rumakiem. Szczęściem skończyło się na kilku niezna-
cznych guzach, które opatrzywszy, podążyliśmy dalej w puszcę. Leżała ona teraz przed nami, ale nie tak jasna i spokojna jak zwykle; bezgraniczna ta przestrzeń stała się nagle straszną i groźną. Szare słupy kurzawy unosiły się nad nią i zalewały nas nieustannym deszczem skwarne go żwiru.

Cała puszcza wydawała się jak morze ruchome, wichrami wzdęte, ku nam płynące. Nagle ska-

ły i wzgórza buchały żarem, jak rozpalone ogniska, a skwar jak płomień cisnął się do naszych płuc i oczu. Poznaliśmy teraz, że mamy do czynienia ze strasznym gościem puszczy, z chamsinem — skwar-
nym huraganem afrykańskim.

Dobyliliśmy szale i chusty, rozwieszając je jak żagle nad głowami dla ochrony od słońca, które pomimo, że przysłonięte obłokiem kurzu, zalewało nas gorącymi promieniami, jak gdyby strugami roztopionego złota! Przewodnicy arabscy zastłonili oczy turbanami, a usta zatykali rękami, aby nie łykać piasku. Nawet biedne osły pochylały głowy i rycząc, zwolniły biegu, gdyż sił im nie stawało.

Dziwnym kaprysem wyobraźni straszna ta walka z wichrem skwar-
nym przypominała mi nasze zadymki śnieżne na stepach Podola. Ileż to byłibyśmy dali w tej chwili za jeden powiew śnieżny naszej polskiej zimy!

Po godzinnem prawie pasowaniu się w płomiennej kąpieli piasków, stanęliśmy na skalistej wyżynie, u stóp piramidy, tak zwanej Schodowej. Jest to najstarszy pomnik architektury nie tylko w Egipcie, ale na całym świecie.

Budowa ta ma 120 metrów wysokości, a olbrzymie jej głązy tworzą rząd schodów równej wielkości. Pomimo tych schodów trudno wydostać się na szczyt piramidy, gdyż kamienie w wielu miejscach rozpadają się i usuwają, a jeden z turystów angielskich przed kilkoma miesiącami przypłacił życiem swą nierozsądną chętkę wdarcia się na szczyt tej starożytnej mogiły. Według Monitora i sądząc z różnych wzmianek, odczytanych z grobowych tablic w innych świątyniach, piramida Schodowa jest dziełem króla Uenefesa (4800 lat przed Chr.). Czy służyła za mogiłę temuż królowi, odgadnąć trudno, gdyż w jej wnętrzu nie odnaleziono nic prócz kości byków. Można by więc sądzić, że gmach ten był pierwotnie grobowcem apisów, zanim na ten cel

wzniesiono w pobliżu wspaniałe Serapeum, świątynię, w której Grecya hołd złożyła mistycznej wierze Egiptczyń, tworząc nowe bóstwo Serapis, t. j. Ozyrys—Apis.

Dokoła najwyższej piramidy Schodowej istnieje na polach Sakkary cały szereg grobów i mniejszych piramid. Gdziegdzie z pod piasków wycierają głowy wielkie i ziemia tętni pod stopami, jak gdyby kryła podziemne lochy.

Niejedną pewnie tajemnicę, niejedną jeszcze skarb odgrzebaćby tu można pod calunem żwiru, ale jest to istna praca Syzyfa, gdyż jeden powiew wichru zasypuje często ruiny, które z największym trudem z pod piasków dobyto.

Piramidy Sakkary otwarte zostały przed kilku laty; przekonano się jednak, niestety, że i do nich już przed wiekami Grecy i Arabscy najeźdźcy drogę znaleźli. Jedną z nich szczególnie jest zajmująca, gdyż ściany jej pokryte są hieroglifami zieloną barwą powleczone. Jedną komnatę ma sklepienie również zielonymi gwiazdami ozdobione.

Pomimo chęci i ciekawości nie mogliśmy się dokładnie tym cudom przypatrzeć, skwarny wicher srożył się wściekle, unosząc nasze parasolki i kapelusze, rwąc suknie i zasłony. Musieliśmy na chwilę uznać go panem puszczy i szukaliśmy schronienia w lichej lepiance, zwanej domem Mariette-beja. Słynny ów egiptolog mieszkał przez czas dłuższy na pustyni, pracując niezmiernie nad odgrzebanie starego świata. Sto kilkadziesiąt grobów odkopano wówczas, a groby te rzuciły nowe światło na wieki minione.

Dostawszy się pod dach, uczuliśmy się tak szczęśliwymi, jak gdyby nie palmowe ściany, ale marmury pałaców nas otaczały. Żartowaliśmy teraz z wichru i jego wściekłości; dobyliśmy też zapasy żywności, między którymi znalazł się i przysmak polski—kwaszone na sposób polski ogórki.

Pokrzepiwszy siły, postanowiliśmy, bądź co bądź, dotrzeć do celu naszej wycieczki, t. j. zwiedzić Serapeum, choćby naprzekór dzikim wichrom. Zebrawszy więc siły, zaczęliśmy znów walkę z ulewą piasków. Czasami zapadaliśmy do pasa w miękich falach żwiru, co dla naszych europejskich strojów nie bardzo było korzystne. Mężczyźni z walki tej wychodzili dość zwycięzko, ale my, kobiety, niewolnice naszych falbanek i draperyj, ucierpialiśmy daleko więcej. W końcu dotarliśmy do szerokiego otworu, który wiódł w podziemne groty, gdyż całe Serapeum dziś pod ziemią pogrzebane.

Tajemniczy gmach ten odkryty został przez Mariettę w r. 1850. Badając okoliczne groty, ujrzał Mariette nagle wydobywającą się z pod żwiru głowę małego sfinksa, i przypomniał sobie ustęp z opisów Strabona, który wspomina o alei sfinksów, wiodącej do Serapeum. Zaczęto kopać piaski; praca szła bardzo powoli, gdyż lud egipski nie zna pośpiechu, a jeden dzień chamsinu niszczył, nad czym tygodnie całe pracowano.

W końcu odkopano 141 sfinksów w dwóch rzędach; za tą aleją ukazały się posągi greckich filozofów, dalej dwie małe świątynie: jedna egipska z posągiem Apisa w pośrodku, druga grecka z rzędem kolumn korynckich, bo też Serapeum, jakkolwiek budowa jego sięga dawnych wieków Egiptu (około 2000 lat przed Chr.), świetność swoją zawdzięcza dopiero greckim zaborcom. Greckie bogi przyniosły piękno w te progi, gdzie w potwornych kształtach ukryta była wielka tajemnicza wiara.

W 1851 odkrył Mariette wejście do grobowców apisów, ale poznał zarazem, że i tu wdarli się byli pierwsi perscy i arabscy najeźdźcy; sarkofagi były otwarte, kamienne tablice obalone, odłamy porąbanego granitu i rozrzucone kości apisów tamowały przejście podziemne. Pomimo tego zniszczenia dobyto z Serapeum siedem tysięcy pamiątkowych przedmi-

starych pomników, tablic grobowych, stołów oliarnych i t. p. Złożono je częścią w muzeum Bulak (w Kairze), częścią wywieziono do Paryża, gdzie galerye Luwru pyszną się dotychczas tą zagrabioną zdobyczą.

Dziś Serapeum przedstawia nam rozległe podziemne lochy i ganki w skale wykute; po obu stronach tych sklepionych korytarzy znajdują się nawy, jak gdyby kaplice grobowe, a w nich stoją olbrzymie, na 4 metry długie, a na 3 szerokie i takież wysokie sarkofagi, z dyorytu i granitu. Dostawszy się za pomocą drabinki do wnętrza sarkofagu, przechadzałam się wygodnie i przyszło mi na myśl, że taki grobowiec nie tylko zmarłemu, ale i żywemu apisiowi mógł służyć za mieszkanie.

Napisów na Sarkofagach nie znaleźliśmy wiele; Egipcyanie zamuroywali wejścia do kaplic grobowych, gdy zwłoki apisiów złożone w nich zostały, i na ścianach tych umieszczali dopiero modlitwy, hymny i westchnienia do Ozyrysa-Aspisa, t. j. do Boga Twórcy.

Zwiedziwszy wszcz i wzdłuż Serapeum, nasłuchawszy się uczonych rozpraw naszego egiptologa, który przed każdym sarkofagiem klękał nabożnie, szukając hieroglifów, podążyliśmy dalej w puszcę, aby zwiedzić inne groby nekropoli, w których już nie byki, ale nam podobni śmiertelnicy przed wiekami spoczywali.

Najbardziej zajmującym jest grób „Ti.“ Ów Ti był to obywatel wielce szanowany za czasów jednego z Faraonów. W hieroglifach nazwany jest „domownikiem króla, dozorcą pałaców, stróżem pism królewskich, przewodcą proroków“ i t. p., które to tytuły nie przeszkadzały mu sprawować urzędu fryzjera i golibrody królewskiego, skoro przy oznakach godności jego spotykamy wszędzie brzytwę i grzebień. Grobowiec jego, mający kształt spłaszczonej piramidy, t. zw. mastaba, przepysznie jest zachowa-

ny, jak gdyby nie wieki istniał, lecz go świeżo ręce rzeźbiarzy wykończyły. Ściany trzech komnat pokryte są hieroglifami i obrazami z życia domowego starych Egipcyan. Jest to rodzaj płaskorzeźby, narzuconej barwami, które po dziś dzień zachowały swą żywość i świeżość, dzięki suchemu powietrzu puszczy.

W przedsionku, wiodącym de komnaty grobowej, przedstawiona jest w płaskorzeźbie postać kobieca; ma to być małżonka pana Ti, zwana w hieroglifach Newerhotep, czyli „Palma rozkoszy.“ Tuż obok w drugiej komnacie przedstawiony jest majątek zmarłego: tu słudzy i niewolnicy pędzą stada wołów, tam niosą drób i ptactwo; inni znów zrzynają zboże i składają snopy. Dalej widzimy piekarzy, zajętych wypiekaniem chleba; rzeźnicy ćwiartują woły, przeznaczone na ofiarę dla zmarłego pana, kobiety niosą mu w darze kwiaty albo ciasta. Te ciasta dziwnym swym kształtem i barwą rumianą przypominają nasze babki wielkanocne. Postać zmarłego rzadko jest przedstawioną, zastępuje ją wymowny hieroglif, oznaczający władzę, mający kształt trójramiennej dyscypliny.

Nietylko grobowiec Ti, ale i inne mogiły Sakkary przedstawiają nam obrazy z życia dawnych Egipcyan, wtajemniczają nas w pojęcia i idee wielkiego tego ludu, w którego piersiach poczęło się pierwsze poczucie wiekuistej prawdy.

Znurzeni, milczący, w ponurem nieco usposobieniu opuściliśmy grobowiec Sakkary, a stanawszy znów w gaju palmowym przy obalonym Ramzesie, odetchnęliśmy całą piersią. Za nami szalała burza, wichur wył i jęczał, jak gdyby pragnął zbudzić ów świat starożytny, uspiiony w trumnach z granitu, ale tuż przed nami, wśród słupów kurzawy, widniała już wstęga błękitna Nilu i dolina Deltę, uśmiechnięta zielenią i tchnąca życiem bujnem. Z zadowoleniem spojrzeliśmy na fale dobroczynej rzeki, które, choć zma-

zone wichrem, zdala już chłód i świeżość nam przesyłały.

ROZDZIAŁ XIV.

Muzeum wykopalisk staroegipskich w Kairze.

— Otwórz swe groby, ziemio bohaterów i bogów! — Słowa te, któremi Bajron witał ruiny Grecyi, codziennie przychodziły mi na myśl, gdy z okien mieszkania mego w Kairze witałam zrana, przy blasku jaskrawej wschodniej zorzy, piramidy i grobowce egipskie, widne w dali, na skalistych wyżynach pustyni Libijskiej, a tworzące jakoby mur graniczny, który dzieli doliny Deltę od piaszczystej, kamiennej i martwej przestrzeni pustyni

Starożytny Egipt otworzył dziś wistocie groby swoje, a z łona ich wydobyto nieocenione skarby dawnej sztuki i wiedzy, powstał duch wielkiego ludu, co tyle myśli szczytnych przekazał przyszłym pokoleniom.

Urządzenie i otwarcie muzeum starożytności w samym Kairze było nietylko dla Egiptu, ale dla całego świata wiedzą dziełem wielkiej doniosłości.

Dzieła tego dokonał słynny Mariette-basza, francuski egiptolog, który życie całe poświęcił trudom odgrzebywania tych gruzów, przysypanych żwirem i kurzawą długich stuleci, deptanych przez tyle pokoleń i ludów.

Tysiące przeszkód zwalczyć on musiał, zanim zdołał pozyskać względy władz egipskich dla swoich poszukiwań. Zmuszony był początkowo pracować ukradkiem, w porze nocnej, gdyż posądzano go, że szuka skarbów dla własnej korzyści. Większym jeszcze trudem było pokonanie wrodzonego arabskim

robotnikom lenistwa i przesądu, który nie dozwala muzułmaninowi dotykać gruzów, z woli Allaha przeznaczonych na zniszczenie. Sama natura pustyń stawała także niemało przeszkodą, gdyż często zdarzało się, iż kilkogodzinny samum tumanami kurzu i piasku zasypywał wykopaliska, nad którymi kilka miesięcy pracowano.

Jednakże niestrudzony Mariette pokonał powoli wszystkie przeszkody; przez lat kilka mieszkał on na pustyni, w zbudowanym naprędce szałasie, wśród ruin odgrzebanej świeżo nekropoli Memfis-Sakkarah.

Udało mu się w końcu zjednać sobie ówczesnego wice-króla, Saïda-baszę, i wyrobić u niego zezwolenie na złożenie zbiorów w osobnym gmachu w roku 1858.

Tym sposobem położono tamę chciwości obcych przybyszów, którzy bezkarnie rabowali do owego czasu świątynie i groby, aby zdobyczami temi wzbogacić bądź własne kieszenie, bądź muzea europejskie, przyczem najcenniejsze pomniki ulegały często zniszczeniu. Dziś wolno tylko wywozić te posążki lub przedmioty, które muzeum już w znacznej ilości posiada.

Założone przez Mariette'a muzeum w samymże Egipcie zwróciło powoli uwagę i Arabów na te skarby w ich ziemi ukryte; nauczyli się oni cenić te grzy, które z pogardą przez tyle wieków deptali, a dziś najmniejszy posążek lub kamyczek nie może być powieszony za granicę bez zezwolenia dyrekcyi muzeum, choć, oczywiście, dzieją się codziennie przekroczenia tego zakazu.

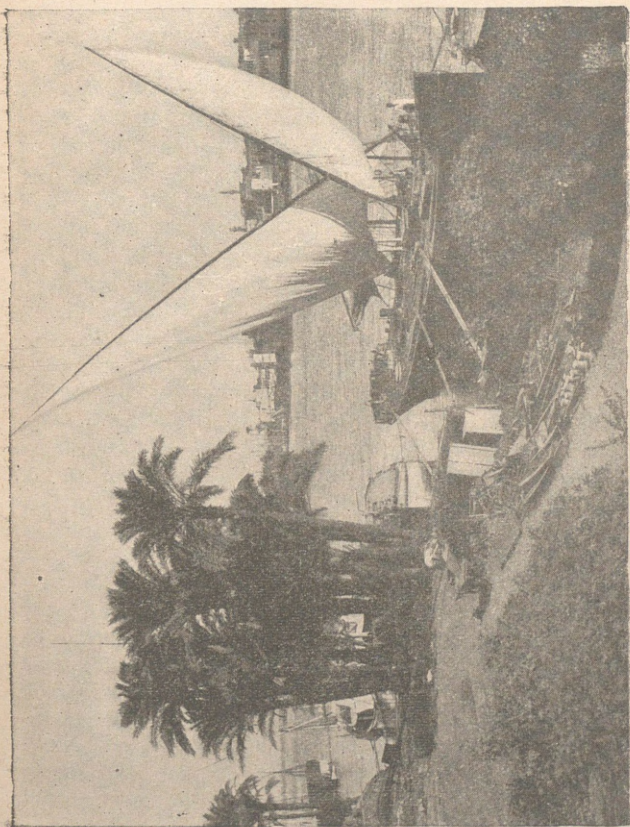
Pierwszym początkiem zbiorów w muzeum kairskiem była kolekcya konsula austriackiego, Hubera, odkupiona z namowy Mariette'a przez samego wicekróla za 20,000 talarów! Fakt ten dowodzi, z jaką obojętnością patrzyli do niedawna Arabowie na te zabytki, jeśli dozwolono obcym tak cenne zbierać ko-

lekcye. Dalszych skarbów dostarczyły grobowce w Gizah, piramidy Sakkary i świątynie tebańskie.

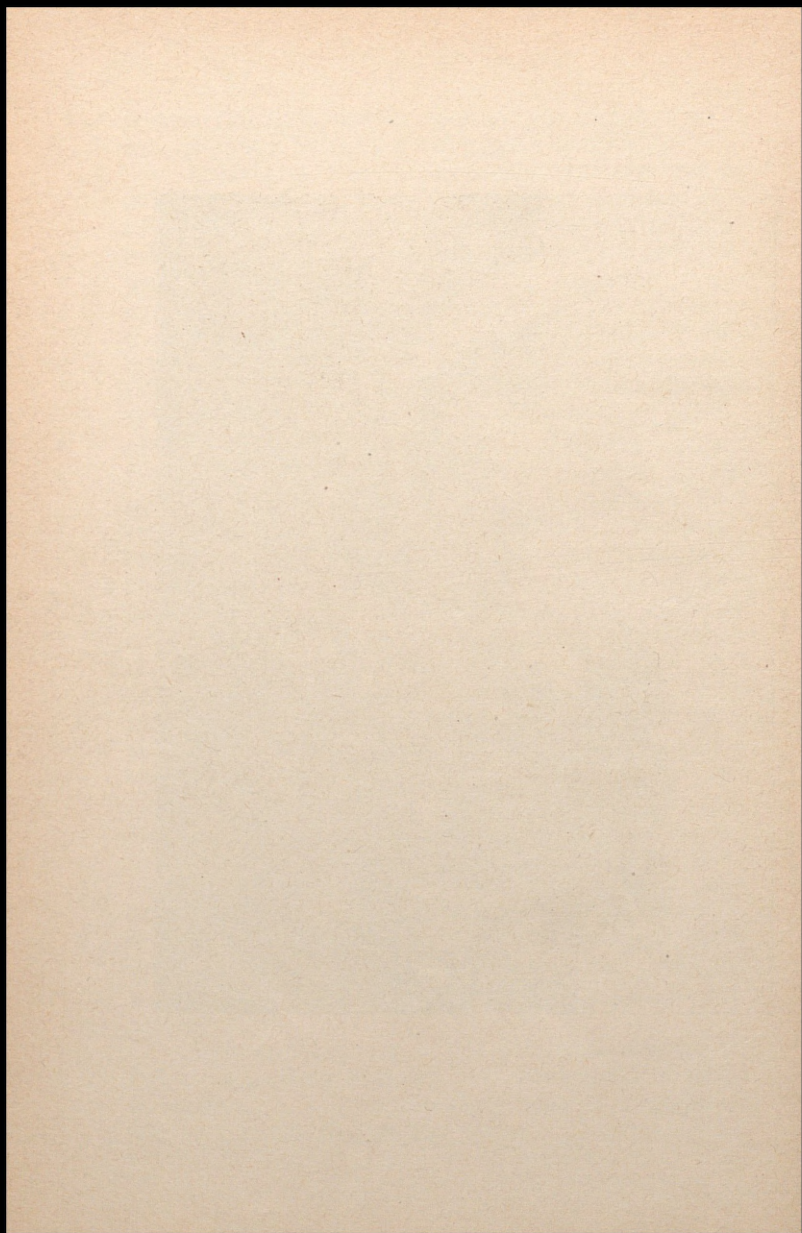
Gmach, w którym pierwotnie pomieszczono te zbiory, wznosił się nad Nilem, w przedmieściu Bulak, w dawnym porcie Kairu, kędy przybywające Nilem łodzie i okręty wylądowywać musiały. Punkt ten obra-no z tej przyczyny, aby olbrzymie, z pustyni prowadzone Nilem posągi, sarkofagi i głazy, bez wielkiego trudu do muzeum przenosić. Wkrótce jednak budynek ten, mieszczący pierwotnie zarząd żeglugi, a przebudowany tylko tymczasowo przez Mariette'a (w stylu staroegipskim), okazał się za szczupłym do pomieszczenia napływających ciągle pomników i gruzów. Przytem przedmieście Bulak, wobec licznych, za panowania Izmaela zbudowanych kolei, straciło swą ważność portową i stało się siedliskiem najuboższej ludności arabskiej. Sąsiedztwo tysiąca nędznych lepierek, kramów, namiotów, nie dawało rękami bezpieczeństwa przeciw pożarom i kradzieżom. Obawiano się również, aby fale Nilu, w czasie zdarzającego się niekiedy zbyt wysokiego wylewu, nie zalały wybrzeża. Zaczęto więc przemyśliwać nad wzniesieniem nowego gmachu, a khedyw Izmael ze zwykłą swą hojnością znaczne na ten cel ofiarował sumy, ale fundusze te stopniały w rękach pasorczytnych bejów i baszów, a Mariette nie doczekał się spełnienia swych marzeń.

Śmierć Mariette'a w r. 1880 i krwawe później nieco zajęcia w czasie rewolucyi Arabiego przerwały prace i poszukiwania egiptologów, nie na długo jednak, gdyż nowy dyrektor muzeum, francuski historyk Maspero, już w r. 1883 ogłasza dalsze odkrycia w pustyni Libijskiej i otwiera cały szereg grobów starożytnych.

Było to właśnie w czasie przybycia naszego do Egiptu, a profesor Maspero był przewodnikiem moim w muzeum, i on to zapoznał mnie z tajemnicami wiedzy i sztuki starych Egipcyan.



Widok na Nil.



Zwłoki Mariette'a złożono w samym ogrodzie muzeum, w cieniu palm i cyprysów, pod strażą olbrzymich sfinksów, kamiennych królów i bogów. W pośrodku tych odwiecznych głazów stanął marmurowy, skromny sarkofag, a srebrzące się u podnóża fale Nilu szeptały pacierz cichy na cześć niestrudzonego badacza, co sił nie szczędził, aby świat starożytny z długiego wskrzesić uśpienia.

Muzeum kairskie pozostało w szczyptach swych rozmiarach aż do r. 1889, gdy jednak zbiory pomnażały się ciągle i nietylko ogród, ale przybudowane na prędcie magazyny były niemi przepelnione, umyślił khedyw Tewfik-basza ofiarować dyrekcji jeden z licznych, po Izmaelu odziedziczonych, a pustką stojących pałaców.

Przeznaczyl więc na ten cel oddalony nieco od miasta, przy drodze do piramid, pałac Giseh, otoczony rozległym parkiem, a będący niegdyś letnią rezydencją khedywa Izmaela. Kosztowało to niemało trudu i pracy zanim granitowe olbrzymy i inne zażytki umieszczone zostały w tym gmachu, gdzie wreszcie odpowiednie znalazły miejsce i oczom świata w całej swej okazałości przedstawić się mogły.

Codziennie wychodziłam patrzeć, jak przez ulice i aleje, wiodące do pałacu Giseh, wążkotorową koleją, umyślnie na ten cel urządzoną, na niskich, silnych wozach, przy rytmicznym śpiewie robotników arabskich wędrowały Sfinksy, Thutmesy i Ramzesy do nowej, wspaniałej rezydencji.

Przeniesiono także nagrobek i zwłoki Mariette'a i umieszczono je w ogrodzie przy wejściu do muzeum, w pośrodku dwóch rzędów granitowych Sfinksów, odkopanych przez niego w nekropoli memfiskiej, przy Serapeum.

Ale wejdźmy do wnętrza przybytku, posiadającego dziś najcenniejsze świata pamiątki.

* * *

Sam pałac jest to gmach obszerny i okazały, ale w nieszczerólnym stylu włoskim, przesadnie ozdobionym zbudowany; wewnątrz bardziej jeszcze nużą oczy zlocenia sufitów, mozaiki, zwierciadlane ściany i inne ozdoby nowożytne, wobec poważnych sarkofagów i odwiecznych posągów.

Wkrótce jednakże zapominamy o tych drobnostkach, gdyż oto przed oczyma naszymi zmartwychpowstaje nagle świat starożytny, jego myśli i dzieje, jego dusza, niejako objawiona w wiekopomnych arcydziełach.

Zbiory są istotnie tak zręcznie dziś umieszczone, że nawet bez pomocy katalogu, przechodząc z sali do sali, możemy studyować rozwój sztuki i umnictwa, jako też przebieg wypadków historycznych.

W pierwszych dolnych salach muzeum spotykamy najdawniejsze pomniki sztuki, jakie dotychczas odnaleziono i jakie wogóle świat nasz posiada; pochodzą one z pierwszych dynastji memfiskich (przed epoką piramid), a więc liczą, według zdania Mariette'a, około 70 wieków.

Co zaś zdumiewa nas na pierwszy rzut oka, to właśnie siła i prawda, z jaką je wykończono.

Posągi tej starożytnej, bajecznej prawie epoki, różnią się zupełnie od późniejszych, znanych nam dobrze, sztywnych i wymuszonych form egipskich. Znać, iż Egipcyanin nie szukał jeszcze wtedy symbolów, nie ukrywał myśli pod ich postacią, ale, czując podziw dla natury, naśladował ją w całej prawdzie i prostocie.

Uwagę zwracają najpierw dwa posągi za szkłem przechowane; pochodzą one z piramid Mejdum, są więc o jakie lat tysiąc starsze od wielkich piramid w Gizeh. Jeden z tych posągów przedstawia księcia Ra-hotepa, drugi żonę jego, Nefert (czyli kwiat rozkoszy). Figury te wyrobione są z twardego piaskowca, pociągniętego pokostem i barwami, które po dziś dzień świeżość swą zachowały. Ubiór księcia

Ra-hotepa składa się z krótkiej tuniki opasującej biodra (tak zwanej szenti) i... z naszyjnika; małżonka jego ubrana jest w długą, białą koszulę, a szyję jej zdobi również naszyjnik z perełek kolorowych.

Zadziwiającym jest blask i kolor oczu u starożytnych tych dygnitarzy: oczy te zdają się chłonać światło i patrzeć, tak ludzaco są naśladowane. Żrenica wyrobiona jest z kryształu skalnego, podłożonego metalem, białka zaś, z białego kwarcu, oprawne są w powiekę z brązu; brwi pociągnięte „kohlem,” to jest czernidłem, którego po dziś dzień używają mieszkańcy Egiptu.

Włosy księcia Nefert uczesane są gładko nad czołem i przewiązane przepaską (podobnie, jak noszą stare Izraelitki).

Do tejże samej epoki zaliczyć trzeba dwa obok stojące posągi, przedstawiające kapłanów starożytnych. Twarze ich i ciała powleczone są barwą żółtawą, przypominającą smagłą cerę dzisiejszych Arabów; również rysy nieco ostre, nosy orle, a pełne usta, wykazują więcej podobieństwa z azyatycką, niż afrykańską rasą i są dowodem, iż starzy Egipcjanie, przybywszy z Azji przez międzymorze Suez, osiadł nad Nilem plemiona etyopskie ku górnym jego brzegom wyparli, przyjąwszy niejedno ich pojęcie, niejednen obyczaj. Wydaje się także niepodobnem, aby te posągi były pierwszymi próbami snycerstwa egipskiego, gdyż głowy szczególnie i torsy oddane są z zadziwiającą siłą i dokładnością anatomiczną.

Mniej udatne są nogi i ręce tych postaci; artysta włożył im w ręce zwoje papyrusów, jak gdyby chciał tem uwydatnić, iż kapłani byli stróżami i przedstawicielami wiedzy.

Jednem z najcenniejszych arcydzieł tego starożytnego okresu jest mała statua, z drzewa wyrobiona, przedstawiająca wieśniaka dość otyłego, trzymającego w rękę kij sękaty, twarz dobrodusznie uśmiechnięta tchnie życiem i swobodą, cała zaś postać

wykończona jest z dziwną prawdą i realizmem, tak, iż robotnicy arabscy, dobywszy tę statuę z grobowca w Sakkarze, zawołali jednogłośnie: Szech el Beled, to jest, wójt gminy, gdyż istotnie postać ta doorduszną swą powagą przypomina naczelników gmin po wsiach Delty, a pomiędzy dzisiejszymi fellanami wiele podobnych typów spotkać można.

Inne już zupełnie dłuto widać w posągu króla Chefrena, twórcy drugiej wielkiej piramidy w Gizeh. Statua ta, dwa metry wysoka, wyrzeźbiona z ciemnego dyorytu, przedstawia nam króla, siedzącego w wysokim, bogatym krześle, którego podstawa ozdobiona jest z jednej strony kwiatem lotosu, symbolem górnego Egiptu, z drugiej — krzewem papyrusu, przedstawiającym doliny Delty; u dołu zaś znajduje się napis hieroglificzny następującej treści: „Syn słońca, Chefren, pan dolnego i górnego Egiptu.“ Nad głową Faraona krogulec, symbol Corusa, rozciąga opiekuńcze swe skrzydła mądrości i wiedzy; lwie zaś głowy na poręczach krzesła symbolizują potęgę i władzę. Cała postać jednak niema już tego wdzięku naturalnego, jakim wyżej opisane rzeźby się odznaczają; widać, że artysta rzeźbiąc postać monarchy, musiał trzymać się przepisanych reguł i prawideł.

Twarz Chefrena ozdobiona jest małą, kręconą brodą; takie brody musiały być w modzie w Egipcie, gdyż spotykamy je u wielu dygnitarzy; zapewne przywiązywano je sztucznie, gdyż, o ile nam wiadomo, Egipcyanie golili głowy i brody, dygnitarze zaś nosili sztucznie trefione peruki, których rozmaite, wyśmienicie zachowane okazy, znajdujemy w muzeum, albo też zawoje, podobne do tych, jakie zdobią głowy Sfinksów.

Taki zawój, razem z krótką tuniką, opadającą od pasa do kolan, tworzy cały strój wielkiego Chefrena. Purpury i gronostajów nie znali dawni władcy Egiptu, a za obuwie służyły im papyrusowe sandały.

Wyraz twarzy u wszystkich posągów jest jednaki: łagodny i rzewny; być może, iż artysta egipski nie umiał innych uczuć wrazić w rysy twarzy albo też uważał je za nieszlachetne i szpecące.

Koło głównych tych wyżej opisanych posągów, grupują się w pierwszych salach muzeum inne przedmioty, również z epoki memfijskiej pochodzące, jako to: sarkofagi, sfinksy granitowe, kanopy, to jest naczynia kamienne, w których składano serca zmarłych, tablice, czyli stele, grobowce i stoły ofiarne z alabastru lub granitu.

Te ostatnie również w grobowcach wykopane zostały; na nich to składano ofiary dla zmarłych: w mięsowie, owocach, ciastach i zbożu, bo też grobowce bogatych były to, jak wiemy, przybytki obszerne i wspaniałe, a w dniach oznaczonych zbierała się tam rodzina zmarłego, przynoszono dary; modlono się, a nawet ucztowano przy sarkofagach, wierząc, iż duch zmarłej osoby obecnym jest przy ofiarach i ucztach.

Ściany grobowców pokrywano płaskorzeźbami, przedstawiającymi czyny i życie zmarłego; z obrazów tych miała dusza czerpać naukę i przestrożę na przyszłość; my zaś dziś, po długich wiekach, dowiadujemy się z nich właśnie najciekawszych szczegółów o życiu i pojęciach starożytnych mieszkańców Egiptu.

Widzimy tam najrozmaitsze ich czynności i zajęcia domowe; tu słudzy i niewolnicy pędzą stada wołów, tam niosą drób, lub polują na ptactwo wodne, inni zajęci są rybołówstwem, rolnictwem, wypiekaniem chleba, tkactwem, garncarstwem lub innym rękodzielnictwem.

Prawie wszystkie płaskorzeźby egipskie ożywione są barwami, a niektóre zachowały taką świeżość, jak gdyby dziś wyszły z pod ręki artysty; oczy nasze razi w nich jedynie brak zupełny perspektywy, o której Egipcyanie pojęcia nie mieli. Czystość i do-

kładność rysunku wszędzie zachowana, a szczególnie kształty zwierzęce przepyszenie są oddane, tak, iż po dziś dzień budzą podziw znawców. Taką jest np. tablica, przedstawiająca nam kroczące poważnie stado gęsi.

Okazy zwierząt i roślin, przedstawione na niektórych obrazach, każą nam się domyślać, iż klimat był nieco różnym, a szczególnie wilgotniejszym w odległych tych wiekach od dzisiejszego. Nil rozdzielał się na liczniejsze ramiona; morze wdierało się odnogą aż do podnóża skalistej wyżyny, na której wznoszą się piramidy, liczne bagna i jeziora przerywały Deltę, a na tych wodach kołysały się papyrusy i lotosy, które dziś rzadkiem już są zjawiskiem w Egipcie.

Wielbłąda nie spotykamy wcale na obrazach epoki memfiskiej; nie był on tak niezbędnym, jak dziś, gdy pustynie rozległą zajęły przestrzeń; hieroglify nazywają go zwierzęciem krainy „Kusz,“ to jest Etyopii, a pierwszą statuetkę, przedstawiającą wielbłąda, znajdujemy w wykopaliskach z Abydos, w epoce saiskiej. Zato krokodyle i hyppopotamy często pojawiały się w bagnach Deltę; pomiędzy domowemi zaś zwierzętami widzimy olbrzymie woły, których rasa dziś zupełnie wyginęła nad Nilem, dalej konie i osły, z Azji zapewne pochodzące.

Z epoki memfiskiej przechodzimy do sali Hiksosów, to jest okresu, w którym dzikie plemiona pasterzy zalały Deltę i opanowały Memfis; górny zaś Egipt podzielony został chwilowo na małe księstwa lenne. Wprawdzie zwycięzcy przyjęli cywilizację i religię egipską, w sztuce jednak okres ten objawia się zaniedbaniem form, dawniej tak udoskonalonych. Posągi tej epoki są ciężkie, brylowate, typy twarzy zupełnie od dawnych egipskich różne, szerokie twa-

rze, czoła niskie i obwisłe wargi ujawniają obcych zaborców.

Z prawdziwą też przyjemnością witamy epokę renesansu egipskiego w okresie tebańskim. Nie spotykamy tu już wprawdzie śmiałej, dawnej rzeźby, tchnącej prawdą i życiem; pod względem jednak wykończenia epoka ta pozostawiła nam tysiące niezrównanych arcydzieł. Z tego to właśnie czasu pochodzą najciekawsze pomniki historyczne: sarkofagi, mumie, klejnoty cenne, a szczególnie symboliczne posagi bóstw rozmaitych i drobne pamiątki religijne, za pomocą których wskrzeszamy dawną wiarę Egipcyan.

W okresie tebańskim najpierw zwracają naszą uwagę mumie królewskie, przepysznie zachowane. Muzeum posiada ich kilkadziesiąt, między innymi mumie Ramzesa I, Setiego i Ramzesa II Sezostrysa, przed którym, jak opowiadają hieroglify, drżały ludy Północy i Południa. Gdy po raz pierwszy zwiedzała muzeum, Ramzesa fotografowano w postawie stojącej. Ciała Faraonów, jakkolwiek zczerniałe, zachowały swą krągłość; u niektórych podziwiać można paznokcie, zęby i włosy, a mumia wielkiego Sezostrysa odznacza się szczególnie potężnym nosem i rudym kolorem włosów; być może, iż tę barwę zawdzięcza Sezostrys długiej kąpieli w natronie, ale ponieważ inne mumie mają włosy ciemniejsze, więc sędzę, że był rudawy.

Każda mumia otulona jest w cienką tkaninę z lnu i uzbrojona w naszyjniki, amulety, jako też wieńce kwiatów, które po dziś dzień zachowały kształt, a nawet barwy.

Sarkofagi, w których złożone były ciała, mają często kształt tych ciał i przedstawiają postać zmarłej osoby. Są one bądź kamienne, z granitu lub dyorytu, bądź drewniane¹⁾, pokostem i malowidłem ozdobione.

¹⁾ Te ostatnie używane były w górnym Egipcie, gdyż suchy klimat nie wymagał tak twardego materiału.

U niektórych widzimy twarze, a szczególnie nosy, złoczone; nie wygląda to wcale powabnie, ale podziw budzi trwałość barw i złoczeń, które przez tak długie wieki wcale blasku swego nie straciły. Ściany sarkofagów pokryte są pismem hieroglificznem; czytamy tu imiona i tytuły zmarłych, często szumne o nich pochwały, dalej modlitwy i westchnienia duszy ulatującej do Boga, oraz nauki moralne i ustępy z tak zwanej „księgi zmarłych“.

Epoka tebańska pozostawiła nam największą ilość posągów bóstw rozmaitych, symbolicznych figur i ciekawych przedmiotów. Uwagę zwracają szczególnie misternie z metalu lub drzewa wyrobione łódki; były one przedstawieniem naszego przejścia w życie wieczne, i znajdowały się w każdej świątyni, a u steru umieszczano postać Horusa, boga zmartwychwstania.

Widzimy też setki rozmaitej wielkości żuków (skarabeusów) z jaspisu, lapislazuli i innych kamieni; na każdym z nich znajduje się wryty kartusz, to jest tytuł króla panującego; ztąd też niektórzy uczeni przypuszczają, iż skarabeusy służyły Egipcyanom za monetę.

Znajdujemy też drobne serduszka, pierścionki, będące symbolem czasu, któremu nie masz początku, ni końca, nilometry małe, trójkąty z wyobrażeniem boskiego oka Horusa, otoczonego promieniami, i małe krzyżyki czworokątne, czyli „klucze Nilu“, tak zwane „tat“, które spotykamy szczególnie w ręku Ozyrysa, gdyż był to symbol jego męczeństwa. Legenda bowiem egipska uczy nas, iż Ozyrys zwyciężony został przez ducha zniszczenia i śmierci, Tyfona i 72 jego towarzyszków, a ciało pokonanego poćwiertowane wrzuciono do Nilu. Ozyrys jednak nie umiera, ale zstępuje do „Amentu“, aby panować nad umarłymi, Izyda zaś, płacząc nad śmiercią króla stworzeń, szuka na ziemi ciała jego; łzy jej podnoszą łono Nilu i wezbrane fale wyrzucają na brzeg ciało umęczonego, a Izyda przywraca mu życie, powiewając nad

nim opiekuńczymi skrzydłami. Ozyrys zmartwychwstaje w postaci syna swego, Horusa, który jako słońce wschodzące, jako życie z grobu wstające, zwycięża boga śmierci, Tyfona. Legenda ta przedstawia nam zarazem walkę natury w Egipcie; Ozyrys to siła życiodajna Nilu; Tyfon i jego towarzysze to okres strasznej posuchy i wichrów skwarnych, zamieniających Egipt w suchą pustynię. Ale natura znów odnosi zwycięstwo: Bóg życia zmartwychwstaje z fal wezbranej rzeki, użyźniającej kraj cały. Około tej legendy, jak również i około mistycznej trójcy egipskiej, krążą wszystkie podania, do niej odnoszą się wszystkie symbole, które artysta, snycerz egipski, stara się jak najpiękniej, najzrozumialej przedstawić. Rzeźbi on Ozyrysa z kluczem Nilu w rękę, albo też jako króla z wysoką na głowie tyarą; lzydę ubiera w długie skrzydła, albo przedstawia jako matkę z dziećciem na łonie. Śliczne są także figurki, przedstawiające Horusa, uśpionego na kwiatach lotosu.

Większa część posągów i pamiątek znalezioną została nie w ruinach świątyń, ale w grobowcach i sarkofagach. Świątynia egipska rzadko kiedy posiadała posąg bóstwa, któremu była poświęconą. Zastępował je najczęściej symbol żywy (w postaci zwierzęcia) lub rzeźbiony tegoż bóstwa, ukryty za bogatą zasłoną w głębi świątyni, w tak zwanem „naos“, czyli ołtarzu drewnianym lub kamiennym.

Niektóre świątynie słynęły z cudów i wyroczni, a w muzeum widzieć możemy śpiżowego węża ¹⁾ z epoki Tebańskiej, w którego wnętrzu ukryty jest mechanizm, niegdyś służący zapewne kapłanom do oszukiwania łatwowiernych.

Jedną z najbardziej słynnych cudami świątyń była w owym czasie świątynia Ammona, w odległej,

¹⁾ Wąż w Egipcie nie był symbolem złego pierwiastku, ale przedstawiał potęgę, królewską władzę.

na krańcach pustyni Libijskiej leżącej oazie tegoż nazwiska ¹⁾, wzniesiona. Do tej świątyni pielgrzymowali starożytni Egipcyanie tak tłumnie, jak dzisiejsi Arabowie do Mekki; śpieszyli podziwiać cudowne zjawisko natury, po dziś dzień istniejące; źródło, którego wody w godzinach południowych chłodne, wieczorem ogrzewają się znacznie, o północy są prawie wrzące, a o świcie znów letnie. Według legendy starożytnej, źródło ten, zwany także kolebką Ammona, wypływa z krain Amentu, kędy bóg-słońce, Ammon-Ra, w godzinach nocnych zstępując, ogrzewa wodę tchnieniem swoim.

Zapoznawszy się z religijnymi pamiątkami Egiptu, rzucmy teraz okiem na przedmioty zwykłe, dające nam pojęcie o domowym życiu jego mieszkańców. Tysiące drobnostek, w grobach odgrzebanych, świadczą, jak wysoko rozwinięty był przemysł w Egipcie.

Widzimy w muzeum krzesła i fotele, sztucznie rzeźbione i opatrzone poręczami; siekiery i dłuta z brązu wyrobione, gdyż żelaza nie używali Egipcyanie; noże i sztylety ozdobne; naczynia gliniane na wodę, podobne do tych, których dziś używają na Wschodzie; także wyroby ze słomy i palmowych liści; kosze, napełnione skamieniałymi jajami, owocami i chlebem; wreszcie mnóstwo przedmiotów z gliny, ozdobionej trwałą i piękną emalią.

Nie brak też przedmiotów toaletowych; uwagę zwracają szczególnie olbrzymie grzebienie z metalu i kości, szpilki rozmaitej wielkości, szkatułki do bieliadła, zwierciadła metalowe w sztucznie rzeźbionej oprawie i cenne, artystycznie wyrobione klejnoty.

Do prawdziwych arcydzieł złotniczej sztuki należą

¹⁾ Oaza Ammona, dziś zwana także oazą „Szira“, leży na granicy Trypolis; zamieszkujące ją plemię pochodzić ma od dawnych czcicieli Ammona, a rozwiązłe tańce, którym oddają się mieszkańcy oazy, mają być wspomnieniem na cześć bóstwa niegdyś obchodzonych misteryj i guseł.

klejnoty, znalezione w sarkofagu królowej Aa-hotep, matki Amazysa, zwycięzcy Hiksosów (dyn. XVIII). Przepyszny naszyjnik, ułożony z drobnych, złotych, emaliowanych sfinksów, krogulców i innych figurek, zdobić mogłoby dziś jeszcze najmożniejszą władczynię.

.

Trzecią epoką sztuki i dziejów egipskich jest okres tak zwany saiski; na pierwszy rzut oka jednak poznajemy w tymże okresie inny zupełnie kierunek sztuki i wpływ greckiego dłuta. Widzimy tu odmienny już układ rąk i draperyj w posągach, inne ugięcie szyi, inny wyraz twarzy.

Jeśli spojrzymy naprzykład na alabastrową głowę królowej Tai, to przypomina ona raczej grecką boginię, niż typ dawnej egipskiej księżniczki. Jednakże artysta egipski, niezdolny, jak wspomniałam już, do ukształcenia samej zewnętrznej formy, koszławi ją raczej i traci dawną śmiałość dłuta. Nawet owo pismo hieroglificzne, tak misternie i z taką siłą na dawnych granitach złozone, w epoce saiskiej zacierą się i staje się niewyraźnem; rzeczby można, iż hieroglify te są tylko kopiowane przez ludzi, nieznających ich znaczenia.

Z okresu saiskiego przechodzimy do sali Ptolemeuszów i Cezarów; tu już sycerstwo egipskie zupełnie traci swój charakter i ustępuje pierwszeństwa sztuce greckiej, geniuszowi, który, jakkolwiek na wzorach egipskich kształcony, jednakże samą tylko zmysłową formę ubóstwił i ją też udoskonalił.

Nie szukajmy tu więc głębokich mistycznych idei i symbolów, gdyż cała myśl artysty w zewnętrznych oddana kształtach. Taką jest na przykład głowa bożka Nilu, znajdująca się w tejże sali; to już nie Ozyrys, bóg-dobroczyńca z uśmiechem błogim na twarzy; to człowiek, władca potężny; każdy muskuł jego zdaje się krwią nabiegać i drgać namiętnością, naturze naszej właściwą.

Prócz kilku w tymże stylu rzeźbionych posągów Antoniusza i Kleopatry, muzeum posiada jeszcze wiele małych statuetek i rozmaitych cennych przedmiotów, które jednak wszystkie noszą cechę nowej epoki.

W ostatnich, tak zwanych koptyjskich, salach muzeum, złożone są pamiątki i wykopaliska z pierwszych czasów chrześcijaństwa, oraz ostatnie pomniki i zabytki gasnącego już i z widowni dziejowej ustępującego pogaństwa. Do najcenniejszych zabytków należy tu zbiór portretów, znalezionych w sarkofagach, które dobyto przed kilku laty z wyżyny skalistej, w pobliżu oazy Fayum, t. j. dawnego jeziora Moeris i wznoszącego się na jego wodach labiryntu.

Portrety te malowane są bądź na drzewie, bądź na płótnie, które to ostatnie odkrycie obala przyjętą dotychczas teorię, jakoby malowidło na płótnie było wynalazkiem wieków średnich. Byłam obecna przy otwieraniu sarkofagów, w których znaleziono te właśnie obrazy, gdyż następca Maspera, dyrektor Gribault, wiedząc, z jakim zajęciem studyuję starożytny Egipt, wzywał mnie często do muzeum, aby się nowowydobytymi wykopaliskami pochwilić.

Sarkofag, który z nim otwierałam, był niewielki, ze zwykłego kamienia piaskowego, pokryty był tylko w kilku miejscach napisami hieroglificznymi, niedbale i niewyraźnie wrytymi, z czego profesor Gribault natychmiast wnioskował, że sarkofag ten pochodzi z ostatnich czasów pogaństwa. Gdy Arabowie podnieśli wieko, ujrzeliśmy drugą trumnę, drewnianą, pokrytą jaskrawem malowidłem, przedstawiającem rozmaite symbole staroegipskie. W miejscu, w którym się głowa mumii znajdowała, zamiast złoconej i barwionej maski, jaką w dawnych sarkofagach widzimy, wsunięty był portret młodej, ładnej dziewczki, na drewnianej deszczułce malowany, z główką wdzięcznie na dół pochyloną.

Otworzywszy trumnę, znaleźliśmy mumię wy-

schłą, niezachowaną tak dobrze, jak mumie epoki starożytnej; owinięta była w wieńce kwiatów i w długie, wąskie pasy lnianej tkaniny, przepojonej żywicą.

Na piątym palcu u lewej ręki miała pierścionek złoty z skarabeusem (żukiem), na szyi szeroki naszyjnik z małych posążków, emaliowanych zieloną farbą.

Obok sarkofagu tej dziewczeczki znaleziony został w tymże samym grobowcu sarkofag z portretem starca; twarz smagła, siwym okolona włosem, nos orli, rysy ostre, a wzrok śmiały, świadczący, że to był Rzymianin, zapewne jeden z wodzów lub namiestników Romy.

W ostatniej sali muzeum przechowane są miśsterne tkaniny z lnu i wełny, z ostatniej epoki staroegipskich dziejów pochodzące; niektóre z nich barwnością wzorów i dokładnością rysunku przypominają gobeliny i przedstawiają sceny z historii biblijnej, co dowodzi, że zawdzięczamy je pracy chrześcian.

Jakoż wiadomą jest rzeczą, że Egipcyanie jedni z pierwszych naukę Chrystusa przyjęli; umysł ich, nawykły do mistycznych rozmyślań, łatwiej pojął i zrozumiał prawdę, niż rozkochana w zmysłowych formach Hellada, niż Rzym, uparcie starym bogom hołdujący. W koptyjskiej sali nie szukajmy jednakże arcydzieł snycerstwa; parę nagrobków z wyrzeźbionym na nich znakiem Zbawienia, który jednak czworokątnym swym kształtem przypomina raczej staroegipski klucz Nilu, niż krzyż Zbawiciela; kilka niekształtnych małych rzeźb i posągów i mnóstwo glinianych drobnych lampek, w katakumbach używanych, oto i wszystko, co nam egipcycy pozostawili chrześcianie.

ROZDZIAŁ XV.

Podróżnicy afrykańscy: Borelli, Teleky, Stanley, Casatti. — Nasi turyści: Sienkiewicz w Kairze.

Najmilsze chwile naszego pobytu w Egipcie były to dni późnej jesieni, gdy pola i ogrody Delty, splukane wodą Nilu, bujną pokrywały się zielenią, a powietrze, choć przesycone wonią jaśminów, róż i pomarańczowych krzewów, białym opruszonych kwieciami, lekkie było, przejrzyste i dziwnie świeże.

Każdego dnia ciągnęły nad Kairem stada ja-skółek, żórawi, bocianów, wychudłych i znużonych przepiórek i innych ptaków, które witaliśmy radośnie, jak dawnych, pocziwych znajomych.

Za ptakami zaś zjawiali się i inni europejscy goście, bądź turyści ciekawi poznać życie nad Nilem, bądź chorzy, szukający ratunku w ciepłym słońcu Afryki, albo też młode, świeżo poślubione pary, pragnące urozmaicić wrażeniami podróży monotonna słodycz miodowych miesięcy.

Czasami zaś mieliśmy i takich gości, których nazwiska głośne i znane, zwracały chwilowo uwagę całego cywilizowanego świata na Egipt i jego stolicę.

Takimi gośćmi byli podróżnicy afrykańscy, powracający przez Egipt z głębi nieprzystępnych, tajemniczych krain, które dzięki ich trudom nie są już dzisiaj dla nas ciemną zagadką. Im to zawdzięczamy, iż znaki zapytania znikły z karty Afryki, a przez gęstwinę jej dziewiczych lasów przedarł się promyk światła.

Jedni z pierwszych podróżników, których poznałam w Egipcie, byli: Juliusz Borelli, Lenz i hr. Teleky. Ten ostatni nie może zaliczyć się do badaczy Afryki, gdyż podróż swą odbył jedynie w celach myśliwskich. Kiedy na posiedzeniu towarzystwa geo-

graficznego w Kairze prezes nasz, Abatte basza, winshawał Teleky'emu, iż odkrył i zbadał nowe jezioro *Bazo Narok*, Teleky odpowiedział z uśmiechem:

— Jeślim natrafił na jezioro, nie jest to wcale moją zasługą, gdyż nie było to moim zamiarem. Zbadałem położenie jeziora, ponieważ polowałem na krokodyle i hipopotamy. Jeśli zaś chcecie koniecznie dowiedzieć się coś ciekawego o przygodach naszych i krajach, któreśmy poznali, to pytajcie o to kapitana Hoenla, mego towarzysza podróży. On włada piórem, ja... strzelbą tylko.

Innym podróżnikiem był Juliusz Borelli (Francuz), zajmujący się nietyle topografią, jak Lenz, ile etnografią zwiedzanych krain; przywiózł on do Kairu nader cenne zbiory tkanin, klejnotów (z których wiele z prawdziwym artyzmem wykonanych), narzędzi, broni, naczyń i innych przedmiotów, sporządzanych przez dzikie plemiona Gallasów.

Ponieważ Teleky i Borelli, powracając z Zanzibaru, przypadkowo zjechali się z sobą w Kairze, towarzystwo geograficzne postanowiło uczcić ich wspólnym bankietem. Bankiet ten urządzono z nadzwyczajnym przepychem; dziedziniec hotelu Shepererd zmieniony został na wspaniały namiot, wsparty na kolumnach z róż i magnolii. Ciekawe były karty „menu” bankietu, na których dyrektor egipskiego muzeum umieścił staroegipskie dekoracje i słowo „menu” napisał w hieroglifach.

W kilka miesięcy po odjeździe Teleky'ego, na jednym z posiedzeń towarzystwa geograficznego oznajmił nam nasz wiceprezes, prezesem mianowany został wówczas sam książę Abbas, następca tronu (dziśiejszy khedyw), że wkrótce powitamy w murach Kairu Stanleya, dzielnego zbawcę Liwingstona, wysłanego kosztem Egiptu na odszukanie Emina baszy. Wistocie Stanley powrócił był do Zanzibaru, przemocą, jak twierdzono, porwawszy Emina z nad Albert

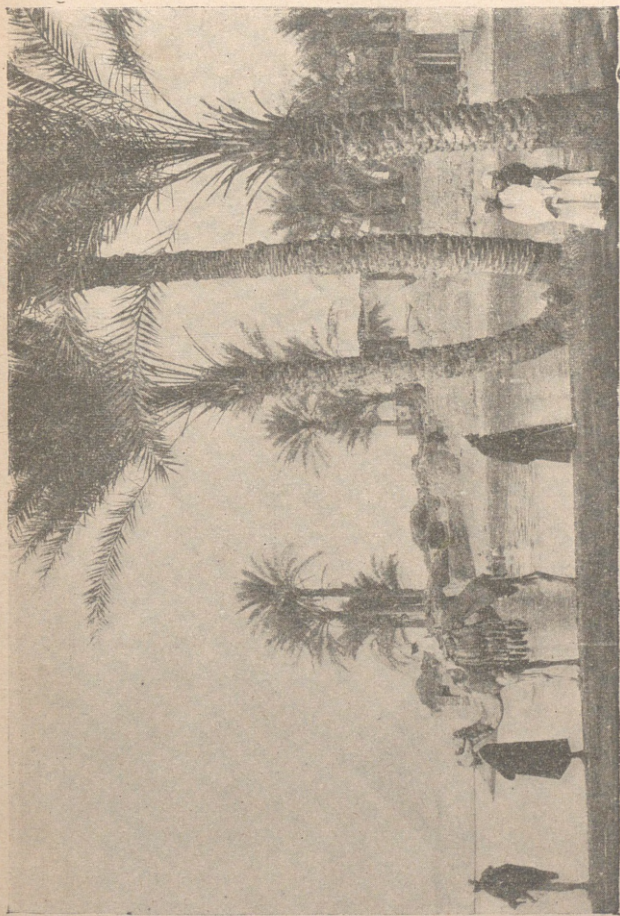
Nyanza, kędy niemiecki uczony, wyparty przez dzikich stronników Mahdiego z oddanych mu pod zarząd prowincyj zwrotnikowych, schronił się był z resztką egipskiej załogi, tworząc niejako własne państwo, zaprowadzając w niem kulturę i ucząc rolnictwa dzikie plemiona afrykańskie, które go czcią i szacunkiem otaczały.

Powszechne też było przekonanie, że głównym celem podróży Stanleya nie było ani zbadanie źródeł Nilu, ani odszukanie Emina, ale że podobno miał on od rządu angielskiego tajną misję, aby zbadać zajęte przez Emina tereny i bądź co bądź nie dopuścić, aby kraj ten, będący pod wpływem Emina, stał się kiedyś kolonią niemiecką.

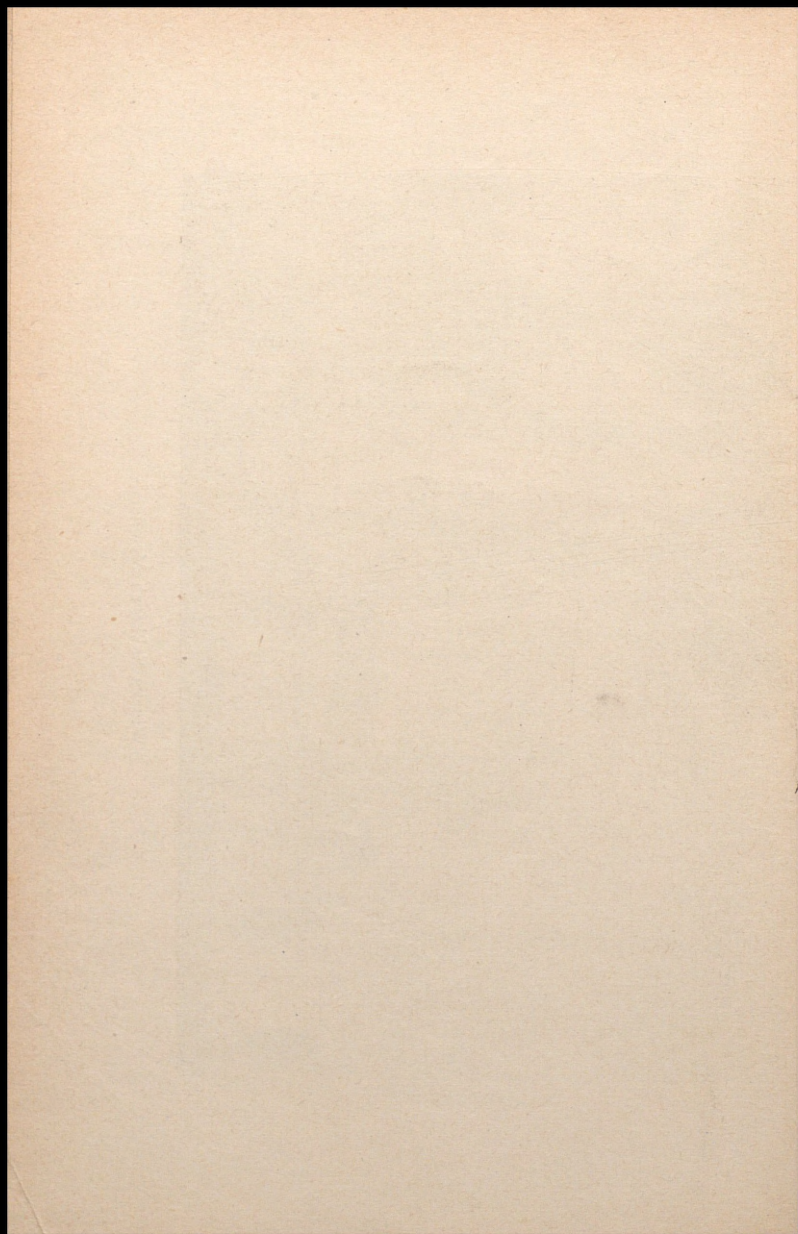
Nieszczęśliwy a zagadkowy wypadek, jakiemu uległ Emin w Zanzibarze, runąwszy z balkonu hotelu na ulicę, dał powód do tem zawziętszego posądzania Stanleya o intrygi przeciw Eminowi, a nawet o nastawanie na życie niemieckiego podróżnika.

Wicekról jednak obdarzał Stanleya nadzwyczajnymi zaszczytami; osobny pociąg wysłano po niego do Suezu, a przy pierwszej audyencji u dworu wręczył mu wicekról wielką wstęgę orderu Medżidieh. Urządzono również bankiet w pałacu Abdin na cześć sławnego podróżnika, który jednak te honory dość zimno i obojętnie przyjmował. Przy bankiecie w pamięci uczestników utkwili szczególnie toast, wzniesiony przez hr. Karola Załuskiego, byłego austriackiego posła i delegata egipskiego długu międzynarodowego. Był to wiersz bardzo udatny i gładki, w języku francuskim wygłoszony; pozwałam sobie przytoczyć tu w tłumaczeniu parę ustępów tej poezji. Wspominając o rzekomej nienawiści Stanleya i Emina, mówca wola:

„Czyżby ci dwaj mężowie, odwagą złączeni,
Lecz przymiotami różni — mieli być zwaśnieni?”



Wioska Sakkarah Memfis.



O nieł równe bohater ¹⁾, jak męczennik ²⁾ prawa
W sercach naszych posiada i równa ich stawiał“

• • • • •
Sławiać zaś męztwo Stanleya, dodaje:

„Któż powstrzyma dzielnego umysłu zapały?
Kiedy skrzydła rozwinie, jakby orzeł śmiały,
Co rodzinnych lodowców mgliste szczyty rzuci
I ku słońcu jasnemu pióra lotne zwróci —
Tak on wciąż śmiało dąży w ciemne świata strony,
Aby puszczał tajemniczych rozerwać zastony“.

Byłam nad wyraz ciekawą poznać i widzieć Stanleya, obiecano mi przedstawić go na balu dworskim. Z bijącym sercem oczekiwałam tej chwili; zdarzyło się jednak, iż wicekról zaszczylił mnie na tym balu dłuższą rozmową w pierwszej sali przyjęć. Wiedząc, że w drugim salonie Stanley rozmawia ze znajomym mi baszą, złożyłam w duszy wicekrólewskiej łasce, która nie dozwalała mi ruszyć się z miejsca. Gdy wreszcie khedyw zwrócił się do innej damy z przemówieniem, wymknęłam się do drugiego salonu, ale Stanley już odjechał.

Poznałam go jednak w kilka dni później na posiedzeniu towarzystwa geograficznego, gdy wręczaliśmy mu dyplom honorowy tegoż towarzystwa w przepysznej, perłową masą wykładanej oprawie. Jako nagłówek służył napis arabski, wyjątek z koranu: „I pielgrzymować będziesz tam, kędy się łączą dwa morza“.

Stanley, sztywny i zimny, jak zwykle, przyjął dar obojętnie, mierząc nas z góry stalowemi swemi oczyma. Nigdy w życiu tak dziwnie popielatych oczu nie widziałam.

Na gorące i pełne zapału przemówienie prezy-

¹⁾ Stanley.

²⁾ Emin.

lenta Abatty, który, choć staruszek siwowłoso, z żywością Włochom właściwą skakał koło dumnego Anglika, odpowiedział tenże sucho, miarowym głosem, opowiadając nam pokrótce przygody swoje przy odnalezieniu Emina.

Z przemowy tej wnioskować było można, że Emin istotnie niechętnie i tylko zmuszony buntem swych żołnierzy, podburzonych przez intrygi angielskie, opuścił był zajmowane przez się stanowiska, których był wszechwładnym i samoistnym panem.

O wiele żywszą sympatyą cieszył się w Egipcie przybyły ze Stanleyem adjutant Emina, kapitan Casatti. Z prostotą, żołnierzowi właściwą, opowiadał on o swych przygodach, gdy załogi egipskie cofać się musiały z Goudokoso i Lado i coraz to bardziej posuwając się na południe, rozgościły się koło Albert Nyanza. Wtedy to wysłanemu w poselstwie do króla prowincyi Unijoro Casatti'emu uratowała życie jedynie *para butów*. Przywiązany do drzewa i pozostawiony w puszczy na pożarcie przez dzikie zwierzęta, ocalony został przez jedną z pięknych Afrykanek pod warunkiem, iż daruje jej swe buty. Kiedy jednak przyszło mu potem przedzierać się przez ciernistą gąszcz dziewiczego lasu, żałował gorzko nasz podróżnik, iż takim cennym przedmiotem okupił swe życie. Wpół żywy dowlókl się do brzegów jezicra Alberta, gdzie cudem odnaleziony został przez Emina.

Podczas gdy Stanley przedstawił nam groźny i straszny obraz niedostępnych, ciemnych lasów środkowej Atryki, Casatti przeciwnie w pojętnych barwach opisał nam wybrzeża jezior, a szczególniej krainę Unijoro, którą uważa jako ziemię obiecaną przyszłych pokoleń.

* * *

Wśród grona turystów, których zimową porą witaliśmy w Egipcie, zjawiali się czasami, jak już

wspomniałam, goście z dalekich stron naszych. Byli to po większej części przedstawiciele naszej arystokracji: Sapiehowie, Lubomirscy, Potoccy i inni.

Pewnej jesieni wszakże wyczytałam w dziennikach wiadomość, iż Henryk Sienkiewicz przyjeżdża do Egiptu z zamiarem odbycia wycieczki w głąb Afryki. Nowina ta poruszyła całą naszą nieliczną kolonię polską w Egipcie. Była to wistocie pamiętna dla mnie chwila, gdy autor „Potopu“ ukazał się w saloniku moim. Jego sposób opowiadania obrazowy i zajmujący i jego ułożenie pełne prostoty i godności, zjednały mu wszystkich w jednej chwili.

Jest-to ogólnym zwyczajem, że poznając ludzi, o których wiemy, że są genialni, szukamy w ich powierzchnowości „czegoś“, coby na zewnątrz zdradzało ukrytą w ich duszy iskrę Bożą. To—„coś“—ta iskra Boża, zdradza się u Sienkiewicza w jego oczach; oczy te zmieniają wyraz i barwę pod wpływem silniejszych wrażeń, nie pożyczają one blasków od zewnętrznego świata, ale czerpią je z głębi ducha, jak głębokie fale, co barwę zawdzięczają ukrytym na ich dnie skarbowi morza.

Wiedziałam, że Sienkiewicz nie lubi gwarnych zebrzań towarzyskich, pomimo więc prośb wielu obcych dygnitarzy egipskich, którzy mnie pytali „ou peut on voir le grand auteur polonais“, przyjmowałam sławnego gościa w skromnym kólecisku naszych przyjaciół, do którego należał wyżej wspomniany hr. Załuski i pan Walberg-bej Dzierżanowski, sekretarz ministerjum oświaty, człowiek niezwykłych zdolności i szerokiej wiedzy, a zachowujący zawsze najszczerze dla kraju uczucia.

Spędziliśmy w towarzystwie „mistrza“ kilka uroczych wieczorów; jeden z tych jednak musiał się w pamięci samego p. Henryka niezbyt miłym wspomnieniem zapisać.

Wysławszy do naszego gościa zaproszenie na „zrazy z kaszą“—otrzymałam odpowiedź nader miłą:

że „takich zaprosin pod piramidami się nie odmawia”. Po dość ożywionem zebraniu, Sienkiewicz razem z hr. Tyszkiewiczem wybrali się do piramid i noc całą, dość chłodną, w porównaniu do dnia ciepłego, przebyli w pustyni. Być może, iż godzinom tym, u stóp piramid spędzonym, zawdzięczamy niezrównany opis pustyni w podróżach Sienkiewicza, niezwykle jednak chłód tej nocy był pierwszym powodem choroby jego późniejszej.

Nazajutrz wyjechali goście nasi do oazy Tayim, o mil kilka od Kairu odległej; jakież jednak było moje przerażenie, gdy Beduin, którego wysłaliśmy jako przewodnika z tymi panami, zjawił się nagle w konsulacie, donosząc, iż jeden z tych panów zachorował w drodze i powrócić musiał do hotelu.

Był to Sienkiewicz, u którego wywiązało się silne zapalenie gardła. Sprowadziliśmy z Aleksandryi austriackiego radcę sanitarnego, dra. Kłodzianowskiego, który obawy nasze uspokoił. Kiedy jednak Sienkiewicz po paru tygodniach przyszedł nas pożegnać przed wyjazdem do Zanzibaru, wydał mi się tak cierpiącym, że błagałam go, aby się wstrzymał z podróżą, kładąc nacisk na to, że siły i zdrowie jego należą przecież do narodu.

— Należymy w tej chwili do Cook'a; namioty kupione, jutro jedziemy do Suezu — była stanowcza odpowiedź p. Henryka.

Łatwo pojąć, z jakim niepokojem oczekiwałam wiadomości o dalszym przebiegu podróży. Przewidywania moje, iż zdrowie Sienkiewicza ucierpi w tej trudzącej wyprawie, okazały się, niestety, zbyt słuszne. Jak wiadomo, Sienkiewicz, nie dotarłszy do ostatecznego celu swej podróży, powrócić musiał do Zanzibaru i tam ciężko zaniemógł.

W maju tegoż roku powitaliśmy go znów w Kairze, był jednak do niepoznania zmieniony. Chciałam więc ponownie uprosić go, aby czas jakiś

między nami wypoczął, zanim powróci do Europy, ale nadaremnie.

Śpieszno mu było wydostać się z pod wpływu zdradzieckiego klimatu Afryki i powrócić do tych krain, kędy już nie śpiew muezzinów, ale — „głos dzwonów wola wiernych do modlitwy“.

ROZDZIAŁ XVI.

Sudan, jego walki i dzieje.

„Egipt to spichlerz Sudanu—a Sudan to klucz złoty Egiptu“ — powtarzała często w obrazowej swej mowie jedna z najrozumniejszych księżniczek egipskich, sędziwa żona Saïda-baszy (poprzednika wicekróla Ismaila).

Jakkolwiek zamknięta w haremie, zajmowała się jednak żywo wszystkim, co dotyczyło Egiptu, ubolewała przedemną nad klęskami egipskiego wojska w Sudanie w r. 1883 i 1884, nad utratą zdobytych przez Mehemeta-Alego i jego następców prowincyj, których posiadanie posunęło było granice państwa aż po za zwrotnik—nie mogła też darować Anglikom, iż opieszałością w przesłaniu posiłków spowodowali upadek Chartumu i wydali niejako na śmierć własnego bohatera, Gordona.

Wypadki te, tak ważne w dziejach Egiptu i Sudanu: ugruntowanie potęgi mahdystów, bitwy pod Trinkital i Takowem, wreszcie zajęcie Chartumu przez Mahdiego i zamordowanie Gordona i jego towarzyszy, miały miejsce w czasie pobytu mego w Kairze; byłam więc, rzec mogę, dość bliską dalekiej widowni tych zajść krwawych. Dochodziły nas co chwila echa walk staczanych, bądź własnoręczne listy oficerów armii egipskiej i angielskiej, bądź pro-

klamacye Mahdiego rozsiewane w Egipcie między wyznawcami proroka.

Pozostały mi też w pamięci junackie miny żołnierstwa angielskiego, które z utraconego Chartumu powracało z równą butą, jak gdyby po odniesionem zwycięstwie. Pamiętną mi jest również szlachetna postać Gordona, gdy mianowany przez Tewfikabaszę (byłego kedywa) „Hakmadarem“, t. j. gubernatorem generalnym Sudanu, opuszczał Kair w r. 1884 nie na czele armii, jak powinien był to uczynić, mając przed oczyma świeżą wówczas klęskę Hicks-baszy w r. 1883, ale w towarzystwie jednego tylko pułkownika, „Stewarta“. Mówiono nam, że takie miał rozkazy; podziwiać istotnie należy odwagę osobistą Gordona—którą, jak wiadomo, posuwał aż do zuchwalstwa; z drugiej strony jednak ubolewać przychodzi nad nierozwagą i lekkomyślnością marzyciela, filantropa, któremu się zdawało, że sprawiedliwymi rządami, wspaniałomyślnością i zapewnieniem nowych swobód zjednać sobie potrafi dzicz rozbestwioną i roznamiętnioną już wówczas proklamacyami Mahdiego, zbałamuconą kilku zwycięstwami Mahdystów.

„Jadę, aby światło, swobodę i szczęście przynieść w uciśnione kraje czarnych paryasów“—mówił Gordon do zebranych licznie na dworcu kairskim reprezentantów wszystkich mocarstw, żegnających go serdecznie; zwracając się zaś do nas, kobiet, dodał: „albo zginę jako męczennik za szlachetną sprawę“—a w siwych jego łagodnych zazwyczaj oczach błysnęła wyraz prawdziwego zapału.

Dowiedziałam się później, że na całej przestrzeni od Kairu do Chartumu lud biedny, tak Arabowie, jak i murzyni, witali z najwyższem uwielbieniem Gordona, jako „zbawcę i sultana Sudanu“—pamiętni jego sprawiedliwych rządów w latach od 1874—

1877¹⁾ i za drugim powrotem do tak w ekwatorialnych, przez niego zajętych, prowincjach, jak i w Sudanie całym.

Zaledwie jednak stanął Gordon w r. 1883 po raz ostatni w Chartumie, wnet poznał, iż otoczony jest siecią intryg i że żadnemu z podwładnych oficerów arabskich zaufać nie może. Oficerowie ci, jako też i wszyscy prawie urzędnicy egipscy w Sudanie, ciągnęli zyski z anarchii tamże panującej. Niektórzy z nich byli w porozumieniu z „Dzellaba“²⁾— t. j. z handlarzami niewolników; inni wzbogacali się przez niesłuszne, a z najwyższym okrucieństwem ściągane od biednego ludu podatki. Powrót więc Gordona, którego nazywano opiekunem niewolników i nędzarzy, nie był wcale na rękę tym arabskim, chciwym grosza i władzy opryszkom.

Pierwszym czynem Gordona było ogłoszenie ludowi, że handel niewolnikami najsurowiej jest wzbroniony, a wszystkie podatki zniesione. Ogłoszenie to jednak, jakkolwiek z najwyższą wdzięcznością przyjęte przez lud ubogi, który ręce i nogi Gordona przy jego wjeździe do Cartumu całował, było już, niestety, spóźnione, gdyż fanatyczne proklamacje Mahdiego, w całym Sudanie i Egipcie rozrzucane, zjednały już pierwej wielu stronników nowemu prorokowi.

Zanim przyjdę do szczegółowego opisu walki i katastrofy w Sudanie, pozwolę sobie czytelnikom moim bliżej nieco zapoznać z tą tak rozległą, a pod każdym względem mało znaną krainą i jej przeszłością.

¹⁾ Gordon był trzykrotnie mianowany gubernatorem; raz pierwszy w r. 1876 w ekwatorialnych prowincjach, dwa razy w Sudanie.

²⁾ Szczep jedyn Arabów w Sudanie, zwany Dzellaba zajmuje się chwytaniem i sprzedażą niewolników.

Sudan, czyli „kraj czarnych“¹⁾, zajmuje bez Abisynii, razem jednak z przyłączonemi doń za panowania wicekróla Ismaila prowincjami ekwatorialnymi: Harrad, Bakr el-Gazal i Hatt-el-Estiwa po jeziora ekwatorialne, przestrzeń olbrzymią 1,965,561 kilom. kwadratowych.

Trudno zaiste oznaczyć dokładnie granice tego rozległego państwa, to też już wicekról Saïd-basza zwykł był mawiać: „mon royaume n'a pas de limites.“ (moje królestwo niema granic).

Cała ta kraina, dziś znana pod nazwą Sudanu, razem z Abisynią nosiła w starożytności nazwę wyższej i niższej Etyopii. Było to państwo bogate i potężne, które w dziejach Egiptu ważną grało rolę, gdyż raz po raz Faraonowie kuszą się o zdobycie tych krain, to znów królowie Etyopii panują nad Egiptem.

Opowieści i baśnie o bogactwach ziemi Etyopskiej były od wieków ponętą dla obcych zaborów. Na wzór potężnych Faraonów zapragnął perski zaborca, Kambizes, posiadwszy Egipt, połączyć z nim kraj cennych kruszców, czarodziejską Nilu kolebkę. Sama dzika natura pustyni stanęła tu jednak do walki z pogromcą ówczesnego świata. Wojska jego, znużone skwarem i brakiem wody, złudzone widmem fata morgany, poginęły w pustyni; sam zaś Kambizes, jak niesie podanie, wskutek porażenia słońca popadłszy w obłęd, popełniał za powrotem do Egiptu same szaleństwa i okrucieństwa, które też przyczyniły się do jego upadku i śmierci.

Etyopia zachowała więc czasowo swą niepodległość, okupywać ją jednak musiała haraczem, składanym władcom Egiptu. Etyopia obroniła się również przed zaborem rzymskich satrapów, którzy wysyłają w głąb Afryki wyprawy jedynie w celach naukowych, dla odszukania źródeł Nilu i zba-

¹⁾ Nazwa Sudanu pochodzi od „tssuad“ (czarny).

dania tych zaczarowanych krain, o których Herodot tyle baśni nam przekazał.

Tylko Nubia przechodzi na jakiś czas pod władzę Rzymu, aby później samoistnie utworzyć królestwo. Etyopia zaś z biegiem wieków ścieśnia coraz bardziej swe granice w obrębie dzisiejszej Abisynii pod wpływem plemion, z głębi Afryki na nią naciskających.

Wiedza i cywilizacya dawnych Kuszytów zanika powoli i w gruzy się rozpada—jakkolwiek tak Etyopia, jak i Nubia za przykładem Egiptu, z którym ożywiony prowadzą handel, przyjęły były w pierwszych zaraz wiekach naszej ery religię Chrystusa, a mianowicie w Etyopii rozpowszechnił się obrządek grecki, który też w Abisynii po dziś dzień się przechował, jakkolwiek z pogańskimi zmieszany pojęciami. W Nubii zaś i w dzisiejszym Sudanie osiedliła się sekta Jakobitów, czyli Koptów.

Kiedy dawny Egipt, szarpany niezgodą sekt religijnych, upada pod ciosami dzielnego Amru, dowódcy kalifa Omara, powódź arabskich szczepów zalewa Afrykę, mieczem i ogniem torując drogę półksiężycowi.

Szczep zaś arabski po dziś dzień tak jest pełen żywotności i siły, że ludy dzikie, którymi zawładnie, zlewają się z nim po jakimś czasie.

To się też stało z ludami, Sudan zamieszkującymi; większa ich część przyjęła wiarę i obyczaj muzułmanów, jedna tylko Abisynia potrafiła się oprzeć Islamowi, który jednak nie przyniósł oświaty i cywilizacyi w podbite kraje, ale przeciwnie, odgrodził je, niby murem nieprzebytym od reszty świata. Noc ciemna, tajemnicza ogarnęła te niedostępne krainy; pozostały one aż do naszych czasów niewyjaśnioną zagadką. Niekiedy tylko znajdujemy wzmianki w kronikach arabskich dziejopisów o ludach Sudanu, a potężniejsi z kalifów starają się o połączenie tych krain z Egiptem, wiedząc, jak ważnem byłoby

dla handlu posiadanie całego Nilu i jego górnych wybrzeży. Niestety, najglówniejszym przedmiotem handlu tego byli niewolnicy.

W ostatniem stuleciu, kiedy pogromca Mameluków, Mahomet-Ali, ugruntował już samowładztwo swe w Egipcie, skierował myśl swoją ku górnym wybrzeżom Nilu, nęciły go bowiem opowieści o minach złota, które miał nadzieję odnaleźć w pasmie skał wzdłuż Niebieskiego Nilu, że zaś pragnął wsławić swe panowanie odkryciami geograficznymi, dlatego do każdej ekspedycyi w głąb Sudanu przydzielał europejskich badaczy. Pierwsza ekspedycya taka wyszła z Kairu w r. 1822 pod dowództwem Ismaila, dzikiego satrapy, syna Mehmeta-Alego.

Zajął on wkrótce Dongolę, Berber i Senaar żyzny, a nie odkrywszy upragnionych kopalni złota, ale tylko piasek złoty, na dnie strumieni się znajdujący, zwrócił się ku Szendi. Tu jednak miała miejsce straszna scena, która krwawe wspomnienia pozostawiła ludom Sudanu. Szech plemienia Dżalli el Nem, t. j. tygrys, do rozpacz przywiedziony brutalnością i niemożliwemi żadaniami Ismaila, podburzył lud, który otoczywszy nocą obóz Egipcyan, pod pozorem igrzysk na cześć Ismaila urządzonych, podpalił trawy suche dokoła obozu podłożone i spalił żywcem całą armię egipską razem z jej dowódcą. Przez trzy dni rozwścieczone tłuszcze w dzikim tańcu przedrzeźniały męczarnie płonących ofiar,

Jeszcze straszniejszą jednak była zemsta Egipcyan; szwagier Ismaila, Desterdar, poprzysiągł nie spocząć, dopóki 20,000 ludzi trupem nie położy. Dotrzymał też w straszny sposób danego słowa, wyludniając całe prowincye, niszcząc ogniem i mieczem, wymyślając nowe tortury dla swych ofiar. Kwitnące niegdyś krainy zmieniły się w pustynie, handel i rolnictwo upadło, lud zdziczał z nędzy i trwogi.

Za przykładem, z góry danym, mianowani w podbitych prowincjach urzędnicy egipscy dopu-

szczali się okrucieństw, pastwili się nad ludem i wzbogacali nadużyciami. Handel niewolnikami był głównym źródłem ich dochodów.

Wprawdzie Mehemet-Ali, zwiedzając w r. 1838 przyłączone do Egiptu kraje, wydał rozkaz, aby z krajowcami jak najłagodniej się obchodzono, ogłosił również, że sprzedaż niewolników jest surowo wzbroniona, były to jednak tylko czcze i puste słowa, dla zadowolenia Europy rzucone, gdyż sam wicekról i wszyscy jego synowie posiadali liczne zgraje niewolników i sami nabywali lub przyjmowali w podarku od kupców i podwładnych ten żywy towar.

Wyprawy jednak w głąb Sudanu i zajętego już wówczas Kordofanu, wysyłane przez Mehmeta-Alego, miały tę wielką doniosłość, że zwróciły oczy geografów i badaczy na te nieznanne i tajemnicze, nieprzystępne dotąd krainy i wznowiły ową starożytnych stuleci zagadkę o źródłach Nilu, którą nasz wiek, dzięki Stanleyowi wcześniej wyjaśnił. W roku 1864 założoną została w Sudanie pierwsza stacya dla misyi centralno-afrykańskiej. Myśl do tego pierwszą podał ks. Ryłło, Polak, a raczej Litwin¹⁾, z zakonu ks. Jezuitów, rektor kongregacyi „de propaganda fide,” pełen zapału i poświęcenia dla sprawy. Niestety, położył on życie w ofierze i to bardzo wkrótce po swem przybyciu do Chartumu; kierownictwo zaś misyi objął dr. Knoblocher, człowiek niezwyklej energii i siły ducha, szanowany przez samych mużulmanów, którzy nazywali go „Ojcem spokoju,” Abu Solejman. Założył on w Chartumie szkołę dla dzieci murzyńskich, a w Gondokaro nową stacyę misyjną. Jednakże wynik niesłychanych ofiar i trudów misyonarzy był bardzo mały. Ci tylko murzyni,

¹⁾ Wśród misyonarzy afrykańskich misyj znajdujemy znów później w r. 1872 drugie nazwisko polskie: Wincentego Jermolińskiego.

którzy byli poganami, przyjmowali wiarę Chrystusa; muzułmanie zaś nawrócić się nie dają; nie chcą się oni pogodzić z pojęciem naszym o Trójcy Świętej, które wydaje im się bałwochwalczą wiarą w trzy bóstwa. Mimo to, patrzą z tolerancją i pobłażaniem na prace i zabiegi misjonarzy, a biedny lud arabski udaje się do nich często o lekarstwa, pomoc i radę. Śludzy moi w Kairze udawali się bardzo często do starego misjonarza, przeora Franciszkanów, gdy potrzebowali lekarstw lub dobrej rady i z wielką czcią całowali go po rękach.

Opiekę nad misją centralno-afrykańską objął rząd austriacki, jako ultra-katolicki, utworzona więc została w Chartumie agencja konsularna, mająca na celu wspieranie i obronę misjonarzy i dostarczanie im funduszków przez rząd i ze składek corocznie ofiarowanych. Ministerjum austriackie wyrobiło u sułtana firman, upoważniający osiedlanie się misjonarzy w Sudanie.

Z tych to powodów nazywają często na Wschodzie misję afrykańską misją „austriacką,” a młodzi neofici i dzieci murzyńskie mówią o cesarzu Franciszku Józefie „Nostra Imperatore.” Wogóle w wyobrażeniu ludu arabskiego pozostała Austria najpotężniejszym państwem Europy.

Do wyobrażenia tego przyczyniają się wiele talary Maryi-Teresy, będące w całym Sudanie w obiegu.

Stanowisko misjonarzy w Sudanie było tem przykrzejsze, iż wszystkie ich usiłowania polepszenia bytu i ratowania biednych murzynów były nadaremne, musieli oni patrzeć codziennie, jak chwytano, mordowano i wysyłano setkami tych nieszczęśliwych.

Niestety, nietylko Arabowie zajmowali się sprzedażą tego cennego produktu; europejscy kupcy, ludzie wykształceni i na wyższych stanowiskach będący, wzbogacali się również tym handlem. Mię-

dzy innymi wsławili się niesłychanem okrucieństwem Francuzi: bracia Poncet i de Malzac, ten ostatni attachè poselstwa francuskiego, później osiedlił się w Sudanie i pod pozorem handlu kością słoniową sprzedawał, wiązał i katował niewolników.

Ustawiczne skargi na nadużycia, których się dopuszczano w Sudanie, zniewoliły panującego (w roku 1857—1863) wówczas wicekróla Saïda-baszę do odbycia podróży w te odległe krainy. Towarzyszył wicekrólowi w tej podróży Ferdynand Lesseps. Opowiadał on, że pewnego razu zastał Saïda rzewnie płaczącego, a zapytawszy o przyczynę, taką otrzymał odpowiedź: *Je vois tant de misère, tant de larmes de mon peuple et je ne sais pas-y remédier.* (Widzę nędzę i łzy moich poddanych, a nie umiem temu zaradzić).

Wistocie trudno było z powodu wielkiej odległości od centrum władzy i niesumienności pierwszych w państwie urzędników jakiegokolwiek przeprowadzić reformy.

Nadaremnie wysłano kordon wojska, który miał zatrzymywać transporty niewolników, sami oficerowie i żołnierze kupowali i chwyтали dla siebie biednych murzynów, misjonarze zaś utrzymują, że ów filantropijny Saïd-basza polecił sam potajemnie jednemu z bogatych kupców, aby mu dostarczył kilkuset roslých murzynów dla utworzenia z nich gwardyi przybocznej i że osiarował po 15 sterł. za głowę.

Wkrótce potem nowa epoka rozpoczęła się dla Sudanu. Następcą Saïda, wicekról Ismail-basza, zamarzył o utworzeniu pod swem berłem królestwa afrykańskiego, któreby od Śródziemnego morza aż po równik sięgało. Postanowił więc podzielić Sudan na kilka osobnych prowincyj i oddać zarząd tychże europejczykom. Pierwszym gubernatorem mianowany został Muminger, Szwajcar. Jednocześnie wysłał Khedyw liczną bardzo ekspedycyę, pod dowództwem:

słynnego inżyniera i myśliwego, Samuela Bakera, dla zbadania ekwatoryalnych prowincyj i okolic nad Nilem.

Było to właśnie w tej porze, kiedy prezes towarzystwa geograficznego w Londynie otrzymał był telegram z Aleksandryi: „The Nil settled“ (Nil zbadany). Wistocie, już w r. 1860 angielsko-indyjski kapitan, Hanning Speke, w towarzystwie Granta, dotarł był do wielkiego zbiorowiska wód słodkich przy Wiktorya Nyanza, z kąd kilka strumieni wypływa ku północy, jednakże dopiero Stanley, wysłany dla odszukania Emina-baszy w r. 1889, orzekł stanowczo, że jeden z tych strumieni, zwany Semliki, a wypływający z Edmund-Nyanza, jest rzeczywiście Nilem.

Wyprawa Samuela Bakera kosztowała skarb egipski 20 milionów franków, nie przyniosła jednak wiele korzyści.

Ciągłe wieści o polowie niewolników, którzy w ekwatoryalnych prowincjach z bronią w ręku i na wielką skalę się odbywał, oburzały Europę.

Starano się więc skłonić Ismaila do nowych i stanowczych kroków, aby położyć koniec tym bezprawiom. W gruncie rzeczy Ismail nie mógł być bardzo filantropijnie usposobionym; wychowany w dawnych ideach przez matkę, znaną z okrucieństw, jakich się na własnych niewolnicach dopuszczała, utrzymywał w pałacach swoich kilkuset niewolników i całą zgraję eunuchów. Gdy jedna z dam europejskich mówiła o ucisku egipskiego ludu podatkami i o nędzy wieśniaków, zniecierpliwiony Ismail odrzekł: „Wszak to są moi poddani i niewolnicy, ich życie i mienie jest moją własnością.“ Jednakże chęć przypodobania się Europie i zaprowadzenia kontroli nad wzbogaconymi i rozzuchwalonymi zarządcami dalekich prowincyj, którzy jego własnej potędze zagrażali, i chęć rozszerzenia granic państwa, skłoniły Ismaila do ciągłego zajmowania się Sudanem.

Odwoławszy Bakera z namowy Anglii, której

uwaga zwrócona już teraz była ustawicznie na Egipt, oddał Ismail po raz pierwszy w r. 1874 zarząd ekwatoryalnych prowincyj pułkownikowi Gordonowi, wsławionemu w wojnie angielsko-chińskiej. Gordon, mając pełnomocnictwo wystąpienia zbrojnie, posunął wkrótce granice państwa aż po jeziora ekwatoryalne; najglówniejszem jednak zadaniem jego było: położyć koniec barbarzyńskiemu łowieniu i sprzedaży murzynów. Misyja to o wiele była trudniejszą do spełnienia, niż towarzystwo antiniewolnicze z Londynu sądzić mogło, gdyż najpotężniejszym wrogiem, z którym Gordon ustawicznie walczyć musiał, było przepustwo urzędników egipskich i armii.

W jednej z prowincyj południowych gospodarczył wtedy po swojemu dziki handlarz niewolników, Zhobeir. Pobiwszy małe oddziały wojsk egipskich, występował on dość groźnie jako samorządca, a zajmawszy Darfur, zażądał, aby go wicekról mianował także lennym swym królem. Wtedy Khedyw postanowił zwabić go podstępem do Kairu pod pozorem układów, tu otoczył go zaszczytami, mianował baszą, ale zatrzymał pod strażą tak, iż Zhobeir ruszyć się nie mógł w stolicy.

Miałam sposobność poznania Zhobeira w Kairze na balu u wicekróla. Bale te, urządzone z wielkim przepychem w pałacu Abdin, mają tę oryginalność, że można podziwiać na nich stroje rozmaitych narodowości: obok najpyszniejszych paryskich toalet dam europejskich ubiory narodowe Szkotów, Wighländerów, którzy nagiemi świecą kolanami, tureckie złotem haftowane stambuliny urzędników egipskich i długie żupany Arabów starowierców.

Zhobeir zwracał powszechną uwagę bogactwem stroju, nosił turban szeroki, spięty brylantowemi ozdobami; żupan miał z jasnego brokatu i taki sam płaszcz, czyli raczej wierzchnią suknię.

Cera jego była bardzo śniada, prawie czarna,

mówił ze mną słów kilka po włosku, wyznam jednak szczerze, że wzdrygnęłam się, gdy podał mi rękę, widząc, że ta ręka zbryzgana krwią wielu ofiar.

Jakkolwiek strzeżony pilnie w Kairze za czasów Ismaila, potrafił sobie Zhobeir wkrótce po swem przybyciu bajecznymi bogactwami licznych zjednać stronników, a tymczasem syn jego przygotowywał rokosz w ekwatoryalnych prowincjach, korzystając z tego, iż Gordon, zniechęcony trudnościami, nie mogąc urzeczywistnić swych marzeń, staczając nadaremne walki z handlarzami niewolników, którzy znajdowali zawsze drogi, aby wysyłać nowe transporty, dobrowolnie ustąpił z powierzonego mu stanowiska i powrócił do Londynu.

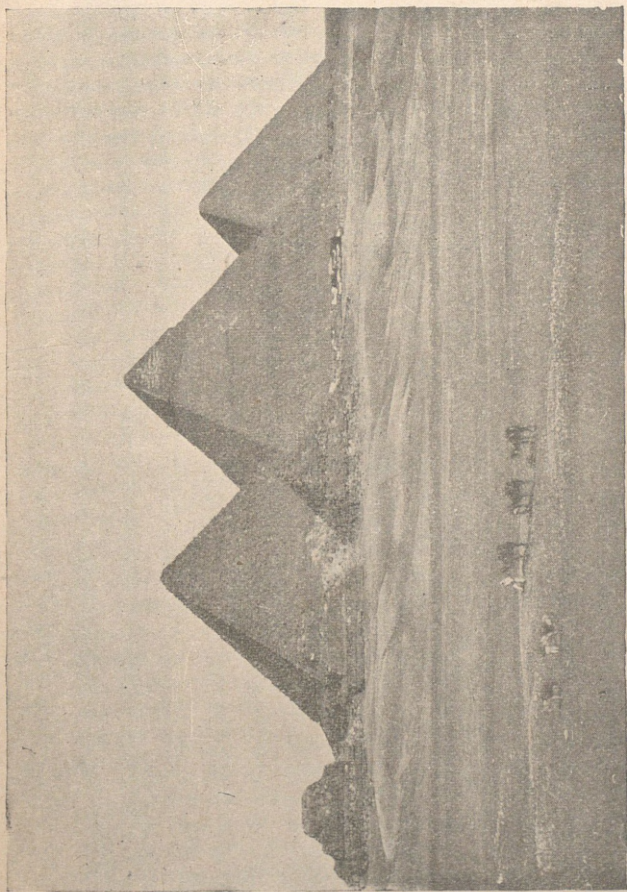
Jednakże Anglia w obawie, aby Khedyw tak ważnego stanowiska nie powierzył Francuzom lub Niemcom, mając już wtenczas zamiar narzucić Khedywowi rolę indyjskiego Rajaha, postarała się o to, iż Ismail osobnym, własnoręcznym listem zawezwał Gordona do powrotu i nadał mu rangę generalnego gubernatora, z pełnomocnictwem mianowania ze swej strony mudirów, t. j. namiestników i innych podwładnych urzędników.

Mając w rękę taką nieograniczoną władzę, ślepo wierząc w przeznaczenie i posłannictwo swoje, zamarzył znów Gordon o urzeczywistnieniu filantropijnych swych idei.

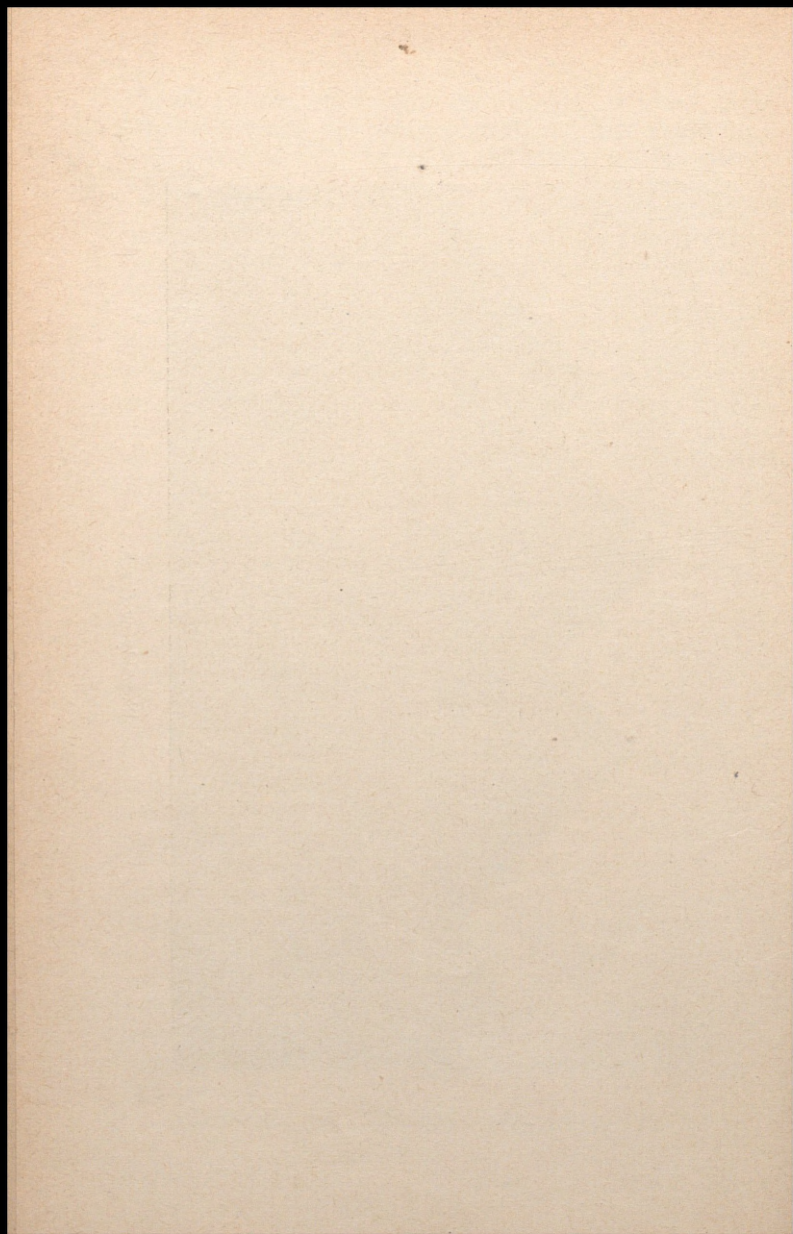
Jednakże i tym razem nadzieja ta okazała się płonną; przez dwa lata niebytności Gordona horda rozbójników sudańskich znów podniosła głowę.

W Bahr-el-Gazol wybuchło powstanie, kierowane przez syna Zhobeira, które osobistą, niezwykłą odwagą potrafił Gordon przytłumić. Udał on się sam jeden konno do obozu wodzów głównych i stanąwszy między nimi, zapytał najspokojniej, jakie są ich żądania.

Zdumieni tą odwagą, przypisując ją cudo-



Piramidy w Gizeh.



twórczej potędze, poddali się dzicy wodzowie bez walki.

Gordon ze zwykłą swą wspaniałomyślnością popełnił jednak wielką nieprzeorność, gdyż nietylko ułaskawił Solejmana Zhobeira, ale mianował go mudirem w Bahr-el-Ghazal. Wkrótce pożałował tej szlachetności. Solejman ogłosił się samoistnym władcą, a Gordon zmuszony był wysłać przeciw niemu znanego z energii Włocha, Romola Gessi.

Gessi z wściekłością i zajadłością Włochom właściwą prześladował i tępił handlarzy niewolników, oddając im w dwójnasób okrucieństwa, jakich się na murzynach dopuszczali.

Niestety, los tych ostatnich niewiele się przez to polepszył, bo gdy handel otwarty ustał, prowadzono go skrycie, co biednych murzynów narażało na tem straszniejsze męczarnie w długich pochodach przez błędne drogi pustyni.

W tymże czasie ukazał się był w Sudanie derwisz ubogi, imieniem Mohamed-Achmed; starał się on obudzić między ludem fanatyzm religijny, wykazując jakie zepsucie wkradło się między wyznawców Islamu; z drugiej strony bogatym a niezadowolonym z zaprowadzonego przez Gordona porządku beduinom (Dżellaba) przyrzekał przywrócenie wolnego handlu niewolnikami, jako też zyski i swobodę w kraju w razie uwolnienia z pod władzy Egiptu.

W krótkim czasie zjednał sobie wielu stronników, nie chcąc jednak ściągnąć na siebie przedwcześnie uwagi władz, cofnął się na wyspę Aha nad białym Nilem i tam przez życie ascetyczne, posty, modlitwy, opowiadania o cudownych widzeniach i zjawiskach starał się w otaczających go utwierdzić wiarę, iż jest owym obiecany Koran Mahdim. Czekał przytem pewnej sposobności, aby wystąpić jawnie i korzystać z zasianego skrycie ziarna. Ta sposobność nadarzyła się wkrótce, gdy Gordon wy-

stany był przez nowego Khedywa, Tewfika-baszę, w misji tajnej do Abisynii, aby Negusa, występującego dość groźnie po zadanej wojskom egipskim klęsce, nakłonić do układów. „Il y a des discordes sur la frontière de Abissynie, arrangez les“—pisał Khedyw do Gordona. Była to jednak niełatwa misya. Król abisyński, znając nie-zczęśliwe stosunki, w jakich się chwilowo Egipt znajdował—nie był sklonnym do układów.

Gordon powrócił z niczem, wioząc tylko list króla Jana następującej treści. Przytaczam go tu, gdyż pisany jest ciekawym stylem:

„Jak się powiodło Tobie w tym tygodniu? Ja i moi żołnierze jesteśmy zdrowi dzięki Bogu. Napadłeś na moje posiadłości jak rozbójnik, a teraz chciałbyś zawrzeć pokój. Jak możesz jednak zawierać go, jeśli przeszkadzasz ludowi w handlu i zamykasz przed nim drogi? Uwiadomię wodzów i królów o Twojem postępowaniu“.

Gordon, znięchęcony tem niepowodzeniem w Abisynii, przekonawszy się raz jeszcze, że ci nawet, którzy mu byli winni wdzięczność, są jego wrogami, opuścił Sudan i prosił po raz drugi o dymisyę.

Wiść o tem przyjętą została z największą radością przez podłych kupców sudańskich i sprzedajnych urzędników egipskich; lud biedny powitał ją łzami—dawna anarchia zapanowała nanowo.

Dość powiedzieć, że w dwa miesiące po wyjeździe Gordona karawana, pędząca 3,000 niewolników, stanęła w Assuit za wiedzą i zezwoleniem władz egipskich.

Mahdi mógł teraz jawnie działać, wkrótce wzrósł tak w potęgę, że wydawać zaczął prawa i rozkazy, mianował dowódców, zorganizował armię i głosił zasady, które się zamykały w tej jego zasadzie:

„Nehreb el dunia u neszamer el ackra“—(świat zły, zniszczony, stwórzmy inny).

Władze egipskie ze zwykłą im opieszałością lekcewały ruch ten początkowo. Wysłane przeciw Mahdystom pierwsze oddziały wojska na głowę pobite zostały, jakkolwiek Mahdi, chcąc tem silniejszy zbudzić fanatyzm, uzbrajał początkowo swe wojsko jedynie w noże, lance i pałki. Trzeba jednakże wiedzieć, jak straszną bronią jest lanca w ręku Sudańczyka. Ciskają oni temi lancami nadzwyczaj celnie, a jeden z oficerów angielskich opowiadał mi, że murzyn, ugodziwszy swą ofiarę, biegnie i rzuca się na nią, jak pantera zębami szarpiąc zadaną ranę. Najdzielniejsi żołnierze angielscy zmykali z pola walki na ten widok.

Każde zwycięstwo Mahdiego utwierdzało wiarę w jego posłannictwo; zaczęła krążyć między ludem arabskim baśń, że kule Turków (tak Sudańczycy nazywają Egipcyan) pod czarodziejskim wpływem Mahdiego zmieniają się w krople wody. Mahdi zajął wkrótce el-Obeid i stał się panem całego Kordofanu, a było to właśnie w tym czasie, kiedy Egipt ciężkie przechodził chwile. Powstanie Arabiego, bombardowanie Aleksandryi i okupacja angielska zajmowały wszystkie umysły, pochłaniając siły narodu.

Zaledwie jednak uspokoili się nieco stosunki, Khedyw wysłał do Sudanu armię pod dowództwem Anglika Hicks-baszy, która jednak składała się po większej części z ludzi skompromitowanych w powstaniu Arabiego, a tak niesfornych, że w kajdanach wlec ich musiano na okręty.

Z taką armią, liczącą wprawdzie 10,000 ludzi, ale złożoną z żywiołów zdemoralizowanych i niepewnych, stanął Hicks-basza do walki z fanatycznymi derwiszami i poniósł klęskę niesłychaną. Z całej armii pozostała tylko garstka żołnierzy, którzy częścią przeszli dobrowolnie do obozu Mahdistów, częścią wzięci zostali do niewoli.

Rozzuchwalony zwycięstwem, Mahdi przygoto-

tował się do dalszej walki i jak prawdziwy strateg, zwrócił teraz oczy ku portom Czerwonego morza; wysłał on tamże Emira swego, Osmana Digmę, który podburzać zaczął lud, wśród którego wkrótce wielu znalazł stronników.

Wtedy to właśnie żegnaliśmy w Kairze Gordona, gdy po raz trzeci wyjeżdżał do Chartumu, jako gubernator generalny, czyli, jak mówili Arabowie, sułtan Sudanu.

Jednakże rząd angielski starał się już wówczas wpłynąć na Khedywa, aby Sudan zupełnie opuścił. Anglikom chwilowo nie było na rękę uspakajać Sudan, któryby miliony pochłonał, i rozciągać protektorat nad tak rozległym państwem, ku niezadowoleniu Europy. Woleli więc wyrzec się chwilowo dróg nandlowych w Sudanie, które i tak kiedyś dla własnych stworzą celów.

Gordon, nie będąc nigdy dobrym dyplomata, popełnił tę nieprzezorność i ten błąd wielki, że naprzód już głosił w Egipcie i w Chartumie, jakoby Khedyw zamyślał wyrzec się Sudanu, a powierzona mu misja jedynie na tem polegała, aby załogi egipskie, szkółki chrześcijańskie i misjonarzy przeprowadzić szczęśliwie do Egiptu. Wistocie natychmiast po przybyciu do Chartamu wysłał był Gordon kolonię Murzynów neofitów z siostrami miłosierdzia i biskupem Sogarra na czele do Kairu. Kolonii tej oddano w Kairze osobny teren; wkrótce stanął tam i kościółek pod protekcją Austrii, a ile razy odwiedzałam kolonię, małe murzynki witały mnie hymnem austriackim, komicznie śpiewanym. Niestety już przed przybyciem Gordona do Chartumu kilku misjonarzy i niektóre siostry miłosierdzia dostały się były do niewoli Mahdiego. Za staraniem mego męża, będącego wówczas konsulem w Kairze, trzy siostry wydane zostały za znacznym okupem i umieszczone przy austriackim szpitalu w Kairze; opowiadały mi one często o przygodach i strasznych przejściach

niewoli. Ocalenie życia zawdzięczały jedynie umiejętności pielęgnowania rannych i leczenia chorych.

Wkrótce po wyjeździe Gordona do Sudanu nadeszły w lutym 1884 do Kairu zatrważające wieści o zwycięstwach derwiszów w okolicach Suakimu. Wysłana tamże dość liczna armia pod dowództwem Bakera-baszy, złożona znów z najgorszych żywiołów, pobita została na głowę i w pień wycięta pod El-Tob i Trinkitat, pomimo dzielności europejskich dowódców. Pozostała mi żywo w pamięci postać młodej żony majora Messadaglii, która zalana łzami przybiegła do konsulatu, by nam list męża odczytać. Pozwalam sobie przytoczyć tu kilka ustępów tego listu:

„W przeddzień naszego wyjazdu do Trinkitat wysłałem do Ciebie słów kilka, mając zamiar z Tokaru list dłuższy napisać.

Niestety w niedzielę rano wyruszyliśmy z Trinkitat w 3,000 piechoty i 500 konnych. Przybywszy 4 kilometry, natrafiliśmy na przejście niebezpieczne, które też zaraz fortyfikować zaczęto; 4-go wśród gęstego deszczu wyruszyliśmy dalej. Szliśmy tak może półtrzeciej godziny, gdy nagle na dziesięć kroków zaledwie przed nami ukazały się hordy powstańców. Żołnierze nasi, nie czekając rozkazu, zmieszawszy szyki, zaczęli strzelać wprawo i lewo, zabijając wszystkich, tylko nie buntowników, którzy z lancami rzucili się na nas. W mgnieniu oka zostaliśmy trzej: biedny kapitan Morisi, oficer Bertin i ja. Rąbiąc szablami w prawo i w lewo, udało nam się w krótkim czasie uwolnić od większej części naszych przeciwników. Pozostało ich pięciu lub sześciu, gdy Bertin padł ugodzony kulą, nie wiem z czyjej ręki. Zostaliśmy dwaj; Morisi bił się jak bohater. Już byliśmy prawie wolni, gdy rzucona przez jednego z nich lanca przebiła go nawszkroś. W tejże chwili dwaj buntownicy rzucili się ku mnie: lanca jednego z nich gwizdnęła mimo moich uszu; drugi wymierzył swoją

wprost w moje piersi. Widząc go mierzacego, miałem czas schwycić lancę w powietrzu ręką, tylko ostrze jej zraniło mnie lekko. Rzuciłem się na przeciwnika z szablą, która mnie nie zawiodła ani razu, rozplątałem mu czaszkę.

Byłem wolny; przedemną droga była otwarta, choć zasłana trupami. Dogoniłem armię naszą, która pierzchała. Wolałbym być zginać, niż patrzeć na naćbę naszego wojska, rozbitego przez nieprzyjaciół, jak nielicznych i źle uzbrojonych etc. etc.“...

Wiadomość o nowych zwycięztwach Mahdyistów wywołała w Kairze takie wzburzenie umysłów, żeśmy się przez chwilę obawiali rozruchów. Jednakże lud egipski, jakkolwiek w liczbie taką ma nad Europejczykami przewagę ¹⁾, zżył się już zupełnie z nimi, przywykł do dobrodziejstw cywilizacji naszej i trudnoby było obudzić w nim dawny fatalizm.

Zaczęły tylko krążyć między ludem baśnie ²⁾, że w chwili, gdy Mahdi stanie pod murami Kairu, piramidy zapadną się w ziemię, a wody Nilu wyschną nagle i kraj zmieni się w pustynię. Ukazały się także proklamacye Mahdiego, które rząd egipski przedłożył imamom i ulemasom, t. j. uczonym starożytnej szkoły El-Azhar, dla osądzenia, czy derwisz Mohamed-Ahmed jest istotnie owym obiecany przez Proroka Mahdim. Jednakże szejcy szkoły oświadczyli stanowczo, iż podający się za Mahdiego derwisz jest fałszywym prorokiem, a słowa jego kłamstwem.

Jedną z proklamacyj Mahdiego przełożyłam już wówczas na język polski, podaję więc ją tu dosłownie dla oryginalności myśli i stylu:

¹⁾ Na 450,000 mieszkańców liczy Kair tylko 30,000 Europejczyków.

²⁾ Przyczyniło się do tych baśni zjawienie komety, którą nazywano „gwiazdą Mahdiego“.

Odezwa Mohameta-el-Mahdi do Mufty Suakima, Kalifa el Safi!

W imię Boga potężnego, a miłościwego sława i cześć, modlitwa i pokłon Panu naszemu Mohamedowi i Wybranym jego!

Druhowi naszemu w Bogu, Mustie Kalifowi Mohamedowi el Safi, synowi Abu-Bekra, i wszystkim poddanym jego, których Bóg raczył wybrać i natchnąć do rozszerzenia wiary prawdziwej—pозdrowienie od sługi bożego Mohameda-el Mahdi.

Nie zapominajcie wy wszyscy, do których się odzywam, że siła i potęga znajdują się jedynie w ręku Allaha, od którego wszystko pochodzi, przez którego wszystko istnieje.

On jest władcą nieba i ziemi, on nadaje królestwa ziemskie i odbiera je panującym według swej woli najwyższej. Nie traćcie tego z oczu ani na chwilę. O! wszyscy, których Bóg myślał i rozumem obdarzył.

Zbudźcie się ze snu, strząśnijcie to odretwienie, w którym żyjecie! Niech was nie łudzi próżność, która was otacza! Wiedźcie, że wszyscy otoczeni jesteśmy złudą zwodniczą.

Nie zapominajcie o tych możnych królestwach i wielkich mocarstwach, które nas poprzedziły, a których nazwy rozległy się w przeszłych wiekach po wszystkich krańcach świata. Pomyślcie, cóż zostało z ich potęgi? Oto gruzy, co świadczą o ich możności!

Zastanówcie się nad tem wszystkim i drżycie przed gniewem Najwyższego.

Aby was poprowadzić po drodze, którą Bóg wskazał, posłałem wam Emira Ethmana, Abu-Bekra (Osmana Digmę), z którym musicie się połączyć, aby rozniecić ogień świętej potęgi Allaha, aby podnieść chwałę Islamu, który Bóg wybrał jako wiarę zbawienia.

W tym celu wzywam was, abyście się nawrócili w Bogu i z pokorą przysięgli posłuszeństwo szczerze Emirowi mojemu.

Poczem powstańcie! rzućcie się bez litości na niewiernych, których Bóg w gniewie swoim chce zgładzić z ziemi całej! Gotujcie się do wojny i nie trwóźcie się przeszkodami. Niech ani rzeki, ani góry, ani szańce i działa wrogów nie wstrzymują was w pochodzie drogą świętą, którą ja wskazuję wam. To jedyna droga do uzyskania chwały wiecznej, jaką się cieszą wybrani Allaha!

Jeśli Bóg w miłosierdziu swem natchnie niewiernych swym duchem, tak, że zechcą się nawrócić do wiary jedynej i złączyć się z wami, wiedźcie, że Bóg nie chciał ich zguby i przyjmijcie ich z otwartymi ramionami. Pierwej jednak odbierzcie im broń wszelką i mienie ich. Tacy zaś, którzy zostaną obojętni wobec wielkich wypadków, jakie Bóg ześle, tacy, wierzajcie mi, na czole mają wyryty wyrok Boży, skazujący ich na mękę wieczną, na ogień, którego płomienie nigdy nie gasną. Takim śmierć i potępienie!

Wiedźcie atoli, że ci, którzy zgina, rozkrzewiając świętą wiarę, pomieszczeni będą wpośród świętych i tym Bóg ziści obietnice wszystkie, dane w księgach świętych.

Oto i wszystko, co wam dziś oznajmić miałem.

Biada wam, jeśli nie usłuchacie głosu mego! Biada tym wszystkim, których Bóg w gniewie swoim uczynił głuchymi na słowa z góry natchnione!

Śmierć im i potępienie!

Śługa przed Panem i wybraniec Proroka.

*Mohamed-el Mahdi,
syn Abdallaha.*

Z Chartumu tymczasem coraz smutniejsze przychodziły wieści. Przybyli do Kairu kupcy mó-

wili nam, że Gordon w rozpaczliwym znajduje się położeniu. Zaczęto też domagać się, aby Anglicy wysłali posiłki dla uratowania bohatera.

W samej Anglii powstało oburzenie przeciw ministeryum Gladstona, które wreszcie po długim wahaniu wydało rozkaz, aby generał Wolseley wyruszył z Kairu na odsiecz Chartumu.

Ale przygotowania do wymarszu, sprowadzenie konserwów i prowiantów, których żołnierze angielscy bardzo wiele potrzebują, zabrały wiele czasu. Czekano także na żeglarzy z Kanady, którzy okręty przez katarakty Nilu przeprowadzić mieli. Armia wyruszyła więc dopiero we wrześniu, gdy w Górnym Sudanie wody Nilu opadać już zaczynały. Przeprawa Nilem była zatem bardzo utrudnioną.

Tymczasem Gordon domagał się posiłków, a już 14-go grudnia 1884 zapisał w pamiętniku ostatnim, który przesłał rodzinie, te słowa: „Jeśli za 10 dni nie nadejdzie oddział, choćby z 200 żołnierzy złożony, miasto będzie wzięte. Czyniłem wszystko, co możebne dla honoru mojej ojczyzny“.

Ale i Mahdi otrzymał przez szpiegów wiadomości o zbliżającej się armii Wolseleya; postanowił wziąć Chartum szturmem. Dnia 26-go stycznia 1885 udało się Mahdystom przez zdradę wtargnąć do miasta. Nastąpiła rzeź straszna; jeden z pierwszych padł Gordon, przeszyty lancami. Zamordowany został również konsul austriacki, Hansel, a małoletniego synka jego, wzięto do niewoli i zmuszono do przyjęcia Islamu. Szczegółów tych dowiedzieliśmy się o wiele później od księży misjonarzy, ks. Bononi'ego i Obswaldena, którym, również jak i dwom siostrzom miłosierdzia, udało się, ale dopiero w r. 1891 za pomocą znacznych bakszyszków umknąć z niewoli po przebyciu 20-to kilkodniowej podróży przez bezdroża pustyni do Kairu.

W dwa dni po zdobyciu Chartumu przez Mahdystów ukazały się na Nilu w pobliżu miasta pier-

wsze okręty angielskie, ale przyjęte gradem kul, cofnęły się śpiesznie.

Armia angielska powróciła do Kairu, pozostawiając tylko na granicy Egiptu koło Wadi Halfa kordon wojska. Wieści o Mahdim umilkły powoli, za każdym razem, gdy Europa oburzała się na kuratelę Anglików nad Egiptem, rozruchy derwiszów na granicy dawały dowód, że ta kuratela jest konieczną. Dowiedzieliśmy się także pewnego razu, że Mahdi przysłał do khedywa i do królowej angielskiej listy, wzywając ich, by przyjęli jego zasady i uwierzyli w jego posłannictwo.

Opanowanie Sudanu i oddanie go na łup dzikim stronnikom Mahdi'ego zniweczyło 60-cioletnią pracę Europejczyków nad kulturą tych dalekich krain; zdeptano wszelkie ślady cywilizacji, zniszczono poczty, telegrafy, kanały wody słodkiej i drogi handlowe.

Dziś, gdy po latach 12 Anglicy, ugruntowawszy swą potęgę w Egipcie, ostrożnie i powoli pracują nad odzyskaniem Sudanu, kraj w opłakanym jest stanie, a Anglia będzie pierwszą, która mu swoją opiekę i cywilizację narzuci.

Będzie to dzisiaj zadaniem mniej trudnem, gdyż stosunki w Sudanie zmieniły się wiele. Mahdi nie żyje; wiara więc w jego posłannictwo upadła; fanatyzm osłabł, a lud niektórych prowincyj, z powodu stagnacji w handlu i walk ciągłych, w najwyższej znajduje się nędzy i chętnie dziś Europejczyków powita.

Według ostatnich wiadomości, Anglicy zajęli już Berber i posuwają się coraz dalej; zdaniem zaś fachowców naród, któryby pierwszy założył kolej żelazną z Chartumu przez Kassalę do portów Czerwonego morza, stanie się panem centralnej Afryki. Trudy Anglii opłaca się sownie, bo jeśli wierzyć mamy opowiadaniom podróżników, o ile Sudan

zachodni, t. j. Kordofan i Darfur, jest skalistą i suchą krainą, bogatą jedynie w produkty takie, jak guma, pióra i skóry, o tyle Sennoar i graniczące z nim południowe kraje ekwatoryalne są żyzne i bujne. Kawa, bawełna, tytoń udają się tam znakomicie: „Wyrzec się Sudanu jest to wyrzec się skarby świata”—powtarzał często Samuel Baker—sekretarz zaś Emina baszy, Arminiusz Effendi, powróciwszy z kapitanem Casattim do Kairu, opowiadał nam o tych krajach, jak o istnym raju ziemskim. Kiedy Emin-basza, odcięty przez Mahdistów od Sudanu w oddanej mu pod zarząd prowincyi Hatt-el-Estima, posuwać się musiał ku południowi, tak on, jak jego żołnierze zachwyceni byli bogactwem natury podzwrotnikowej.

Klimat na tych wyżynach (1,500 do 3,000 stóp nad powierzchnią morza) ma być umiarkowany; tak krajowcy, jak i obcy, niewielu chorobom podlegają.

Roślinność przepyszna; krzew bananowy dochodzi do olbrzymich rozmiarów; w lasach zbiera się obficie miód pszczoł dzikich, gnieźdzących się w drzewach. Emin basza, gdy się zużyły ubrania jego żołnierzy, zasiał ziarna bawełny, znajdujące się w koldrach i materacach, a zebrawszy plon nadzwyczaj obfity, kazał bawełnę tę uprząść, utkać na warsztatach własnego wynalazku i sporządził z utkanego tak płótna nową odzież. Odtąd uprawa bawełny rozpowszechniła się nad jeziorami i stanie się kiedyś źródłem bogactem tej obiecanej ziemi.

Niema wątpliwości, że kraje te będą kiedyś dostępne cywilizowanym ludziom; a zdobędą je dla dobra milionów nie miecz i ogień, ale dwa potężniejsze czynniki, które nad całym zapanują światem: praca i wiedza!

ROZDZIAŁ XVII.

Ziemia Gossen.—Ismailia; Towarzystwo polskie.—Nasze wycieczki.—Kanał Sueski.—Port Said i Suez.—Skarby i klejnoty morza Czerwonego. — Kilka słów o wyższym Egipcie. — Luxor, Karnak, Teby. — Wyspa Tilae. — Ogólny pogląd na stosunki Egiptu.

Kraina Gossen leżała pomiędzy Pcmzyjską odnogą Nilu a morzem Czerwonym, na wschodnio-północnej granicy Egiptu. Kraj ten to pustynia piaszczysta, skalista, pracą wieków i skwarnemi promieniami słońca z łona mórz dobyta, czego dowodem muszlowe pokłady skał i wzgórz, oraz jeziora i bagna słono-gorzkie, ziemię tę w wielu miejscach przerywające. Już jednak za czasów biblijnych liczne kanały wody słodkiej, łącząc kraj ten z Nilem, używały odległe jego wybrzeża. Sami Izraelici pracować musieli nad budową tych kanałów, oraz nad upiększeniem miast i grodów granicznych. Zręczny Faraon, osiedliwszy ich w ziemi Gossen, starał się też wyzyskać siły i pracę tego ludu, z którego chciał utworzyć jakoby mur graniczny, chroniący Egipt od napływu innych plemion azyatyckich.

Stolicą Deltę było podówczas nie Memfis, ale Tunis, ulubione miasto Hiksosów, zbliżone bardziej ku granicom Azyi. Znajdujemy też na ziemi Gossen ruiny miasta Ramzes, o którym w biblii jest mowa, ale które nazwę swą zdaje się zawdzięczać późniejszemu nieco pochodom zwyciężkich Ramzesów, dążących na podbój Syrii, już po wygnaniu pasterzy. Z gruzów tych grodów, obalonych przez chciwe zdobywcy ludy, zaledwie parę cegiełek pozostało, a cegielki te podobniejsze są do czerepów glinianych niż do szczątków dawnej sławy i dawnych pałaców.

Wszystkie jednak wspomnienia historyczne i biblijne snuły mi się przed oczyma w dniu, w którym dla zwiedzenia kanału Sueskiego przebywaliśmy tę drogę, wiodącą z Kairu do Port Saidu.

Było to w połowie maja, a już skwar letni dotkliwie czuć się nam dawał; miałki a rozpalony słońcem piasek puszczy wciskał się gęstemi kłębam i w każda szczelinę odartych i niezbyt eleganckich, ale obszernych wagonów (które mają tu tę zaletę, iż się po drabinie do nich wspinać nie trzeba, jak naprzykład w Austrii). Konduktor, stary wychudły Arab, w łachmanach i bez obuwia, przyjąwszy od nas z wdzięcznością dar kilku piastrow, na każdej stacyi zapytywał, czy nam wygodnie. Gdy jednak nawzajem spytałam go, o której godzinie będziemy w Ismailii, odpowiedział mi z powagą: „Allah jeden wie, gdyż czas w ręku jego.“

Droga nasza wiodła tuż nad kanałem, prowadzącym słodką wodę Nilu do Ismailii i do Suezu. Jak daleko sięgają strumienie dobroczynnej wody, tak szeroko rozciąga się pasmo pól zielonych, tu okrytych kwiatem bawelny, tam szumiących liśćmi trzciny cukrowej, lub błyszczących złotemi kłosami jęczmienia.

Najważniejszą stacyą na tej drodze jest, miasto „Zagazik“, liczące przeszło 30,000 mieszkańców, a będące środkowym punktem handlu i przemysłu całej okolicy. Opodal od miasta znajdują się ruiny starożytnego grodu Bubastis, gdzie przed wiekami wznosiła się słynna na cały Egipt świątynia, bogini Paszt. Było to bóstwo, przedstawiające płodność i obfitość życia w naturze. Symbolem tej bogini był kot; to też mnóstwo kamiennych i bronzowych kotów odgrzebują dotychczas Beduini wśród piasków, pokrywających odłamy dawnych murów. Wzbogacają oni te zbiory liczniejszą jeszcze armią zręcznie, na wzór starożytny, podrabianych posażków kocich, które obcy przybysze, a szczególnie Anglicy, roz-

chwytują chciwie, ciesząc się myślą, iż posiadają sta-
 zożytności, liczące co najmniej 3,000 lat.

Prócz kamiennych swych kotów, nie posiada
 zresztą Zagazik nic ciekawego. Dworzec kolei, jak
 wszystkie tego rodzaju budowy w Egipcie, sklecony
 naprędce za czasów Ismaila, dziś zaniedbany, świeci
 zdala resztkami szyb w oknach, przez które podzi-
 wiać można szmaty zbrudzonych i zdartych tapetów.
 Tylko sala jadalna dość okazała, posiada nawet bar-
 dzo ciekawe zjawisko: kelnera we fraku i białym kra-
 wacie, który tu wśród tłumu wpołnagich Arabów
 na tle poważnem pustyni, dziwnie i śmiesznie wy-
 gląda.

Minąwszy Zagazik, kolej przecina pustynię
 Arabską; palmy i zielone niwy nikną nam z oczu,
 gdzieniegdzie tylko u brzegów pustyni kaktusy wy-
 ciągają swe kolczaste, suche, trupie ramiona, albo
 ostry oset, zwany „zilla“, ulubiony przysmak wielbłą-
 dów, z pod piasków ciernie swe dobywa.

Na wązkim pasmie żyznej ziemi ujrzeliśmy
 teraz osadę arabską, Tell-el-Kebir, pamiętną zwycięz-
 twem Anglików, a raczej funtów szterlingów, nad
 hordami Arabiego. Zwycięstwo to uwieńczono, na-
 zywając powszechnie tę osadę: Tel-el-Baksisz. Nieco
 dalej za tą wioską ujrzeliśmy wzgórze pokryte gru-
 zami biblijnego miasta „Ramzes“, a tuż za niem uka-
 zał się na horyzoncie błękitny rąbek ujęty w złote
 ramy piasków. Było to już jezioro Timsah, nad
 którym leży Ismailia. Fale jego ruchliwe, jak fale
 morza, ciemne jak szafir, nie odbijają wybrzeży, ale
 modry odbłask zdają się rzucać na całą okolicę. Na-
 zwa „Timsah“, czyli po arabsku „jezioro krokody-
 lów“, nie w naszych zapewne wiekach nadaną zo-
 stała, gdyż dziś w całym dolnym Egipcie krokodyl
 znany jest tylko z nazwiska i reputacyi. Zapewne
 więc w dawnych jeszcze czasach potwory te, Nil
 zaludniające, kanałem wody słodkiej do jeziora wę-
 drewały.

Sama Ismailia nadzwyczaj miłe budzi wrażenie, to też mieszkańcy nazwali ją „szmaragdem puszczy.“ Jest to sztuczna oaza, która nie czarem, ani cudem, ale pracą i trudem swych mieszkańców powstała, założona przez urzędników towarzystwa suezkiego przed dwudziestu kilku laty. Każdy z urzędników otoczył domek swój ogródkiem, a dzięki nilowej ziemi i wodzie, dzika przed laty pustynia dziś porośla bujnemi krzewami. Sam Lesseps posiada w Ismailii śliczny szwajcarski szalecik, z rozległym widokiem na jezioro i przybywające kanałem okręty. Dzielnym starzec nie często jednak tu przebywał, zapewne dlatego, że małżonka jego (kreolka) tylko paryżkiem powietrzem oddychać lubiła.

W szerokich, symetrycznych ulicach miasteczka panuje cisza wiejska i porządek wzorowy. Pojazdów, oprócz kilku prywatnych, nie widać tu wcale; sklepów i magazynów nadzwyczaj mało, a i te, które są, w osobnej znajdują się dzielnicy. Wieś arabska tworzy także oddzielne zupełnie przedmieście i tylko w rannych godzinach uwijają się po ulicach przekupnie żywności i liczni rybacy, łowiący setkami ryby, któremi przepelnione jest jezioro.

Czem jednak Ismailia poszczycić się nie może, to hotelami swemi, które zaniedbanem i brakiem porządku przypominają aż nadto nasze galicyjskie zajazdy w małych miasteczkach lub zdrojowiskach. W pokojach, które zajmowałam, przy pięciu drzwiach nie było ani jednej klamki, ani jednego klucza. Zapytany o nie stróż domu, jedyny służący hotelu, odpowiedział mi lakonicznem arabskiem „Mafisz“ (to znaczy—niema). „Wszak ja nie mogę spać przy drzwiach otwartych“ — zawołałam z rozpaczą. „Malesz¹⁾ — odparł spokojnie mój Arab — jeśli ci Allah sen ześle, to spać będziesz“ — dodał z powagą.

¹⁾ „Malesz“ (nic nie szkodzi).

„A czyż ślusarza w mieście nie macie?” — pytałam dalej. „Ślusarza niema, bo poszedł do Masr (Kairu), a zresztą tam za ścianą mieszka już od tygodnia jeden podróżny i także klucza niema.”

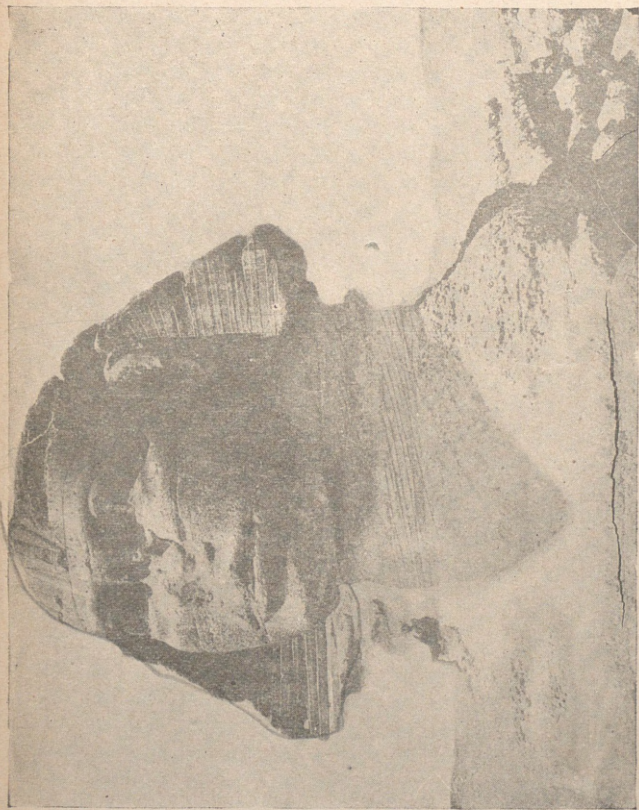
Arabska ta logika nie pocieszyła mnie wcale, ale cóż było robić, trzeba się było obejść bez klucza i bez służącego, który obrażony zapewne mojem zbyt wymagającym żądaniem, nie ukazał się już dnia tego wcale.

Życie towarzyskie bardzo jest ciche w Ismailii. Nie ma tu ani tego ruchu, ani tej żądzy zysku i użycia, ani tego zbytku, jaki się w Kairze roztacza. Mieszkańcy, ludzie pracy, żyją między sobą jak gdyby jedną tworzyli rodzinę.

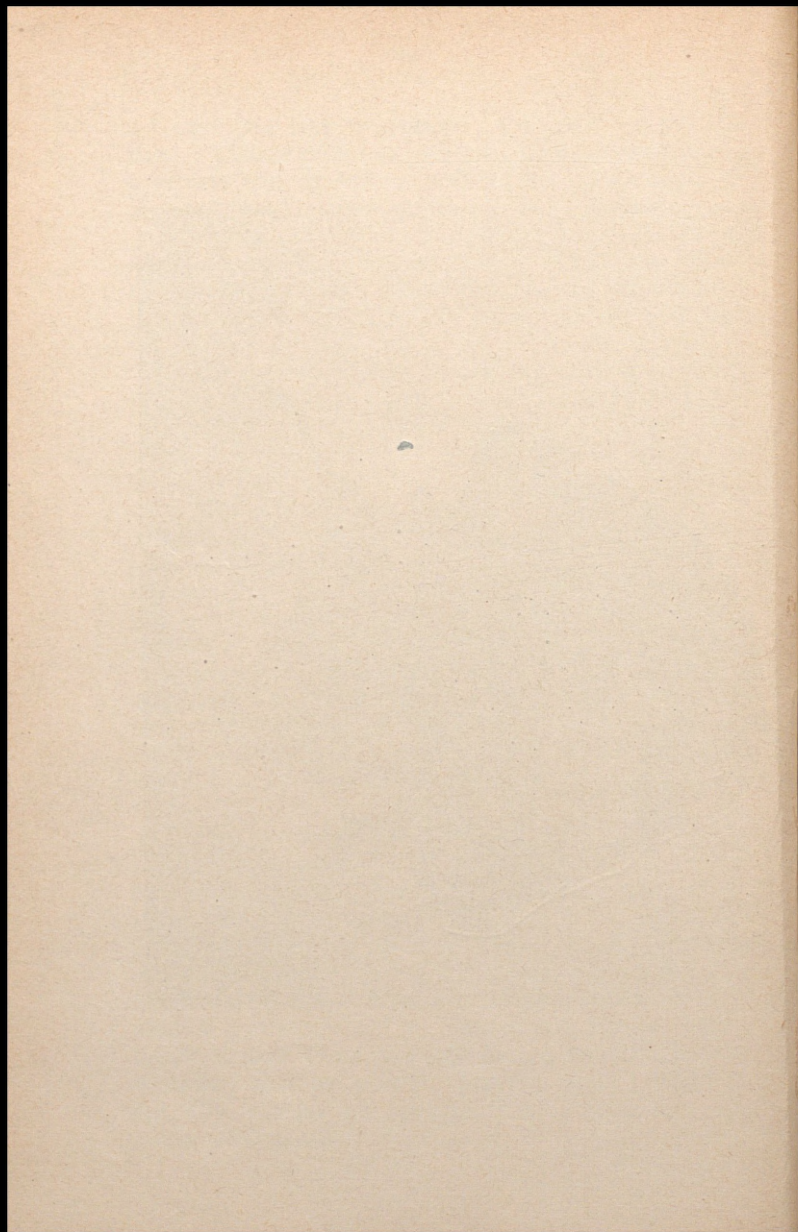
Mile jednak byłam zdziwioną, zastawszy w tej odległej oazie kółko polskie, z pięciu rodzin złożone. Małą tę kolonię utworzył p. Kuczewski (z Augustowskiego), przyłączył się zaś do niej p. Moszczański, we Lwowie dość znany, a również jeden z wychodźców naszych.

Przyjęcie, którego tu na granicy Azji od rodaków doznałam, było tak serdeczne, że mi na chwilę ojczyzna daleka w ich sercach odżyła. Bo też pomimo wad różnych, jakie obcy nam zarzucają, w tej jednej cnocie—gościnności, żaden naród nam nie dorówna.

Dni, w Ismailii spędzone, mijaly szybko na ciągłych wycieczkach bądź alejami nad brzeg kanału, bądź łódką wzdłuż jeziora, ku piaszczystem wzgórzom pustyni Arabskiej, która tu liczne pamiątki i wspomnienia historyczne kryje. Każde wzgórze ma swoją legendę: jedno z nich nazwane jest „Dzebel-Marjam“, gdyż Marya z Jezusem miała tu spocząć w czasie ucieczki do Egiptu; pod cieniem palmy usnęło dziecię Jezus, ale gdy Marya obudziła je, aby w dalszą udać się podróż, przybył anioł i ściał palmę, aby nikt już nie spoczywał tam, gdzie sam Bóg szukał schronienia.



Sphinx.



Druga legenda opowiada nam, że Mirjam, siostra Aarona, na tem wzgórzu przez 7 dni pokutować musiała, dotknięta trądem i wygnana z obozu Izraelitów za strofowanie Mojżesza, gdy tenże Murzynkę za żonę przyjął. Smutne musiało być to wygnanie, gdyż dzika ta puszczka zamieszкана jest tylko przez hyeny i szakale. Ani krzew żaden, ani palma cieniu tu nie dają; gdzieniegdzie sól biała, jakby szron pokrywa piaski. Jest to osad słonych strumieni i sadzawek, które w wielu miejscach przerzynają puszczę. Tu i owdzie wody te wydają się szkarłatne, niby krew płynąca. Przyczyną tego zjawiska mają być drobne mikroskopijne żyjątka, w niektórych tylko porach pojawiające się na dnie wody.

Wróćmy jednak do uroczej wycieczki naszej na błękitne fale jeziora Timsah. Tuż za wzgórzem Maryi ukazuje się inny pagórek, dźwigający gruzy Serapeum. Czy istniała tu kiedykolwiek świątynia Serapisa (Oziryasa-Apisa), czy też nazwę tę nosiło miasto przez Persów założone, o to długie toczą się spory, a rozstrzygnąć je trudno, gdyż dziś tylko okrucy gruzów przechowały nam wieki. Z pomników, odgrzebanych w tej okolicy, podziwiałam kilka w Ismailii, między innymi dwa sfinksy z ciemnego dyorytu, arcydzieło greckiego dłuta, tablice granitowe, przedstawiające zwycięstwa i dziękczynne modły jednego z Ramzesów, i małą stelę grobową, z cegły wypaloną, która widocznie pochodzi z czasów, gdy Egipcyan nie stać już było na granitowe pomniki.

Zresztą samo dzisiejsze Serapeum, to nędzna osada, nie przypominająca niczem starożytnych wieków. Dokoła małej warstwy gruzów tulą się chaty fellahów, jakby kryjówek kretów. Okolica pusta i martwa; ożywia ją tylko jezioro Timsah tęczowem zwierciadłem wód swoich. Trzeba jednak wiedzieć, że i to jezioro dzisiejszy kształt swój i swą głębokość nie tyle naturze, ile pracy ludzkiej zawdzięcza.

Niegdyś było to raczej bagno, które w porze letniej tak wysychało, że je w wielu miejscach suchą nogą przejść było można. Dopiero przy kopaniu kanału zniżono także teren jeziora, a podwyższono jego brzegi, aby utworzyć port wygodny dla okrętów.

Kanał Suezki przecina jezioro wszerz poniżej wzgórza Maryi i dzieli się tu na dwa ramiona: jednym ramieniem sięga do morza Czerwonego, t. j. do Suezu, drugim zbiega ku morzu Śródziemnemu, do Port Saidu. Cały kanał ma 160 klm. długości, głębokości 8 metrów, szerokość zaś gdzieniegdzie zwęża się do 50 metrów, to znów rozszerza się do stu prawie.

W pewnych przestrzeniach zbudowane są nad kanałem stacje i budki strażnicze, przy których jadące okręty mijają się i zatrzymują.

Usiadłszy nad brzegiem wody i patrząc na tę napozór wąską wstęgę błękitną, dzielącą dwie ziemie, trudno mi było uwierzyć, że ta wodna ścieżyna tak ważnym, wielkim jest dla świata dziełem.

A jednakże czemże są dumne swym wiekiem piramidy wobec tej drożyny, łączącej odległe morza? Grobowce Faraonów, okupione męczeństwem i niewolą ludu, dziś puste, nawet zbutwiałym ciałom swych twórców nie dają schronienia, dzieło Lessepsa zaś zbudziło do życia martwe puszczę, przeniósł oświatę na dalekie krańce świata i przyszłość otwiera dziś ludom.

Jak ważną była dla handlu ta droga, poznajemy najlepiej z dochodów bajecznych, któremi wzbogaca się corocznie towarzystwo Sueskie. Dochody te wynoszą 30 do 50 milionów franków rocznie, gdyż każdy statek za jednorazowe przepłynięcie kanału płaci często do 20,000 franków (po 12 franków od tonny), nie licząc osobnej taksy za zarzucenie kotwicy w jeziorze Timsah i za każdego z podróży.

Podróż kanałem nie jest jednak ani zajmująca,

ani wygodną. Odbywa się bardzo powoli, gdyż szybka jazda jest wzbroniona; na statkach bywa zwykle gorąco i duszno, gdyż wysokie ściany przepokopów nie dopuszczają przewiewu powietrza i nie pozwalają dojrzeć okolicy, która zresztą dość jednostajna i martwa jest w tych stronach. Tuż za Ismailią otwierają się rozległe jeziora, nad którymi unoszą się stada rozmaitych ptaków: dzikich kaczek, flamingów, pelikanów, jaskółek i mew białych. Najważniejszą stacją okrętową jest El-Kantarah, nędzna osada, która niegdyś była ważnym punktem, gdyż tędy przechodziła droga karawanowa do Syrii, przez most rzucony na bagnach. Po dziś dzień przeprawiają się tą drogą karawany, tylko most dawny zastąpiono promem, który jest dziś zupełnie wystarczającym, gdyż liczba pielgrzymów karawanowych z dniem każdym się zmniejsza.

Myśl połączenia dwóch mórz sąsiednich za pomocą przekopu nie poczęła się w czasach naszych, ale kielkowała przez długie wieki w umysłach ludzi przedsiębiorczych. Już starożytni władcy Egiptu starali się wprowadzić ją w życie. Dowiadujemy się z hieroglificznych napisów, w świątyni Karnak przechowywanych, że Faraon Seti I ¹⁾, powracając z Azji, przepływać musiał sztuczny przekop, w którym gnieździły się krokodyle. Zdaje się więc, że to był kanał słodkiej wody, który przez odnogę Nilu połączony z morzem Śródziemnem przecinał słone jeziora i sięgał ku morzu Czerwonemu. Nad rozszerzeniem tegoż kanału pracował później Faraon Neko II, jednakże zaniechać kazał robót, gdy mu wyrocznie przepowiedziały, że z dzieła jego barbarzyńcy korzystać będą. Za Ptolomeuszów wzięto się znów do pracy nad przekopem, jednakże dla ludów tamtocze-

¹⁾ Działo się to w r. 1400 przed Chr., t. j. na 3,200 la przed urodzeniem Lessepsa.

snych droga karawanowa o wiele była ważniejszą; kanał zaś służył tylko do użyznienia ziemi. To też niedołęzni władcy muzułmańscy zaniedbali zupełnie ową drogę wodną, a jeden z kalifów Al Mansur kazał ją umyślnie zasypać, aby Egipt tem niedostępniejszym uczynić dla obcych. Wkrótce wyschła żyzna niegdyś ziemia; żwir pustyni zasypał opuszczone miasta i wioski, których ludność garnęła się do nilowych, bogatych w wodę wybrzeży. Dopiero po długich wiekach geniusz Lessepsa trudem i wolą zbudził do życia opustoszałą, snem wiekowym, kamiennym uśpioną krainę.

W r. 1869 nastąpiło uroczyste otwarcie kanału Sueskiego. Dwadzieścia milionów franków wyrzucił na dzień ten Ismail-basza, aby przepychem i zbytkiem olśnić i zdumieć monarchów europejskich. Dotychczas widzimy w Ismailii gmachy i pałace, puste dziś i zaniedbane, które w dniu otwarcia kanału jednodniowym a istnie czarodziejskim jaśniały przepychem.

Ze wszystkich stron świata spieszyły tłumy do Egiptu, aby podziwiać z jednej strony dzieło pracy i geniuszu, który naturę samą do posłuszeństwa nakłonić potrafił, z drugiej patrzeć na blask i przepych monarszych koron. Ale oto w rok zaledwie później najświetniejsza z tych koron runęła, zdeptana przez zwycięzców Sudanu; tylko dzieło pracą zdobyte, dzieło Lessepsa, pozostało na pożytek przyszłych wieków i pokoleń.

Miasteczko Port Said, zarówno jak i Ismailia, powstało szybko, nagle, wśród puszcz i bagien; chociaż więc jest dziś jednym z głównych portów świata, nieświetnie się przedstawia. Domki po większej części drewniane, ogrodów mało, ulice przepełnione węglowym drobnym kurzem, wonią dymu, ryb i stęchłej wody. Z jeńskiej strony miasta, jak daleko sięgnąć okiem, widać jeziora Menzaleh; w głębi pustyni zarysowuje się pagórkami, albo ludzi nas widokiem

nieistniejących krajobrazów czarodziejskich, które rozplywają się, a miasto groblami potężnymi sięga w łono morza. W porcie widzimy cały las ruchomy masztów, powiewających różnokolorowemi narodowemi banderami.

Wieczorem olbrzymia latarnia elektryczna wskazuje drogę statkom, błękitnem światłem przedrzeźniając się gwiazdom, tym odwiecznym przewodnikom żeglarzy. Na wybrzeżu gwar i ruch panuje nieustanny i przeciąga się do późnej nocy; liczne kawiarnie i piwiarnie dźwiękami hałaśliwej muzyki wabią przybyłych z dalekich brzegów gości. Tu orkiestra damska powtarza polkę Straussa, tam znów harfiarka czeska ochryplym głosem zawodzi swoje narodowe piosnki, albo wywiedła francuska śpiewaczka piskliwie szczebiocze dwuznaczne kuplety, a pospólstwo wtóruje jej śmiechem i krzykiem.

Taki sam prawie obraz przedstawia nam wybrzeże w Suezie, chociaż sam port oddalony jest nieco od miasta. Niema jednak ludu w Azji i Afryce, którzyby w Suezie nie miał swoich przedstawicieli. Chińczycy z długimi warkoczami, Indyanie, Persowie, Arabowie, murzyni rozmaitych plemion, zalegają tu wybrzeże, nazwane słusznie „targiem światowym.“ W magazynach, niezbyt zresztą wystawnych, nabyć tu można wyroby wszystkich w świecie krajów. Obok kramów z lichemi europejskiemi towarami znajdziesz tu składy przepysznej porcelany japońskiej, indyjskie jedwabie i hafty, brzozy starożytne, przepyszne bronie i wreszcie płody Sudanu i Abisynii: pióra strusie, skóry pantery i drobne, bardzo zręcznie wyrobione przedmioty z gliny. Dalej powitają cię tragarze okrętowi i przekupnie, niosący w koszach kokosy, ananasy, gojawy i inne owoce aromatyczne Indyi, których sam zapach aptekę przypomina.

Najważniejszym jednak przedmiotem handlu w Suezie są rozmaite muszle i konchy perłowe, ryby potworne, korale i inne skarby, których morze Czer-

wone dostarcza. Bo też dno tego morza, to jakby świat zaczarowany, porośły lasami koralu, gęstwiną różnobarwnych polipów, co strzegą pereł kosztownych, uwięzionych w błyszczących muszlach. Tyśiące drobnych rybek uwija się wśród tych kamiennych gajów i zarośli, a przez jasny kryształ wody rybki te wydają się olśnionym oczom jakby ametysty, szafiry lub rubiny żywe, istne kolibry podwodnego świata.

Arabowie twierdzą, że rybki te o barwnej łusce, są to duchy podwodne, wabiące ludzi ku sobie. Kto przez długie modlitwy i posty cielesne zwycięży naturę, ten poślubić może nimfę wodną i zamieszkać jej pałace.

Aby się zapoznać nieco ze skarbami Czerwonego morza, musimy puścić się łódką na przepaście i wiry, otwierające się wśród ław koralowych. Strasznie jest jednak to przejście dla najśmielszych żeglarzy. Biada parowcowi, który ugrzęźnie w tej gęstwinie kamiennych gałęzi.

Niech jednak czytelniczki moje nie myślą, że owe koralowe krzewy są tak pięknej barwy, jak te, które służą nam do ozdoby. Skały koralowe Czerwonego morza mają wszystkie możliwe barwy, prócz... koralowej, ponieważ cenny koral gwiazdzisty rzadkiem tu jest zjawiskiem. Mamy tu tylko koral biały, jak wapień, siny nieco, brunatny, albo też bladoróżowy, obrosły galaretowatym ciałem mięczaków. Zato wysoko ceniony bywa przez znawców koral czarny, którego połów nadzwyczaj jest trudny, ponieważ nurek musi go piłą od skały odrywać. Czarny ten koral używany bywa na różańce i paciorki.

Prócz koralu posiada morze Czerwone perłowe konchy, poszukiwane nie tylko dla samych pereł, ale także dla muszli, która służy Arabom do układania przepysznych arabesek w rozmaitych sprzętach z drzewa i kości.

Do połowu pereł używają Arabowie młodych chłopaków, najczęściej niewolników. Nurek taki nie posiada żadnego przyrządu; nalawszy nieco oliwy na fale, aby je tem spokojniejszemi uczynić i łatwiej zajrzeć w ich głębię, zaciska on oczy i usta i rzuca się w wodę. Namacawszy zaś muszlę, odcina ją nożem od skały i w mgnieniu oka powraca na powierzchnię z cenną swą zdobyczą. Początkowo zmuszają Beduini młodych nurków groźbami i torturami do rzucania się w morze, powoli jednak nabierają oni wprawy i obojętnieją na niebezpieczeństwo, wierząc silnie w przeznaczenie, czyli, jak mówią Arabowie, Kismeth.

A jednak setki potworów czyhają na życie biednego nurka; jeśli nie zawiśnie on ciałem w ostrych ramionach polipów, to ginie często pod zębami ryb drapieżnych, któremi przepelnione jest morze Czerwone. Bo też niema w świecie drugiego morza, któreby tak było ożywione; mamy tu kilkaset gatunków ryb rozmaitych, nie licząc raków, ślimaków i pajaków rozmaitego rodzaju i kształtu. Niektóre ryby mają tu dziwną własność; ukazują się tylko nocą, wydając światło jak błędne ogniki lub nasze świętojańskie robaczki. Dość zresztą uderzyć wiosłem w fale morza Czerwonego, a tysiące iskier zapłonie na wodzie. Zjawisko to zawdzięczamy organicznym ciałom, któremi woda jest przepelniona.

Pomimo wszystkich swych cudów, morze Czerwone nie jest ani piękne, ani nawet czerwone, złotem raczej nazwaćby je można, gdyż odbija ono nagie, słońcem rozpalone skaliste wybrzeże i jaskrawe niebo zwrotnikowe. Tylko w niektórych zatokach przy wybrzeżu woda czasem bywa czerwona, jak w sadzawkach nad jeziorem Timsah i z tejsze samej przyczyny, co też zapewne skłoniło starożytne ludy do nadania nazwy całemu morzu.

Zanim opuścimy to wybrzeże, pamiętne w dziejach biblijnych, wypada zapoznać się z ostatnią pc

Izraelitach pozostałą pamiątką, znajdującą się w pobliżu Suez. Jest to t. zw. studnia Mojżesza, źródł kamieniami obwarowany, w którym woda bardzo niesmaczna i słona. Zresztą mieszkańcy tutejsi utrzymują, że cud Mojżesza, t. j. źródł ze skały dobytej, powtarza się niekiedy, gdyż skały pustyni Arabskiej w szczelinach swoich przechowują miesiącami wodę deszczową, przez burze chwilowe naniesioną. Silne uderzenie w skałę wystarcza wtedy, aby z niej strumień ukryty wydobyć.

* * *

Poznawszy dokładnie starożytną kolebkę dawnego Egiptu Memfis i dawniejsze jego mogiły, zwiedziwszy ulubioną ziemię królów semickiego pochodzenia, rzućmy jeszcze raz okiem na górne brzegi Nilu, kędy fale jego złote, w granitowych więziona ścianach, płaczą nad gruzami Teb stubra-mnych.

Podróż z Kairu do Assuan trwa parowcem na Nilu dni 10. Długi łańcuch tajemniczych piramid i w skale wykutych katakumb ciągnie się milami na całej tej przestrzeni, po zachodniej stronie Nilu, zaczawszy od nekropoli Sakhary, aż ku granicom Nubii. Gdzie-niegdzie przerywają ten łańcuch arabskie osady, wesołe oazy, albo dzikie piaszczyste doliny i stopy pustyni Libijskiej. Kolejno mijamy Minjeh, Beni-Hassan, Sint, czyli starożytne Nikopolis i Girgeh. W pobliżu każdej z tych osad znajdują się na puszcy gruzy dawnych świątyń i grobów. Pomiędzy miastami Girge i Kene pozostawiły nam starożytne wieki kilka najwspanialszych pomników wśród ruin dawnego grodu Abydos, czyli Abtu.

Tu wznosiła się niegdyś świątynia Ozirysa, wzniesiona przez Ramzesa II, dziś zarzucona odłamami obalonych obelisków, bryłami porfiru, marmuru i alabastru. Tuż obok widzimy gruzy tak zwa-

nego „Memnonium.“ Seti I, jeden z najdzielniejszych bohaterów Egiptu, uwiecznił swe imię budową tej świątyni, która była zarazem i pałacem, gdyż „syn słońca“, Faraon, wtajemniczony w obrzędy religijne, zajmował sam przybytek poświęcony Bogu i jego sługom, kapłanom.

Cennym zabytkiem historycznym, w tejże świątyni odkrytym, jest t. zw. tablica królewska, na której wyryte są imiona 76 królów egipskich, począwszy od Menesa aż do Setego.

Dążąc dalej w górę Nilu ku Tebom, stajemy w słynnej na cały Egipt świątyni Denderah, poświęconej bogini Hathor (życiodajnej naturze). Jest to jeden z najlepiej zachowanych pomników starożytnego budownictwa. Sięga on dawnych wieków Egiptu, jednakże odnowiony został przez Ptolomeuszów i Cezarów. Na ścianach też świątyni widzimy w płaskorzeźbie wyryte portrety Augusta, Kaliguli, Nerona i innych cesarów, oddających cześć bogom egipskim. Dowiadujemy się również z hieroglifów, że w Denderah obchodzono największą uroczystość, największe święto egipskie w dzień Nowego roku, który to dzień nazywano zaślubinami Hathory ze słońcem. Płaskorzeźby świątyni przedstawiają nam wszystkie szczególne obrzędów i procesyj, które się w tym dniu odbywały.

Ale mimo zajęcia i podziwu, jaki w nas budzą wspaniałe te ruiny, maleją one w porównaniu do olbrzymich głazów, które witamy w Tebach. Miasto Ammona, greckie Diospolis (gród Boga) leży w szerokiej dolinie, otwierającej się po obu brzegach Nilu, otoczonej wzgórzami skalistymi. Już zdala, gdy staramy się okiem objąć ten chaos rozerwanych murów, obnażonych, w niebo sięgających kolumn i naśladowujących piramidy portyków, witają nas stróże tego kamiennego świata, dwa olbrzymie, z kamienia wykute posągi. Są to potworne postacie, gdyż każda z nich ma przeszło 20 metrów wysokości. Dla.

czego jednak posągi te, które mają przedstawiać postać króla Amenhotepa III, noszą imię Memnona, syna jutrzeńki, greckiego półboga, odgadnąć trudno. Zdaje się, że Grecy egipskie słowo „Mennu“ (t. zn. pomnik) zamienili na „Memnon“¹⁾. Być także może, iż przyczyną tej nazwy było dziwne zjawisko, o którym nam starożytne kroniki opowiadają. O pierwszym brzasku słońca posągi Memnona wydawały dźwięk głośny, jakby skargę trąconej wichrem struny. Wnet rozgłosili Grecy, że Memnon co rano wita hymnem matkę swą, jutrzeńkę. Tłumy podróżnych śpieszyły podziwiać cudowną wyrocznię, a cesarz Severus Septimus tak dalece posunął hołd dla Memnona, że kazał ów posąg, uszkodzony gwałtownym trzęsieniem ziemi, odnowić zupełnie. Jakież jednak było zdziwienie ludu, gdy odnowiony posąg zamilknął na wieki. Przekonano się wtedy, że pęknięty kamień, przesiąknięty nocną rosą, osychając nagle pod promieniem słońca, wydawał ów dźwięk podobny do dźwięku pękniętego glinianego naczynia.

Dziś posągi Memnona milczą, ale hieroglify, któremi pokryte są ich podstawy, opowiedziały nam dzieje tego świata, który je utworzył. Obie statuy zdobiły niegdyś wejście do świątyni Amenhotepa III, świątyni, której gruz, dziś namulę Nilu pokryte, bujną zielenią porosły.

Mury Teb, o których Homer śpiewa hymn podziwu, obejmowały oba brzegi Nilu. Po lewym brzegu, to jest po stronie Amentu (zachodu), leżały grobowce i kaplice pośmiertne, daleko w pustynię sięgające. Po prawej stronie rzeki roznosiło miasto dumne swe gmachy, pałace i świątynie, do których wiodą wspaniałe portyki i o których mury opierają się dziś osady arabskie Luksor i Karnak. W Luksor szczególnie przykre robią wrażenie domostwa chaty

¹⁾ „Memnon“, syn Aurory, poległy pod Troją.

Arabów, tulące się do olbrzymich kolumn w samym obrębie świątyni. Ciągły gwar życia codziennego, brud i nędza wólpdzikiego ludu, krzyk kobiet, płacz dzieci, psuje tu majestatyczną harmonię całości, przerywa spokój wieków, śpiących wśród tych poważnych ruin.

Bo trzeba nam wiedzieć, że świątynie te nie są dziełem jednego króla, ani nawet jednej dynastji i że wieki całe pracowano nad budowlami temi. Pierwszy kamień świątyni w Karnak położony został przez króla Amenemha z dynastji XII-ej; w trzydziści zaś wieków później, za Cezara Augusta, pracowano jeszcze nad upiększeniem tych gmachów. Najwspanialszą jednak część budowy wzniesli bohaterowie Egiptu Seti I i syn jego Ramzes Sezostrys.

Trudno istotnie okiem i myślą objąć te olbrzymie gmachy, których każdy odłam jest arcydziełem skończonym. Trudno pojąć, że wznosiły je dłonie ludzkie.

Sto czterdzieści kolumn, z których każda ma 70 stóp wysokości, a 20 obwodu, zdobi w Karnak główną salę świątyni. Kolosy te, równie jak ściany gmachu pokryte są płaskorzeźbą, przedstawiającą w obrazach czyny bohaterskie Setego.

Tu widzimy Faraona, gdy na swym wozie tryumfalnym walczy z plemieniem Retu (Syrjczyków) i deptce stopą zwyciężone ludy, jako bożek zemsty i zwycięstwa. Tam znów Seti zdobywa Niniewę, a sam bóg Ra koroną złotych promieni otacza skronie bohatera. Dalej nieco dzielny monarcha powraca jako tryumfator, a spętani jeńcy, Azyaci, ciałami swemi ścielą mu drogę.

Słowem, jest to poemat epiczny, w kamieniu wryty. W tych to obrazach, równie jak w pieśniach wieszczka egipskiego Pentaura, czerpać miał natchnienie twórca Iliady.

Prócz głównej sali Setego, posiada jeszcze Karnak cały szereg innych gmachów i przybytków z rozmaitych epok. Budowy te połączone są między so-

bą alejami Sfinksów, które, niestety, z turzy czasów uniosły całe tułowy, ale potraciły swoje kształty i wyraziste głowy. Najdłuższa taka aleja Sfinksów, ciągnąca się na półmilowej przestrzeni, łączyła niegdyś Karnak ze świątynią Luxoru. Dwa olbrzymie obeliski zdobiły wejście do tegoż pałacu; jeden z nich pozostał dotychczas niewzruszony, świecąc w słońcu różowym granitem; drugi, wyrwany z ziemi ojczystej, poszedł zdobić plac Paryża.

Podobnie jak w Karnaku podziwiamy czyny Setiego, uwieńczone rzeźbą, tak znów w Luxor ściany świątyni opowiadają nam o wojnach i zwycięztwach Ramzesa Sezostrysa, a hieroglify podają nam całe ustępy z owego poematu Pentaura, o którym wyżej wspomniałam.

Ruiny tak w Karnaku, jak i w Luxorze, są tylko jedną dzielnicą Teb dawnych; na przeciwległym od Luxoru brzegu Nilu otwiera się przed nami całe miasto umarłych, chaos pomników, grobowców, świątyń, obalonych kolumn i posągów. Widzimy tu ruiny Ramesseum, a dalej groby królewskie w Medineh-Habu i słynne świątynie w Deir-el-Medineh i w Gurnah. Dzieje kilkudziesięciu wieków zmarłych powstają nam dziś z tych gruzów, ale ani słowem, ani barwami, nikt nie jest w stanie dać pojęcia o wielkości i wspaniałej powadze tych pomników. Sama natura, jakkolwiek zbrojna nieubłaganą siłą zniszczenia, szanować się zdaje te pamiątki. I drapieżne dłonie barbarzyńców nie zdołały zrewalczyć tych murów granitowych. Ale co nie zostało zniszczone powodzią wieków, to obala dziś chciwość narodów cywilizowanych. Każde muzeum w Europie pyszni się odłamami gruzów egipskich. Zakazano wprawdzie ostatnimi laty wywozić z Egiptu starożytności, a jednak wandalizmowi nie położono końca. Turyści przekupują strażników i często, aby posiadać mały kamień pokryty hieroglifami, niszczą długie napisy i całe ściany.

Przodują w tem dziele zniszczenia ostatni zaborcy, czyli opiekunowie Egiptu, Anglicy. Egoistyczny ten naród, jakkolwiek pierwszy w cywilizacji, niewiele postępu i wiedzy przyniósł nad brzegi Nilu, powiększył raczej ruinę i chaos. Cały Egipt ze starożytnymi swymi pamiątkami nie jest dla Anglii niczem więcej, jak wygodnym gościńcem, wiodącym w głąb Afryki i otwierającym drogi handlowe z Sudanu i prowincyj zwrotnikowych przez porty morza Czerwonego do Indyi i na świat cały.

Chcąc gościniec ten objąć w wyłączne posiadanie, niszczą oni Egipt, wyczerpują finanse, demoralizują lud i zmieniają powoli bogate, dumne niegdyś państwo Mehmety-Alego w kolonię angielską. Trzeboby chyba, aby Seti lub Ramzes z granitowych powstałi trumien i uwolnili ojczyznę z pod ciężkiej opieki nowoczesnych Hyksosów.

Ostatnim krańcem, któryśmy zwiedzali w górnym Egipcie, już u podnóża granitowych skał Nubii, była wyspa Philae, przez Arabów „rozkoszą Woguda“¹⁾ nazwana. Wyspa ta poświęcona niegdyś Izydzie, po dziś dzień dźwiga świątynię tejże bogini. Ruiny tego gmachu nie są ani tak starożytne, ani tak wspaniałe, jak w Tebach, ale zachwycają nas niezrównanym wdziękiem smukłych, lekkich kolumn, przypominających arcydzieła greckie, którym za tło służy bujna, zielona roślinność wyspy.

Palmy, akacye nilowe, tamaryski, granatowe krzewy, tworzą tu namioty szmaragdowe nad czołem marmurowych posągów i rzeźbionych portyków.

Taka świeżość, takie życie bujne otacza nas nagle na tej wysepce, szczególnie w porównaniu do skał ciemnych Nubii i martwych stepów pustyni Libijskiej, że mimowoli wierzymy baśniom Arabów, którzy prawią, iż ten odległy zakątek świata jest początkiem raj.

¹⁾ Wogud, młodzień z „tysiąca i jednej nocy.“

Ale czas do powrotu, bo oto Nil w miękkie ramiona chwyta już łódź naszą... warknęły śruby, padło hasło:—„Go ahead!“—zawtórowały mu okrzyki sterników arabskich i już nikną mi z oczu olbrzymie głązy i starożytne grody...

Wkrótce pożegnam je na zawsze może; los rzuci mnie znów w inne świata strony; „niepokój skrzydeł“ uniesie mnie daleko w kraj obcy... nieznany...

* * *

Z prawdziwym żalem opuszczałam Kair po ośmioletnim tamże pobycie, unosząc z sobą bogate zasoby wrażeń i wspomnień. Ostatnim darem starożytnej ziemi były olbrzymie wiązanki nadnilowych kwiatów, którymi poczciwi nasi znajomi zarzucili mnie przy odjeździe.

Odjeżdżając, uparcie wpatrywałam się w niknący z przed moich oczu obraz pustyni i żegnałam ją, jak się żegna ukochaną lub przyjazną osobę. Chcielibyśmy wrazić w pamięć i w serce rysy jej twarzy, jej postaci, jej głos nawet.

Tak i ja zachowałam w pamięci kształty, barwy i cienie krajobrazów, na które patrzyłam przez lata długie.

Żegnając Egipt, nie wiedziałam, dokąd losy nas zawiodą, dopiero w Wiedniu dowiedzieliśmy się, że mąż mój przeznaczony został na konsula Peloponezu, z siedzibą w Patrasie, ale zarazem oznajmiono nam, że czeka nas jedenastodniowa kwarantanna w jednym z portów Grecyi, a to z powodu cholery, ukazującej się w niektórych miejscowościach Austrii, z którymi my jednak żadnej nigdy nie mieliśmy styczności. Wydawało mi się niedorzecznością, abyśmy mieli przez dni jedenaście cisnąć się w nędznym la-

zarecie greckim, albo bując na morzu dlatego, że komuś w Zaleszczykach lub w Husiatynie przyśniło się o cholercze, pocieszyłam się jednak w końcu tą myślą, że jak Słowacki przebywał kwarantannę „na złotym stepie” — ja przebywać ją będę na „stepie z błękitnych kryształów” — na morzu Jońskim!

ROZDZIAŁ XVIII.

POD GRECKIEM NIEBEM.

Jedenaście dni kwarantanny na morzu.

Ósmy dzień mija, jak zarzuciwszy kotwicę pomiędzy przelomy i skały morza Jońskiego, stanęliśmy naprzeciw wyspy Korfu, oddaleni od innych śmiertelników, samotni — zapowietrzeni!

Parowiec nasz „Helios,” skazany na bezczynność, smutnie powiewa żółtym sztandarem zarazy i zdaje się drzemać na falach, czasami tylko niecierpliwie targając łańcuch kotwicy; napróżno... dni próby dopełnić trzeba. Mimowoli pytamy siebie, cośmy takiego zrobić mogli, że nas na taką karę skazano; przychodzi na myśl wiersz Słowackiego: „a od tej nocy tak pełnej boleści, naznaczono nam nowych dni czterdzieści,” z tą jednak różnicą, że nie są to wcale dla nas dni boleści, gdyż trudno istotnie o życie weselsze nad to, które tu na okręcie prowadzimy.

Z powodu, iż lazarety greckie tak są fatalnie urządzone, że łatwiej się w nich rozchorować, niż wyzdrowieć, postanowiliśmy przebyć dni kwarantanny na okręcie. Towarzystwo nasze nieliczne, składa się z dziesięciu osób, oprócz załogi okrętowej, służby i podróżnych trzeciej klasy.

Główną rolę jednak w tem gronie grają dwie

postacie typowe, dwie na okręcie najważniejsze osobistości: komendant i kucharz okrętowy.

Nasz kucharz, to istotnie postać godna odmalowania: poważnej tuszy, jak na męża tego fachu przystało, czysty i elegancki w swoim stroju śnieżnej białości, zawsze uśmiechnięty i zadowolony, czuje całą ważność swojego powołania. Gdy pierwszego dnia po przybyciu naszym na miejsce kwarantanny ukazali się lekarze greccy i zdala ze swoich łódek pytając o zdrowie podróżnych, liczyli głowy nasze, kucharz wystąpił naprzód i wznosząc olbrzymią łyżkę, jak berło, do góry, zawołał:

— Ja jestem tu stróżem zdrowia i życia.

Trzeba go też widzieć, jak z przymrużonymi oczami, z dumą na twarzy kosztuje potrawy, przy każdej powtarzając zcicha: *Una sorpresa*.

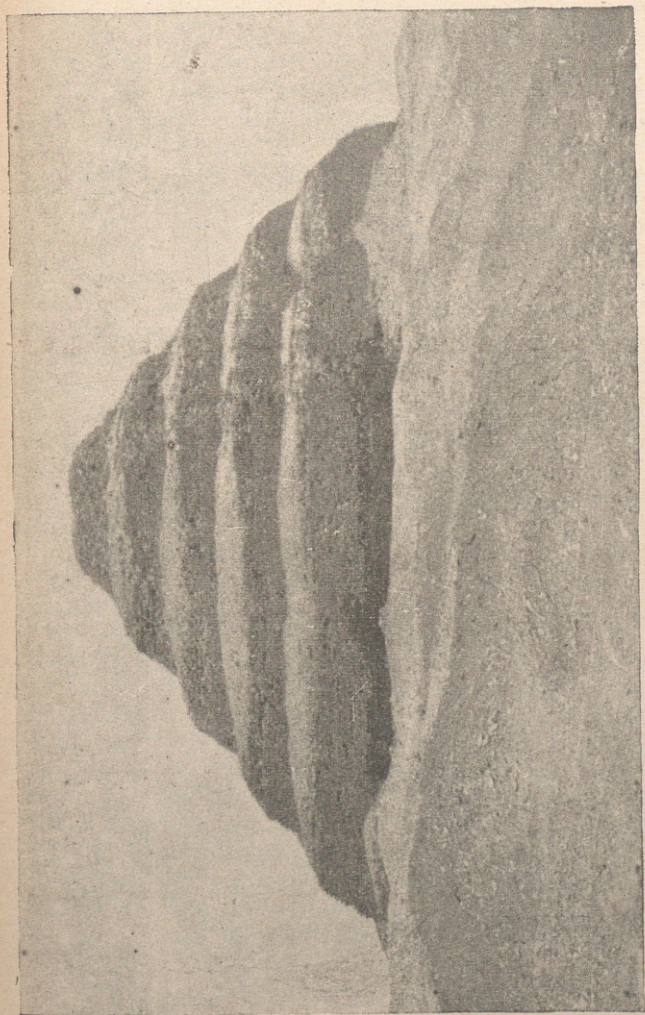
Drugą typową postacią jest sam komendant: rośły, barczysty, *un vrai loup de mer*, nieco rubaszny, jak przystało na marynarza, zawsze z wesołą piosnką lub pieprznym dowcipem na ustach, stara się on, jak może, rozweselić i zająć podróżnych.

Już zrana słyszymy głos jego, nawołujący nas do pracy, to jest do rybołówstwa; grozi przytem, że innych ryb podawać nie każe, jak te, które sami złowimy. Schodzimy więc do łódek, zbrojni w wędki i w siecie i rozpoczyna się połów drobnych rybek, setkami otaczających nasz parowiec.

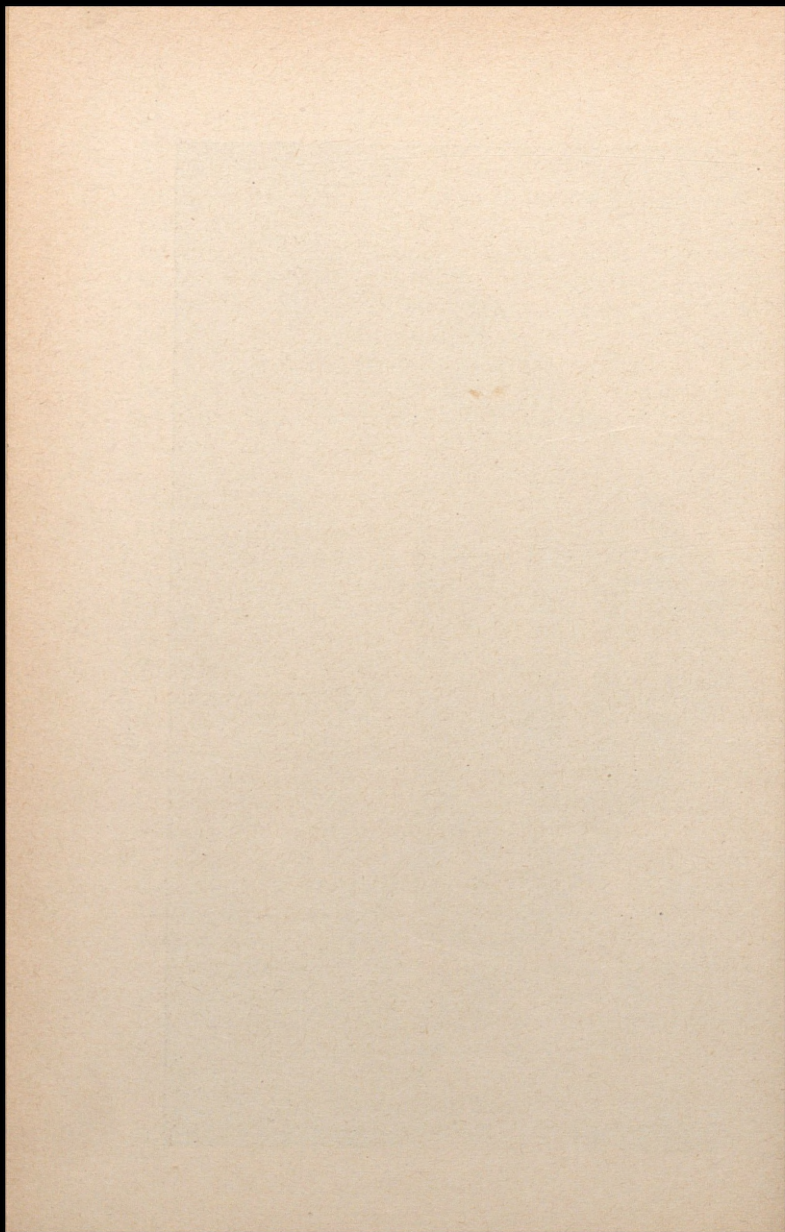
— *Eviva la pesca, eviva l'amor!*— wołają rozochoceni marynarze, ciesząc się każdą złowioną „douzella,” bo też douzella, to istne klejnoty morza Jońskiego, i dla oka powabne i w smaku wyborne.

Po śniadaniu następuje zazwyczaj przejażdżka po morzu, bądź w łódkach żaglowych, bądź z pomocą wiosła, które kolejno chwytamy, gdyż kapitan, dbając o ruch i apetyt podróżnych, nawet damom wiosłować każe.

Celem naszych wycieczek jest zazwyczaj niewielka wysepka, na której wznosi się lazaret, jedyne



Piramida w Sakkarze.



miejsce, kędy nam wolno lądować pod dozorem naszych nieodstępnych strażników, gdyż Grecy uważają nas zupełnie jakby za zadżumionych; na morzu nawet czółna rybaków umykają szybko, gdy ukażą się nasze łodzie, żółtym sztandarem opatrzone. Wczasie przechadzki na wyspie niewolno nam się zbliżyć do nikogo; najzabawniejszą zaś jest ceremonia, z jaką oddają nam przeznaczone dla nas listy; listy te już pierwiej dezynfekowane, dozorczy lazaretu rzucają na ziemię, nie pozwalając nam dotknąć ich, dopóki się sami nie oddalą. Również żywność, dostarczana dla naszego okrętu, wyładowywana bywa na wyspę, poczem handlarze oddalają się szybko, unikając spotkania z nami.

Wyspa nasza nie jest wcale uroczą: skalista, pusta, odludna, nie może się równać z poblizkimi wybrzeżami Korfu; jedyną jej wegetacją są wysokie trawy i burzany; mimo to witamy ją zawsze z wielką radością, bo też po długim bujaniu na wodzie nie masz miłszego uczucia, jak mieć znów grunt stały pod stopami.

W pośrodku wyspy wznosi się, jak wspomniałam, lazaret; sale jego brudne, niskie, opuszczone, sprzętów nigdzie niema; chorzy chyba na deskach sypiaćby musieli. Do sal przypiera niewielka kapliczka, jaskrawemi ozdobiona malowidłami, w której wolno nam czasami słuchać mszy św., pod warunkiem jednakże, abyśmy się do księdza i do sług kościelnych nie zbliżali. Także z podróżnymi z innych okrętów, zatrzymanych w kwarantannie, nie wolno nam się widywać, jedynie za pomocą tuby podajemy sobie z okrętu na okręt rozmaite wiadomości, tym sposobem dowiedzieliśmy się, że załoga okrętu francuskiego pomnożyła się temi dniami o jedno niemowlę, któremu sute sprawiono chrzciny, a i nasz parowiec powitał salwami urodziny nowego obywatela Francji.

Po jednej stronie naszej wysepki widać kilka nagrobków, jeden z nich wznosi się nad świeżo usypaną mogiłą. Smutny to zaiste spoczynek na tem pustkowiu, a jednak cicho tu i błogo. U stóp mogiły fale szepczą bezustannie pacierz swój cichy, czasem silniej uderzą o wybrzeże i lzy błyszczące rzucają na krzyż drewniany

Towarzystwo nasze było jednak zbyt wesołe, aby zatrzymywać się długo w tej stronie wyspy; smutek i powaga, jako szkodliwe dla zdrowia, są nam jak najsurowiej wzbronione. Zaledwie kto z naszego grona zaduma się na chwilę, już mu nad uchem dźwięczy wesoła piosnka naszego komendanta:

— *Faccio l'amor è vero, cosa c'è n'è de mal*¹⁾—
śpiewana akcentem dalmackim.

Wtórujemy mu więc ze śmiechem i powracamy na okręt, gdzie przy dźwiękach mandoliny i fortepianu, przy grze w karty i na wspólnej gawędzie, wesołe spędzamy wieczory. Czasami komendant opowiada nam przygody swego burzliwego zawodu. Pozwalam sobie przytoczyć tu dwa takie opowiadania, które szczególnie nas zajęły.

Było to w listopadzie w pobliżu Warny, miotany burzą okręt, rzucony o skały, już wodę nabierać zaczął, kobiety zamknięto w salonie, mężczyźni zaś zwołano do pracy i pompowania wody. W chwili tej nie było różnicy stanu, kto żyw, musiał śpieszyć na ratunek.

Między podróżnymi znajdował się jednak flematyczny lord angielski, który na wszystkie nalegania, aby z innymi wodę pompował, odpowiadał najspokojniej:

— *I will not!*

Nie dano mu jeść przez dzień cały, gdyż tylko

¹⁾ Na okrętach austriackich marynarze używają przeważnie języka włoskiego.

pracującym rozdawano żywność, nie to jednak nie pomagało, dumny lord nie ruszył się z miejsca. Wreszcie, rozgniewany komendant przyskoczył do niego z pistoletem, wołając, że w łeb palnie każdemu, kto do wspólnej pracy rąk nie przyłoży. Wtedy dopiero lord nasz, uśmiechając się mile, rzekł spokojnie:— *Yes*, dlaczego mi pierwszej tego nie powiedziałaś — i, skłoniwszy się uprzejmie, poszedł do pompy.

Inną, fatalniejszą przygodę opowiadał nam kapitan o swej podróży do Japonii, gdy go straszliwy cyklon chwycił w swe szpony. Na okręcie znajdowało się kilkuset Chińczyków, z tych kilkunastu wichur zmiotł w jednej chwili z pokładu; innych rozkazał kapitan zamknąć do magazynów, gdzie zgłodnieli (gdyż na statku o pożywieniu nikt myśleć nie mógł), zduszeni, czekali strasznej śmierci. Komendant tymczasem, przywiązany powrozem do olbrzymiej kłody drzewa, gdyż burza zerwała maszty i komin, sam sterował okrętem, kierując go wciąż w stronę wiru; był to jedyny sposób ocalenia; po 40-godzinnej walce ze wściekłym żywiołem okręt, a raczej szkielet okrętu, dobił szczęśliwie do przystani. Wypuszczono zamkniętych Chińczyków; kilku z nich zginęło z przestachu i braku powietrza, pozostali zaś przy życiu, wdzięczni za ocalenie, ofiarowali komendantowi sztandar honorowy, przepysznie złotem niemi haftowany.

Na takich to gawędach schodzą nam wieczory kwarantanny, wieczory pogodne, jasne i ciepłe, jakie o tej porze tylko na Wschodzie bywają. Nad nami namiot z gwiazd i błękitu, w dali migocą światelka portu, a za niemi, na tle szafirowej przestrzeni, zarysowują się ciemne mury miasta i wzgórza cyprysami zarosłe, bliżej zaś nieco błyszczą na falach morza marmurowy pałacyk cesarzowej austriackiej, Elżbiety, istna perełka przepychu i stylu.

Za dni kilka skończy się nasza niewola; ukażą się znów lekarze kwarantanny, przeliczą głowy nasze, aby się przekonać, że nikt z nas nie ubył; żółty

sztandar śmierci zdejmą z głównego masztu i dumni z przebytych dni próby, wjedziemy do portu w Korfu; chwile zaś, przebyte w kwarantannie, pozostaną nam miłym, uroczym wspomnieniem.

II.

Patras. — Achaja.

Owiane lekką, błękitną mgłą poranku, znikaly nam z oczu śnieżne szczyty i strome skały Akarnanii i Etolii. Powoli i ostrożnie, jakoby znużony trzydniową, nader burzliwą z Tryestu podróżą, przesunął się nasz parowiec w bliskości wybrzeża, wymijając zręcznymi obrotami skały i wysepki, co licznym gronem otoczyły brzegi Hellady, tuląc się do niej, jak do matki łona. Minęliśmy skalistą Leukadyę (Santa Maura), pamiętną zgonem Safony¹⁾ i cichą, pustą Itakę, którą blednący księżyc, światłem dziennym spłoszony, zegnał ostatnim promieniem. Z pierwszym brzaskiem słońca parowiec zwrócił się ku wschodowi, a w dali ukazały się wspaniałe góry Peloponezu, oblane zorzą, jakby łoną pożaru.

Na pokładzie okrętu liczne grono podróżnych gwarzyło wesoło, zapomniawszy o przykrej przeprawie i morskiej chorobie, służba krzątała się pilnie, wyładowując z magazynu próżne beczki i paki, przeznaczone na oliwę i korynckie rodzynki, jedyne produktu, których nam dzisiejsza Grecja dostarcza.

— *Ecco siamo in Golfo!*—rozległ się głos kapitana; przed nami morze tworzyło szafirową drożynę, ujętą w ramy wzgórz zielonych, bujnych winnic i kwiecistych ogrodów. Po obu stronach, nieco opo-

¹⁾ Ze skały Leukadyi, z której strącano do morza zbrodniarzy, rzuciła się Safo w pienne i wieczne i wzburzone w tem miejscu fale.

dal od wybrzeża, pasma gór stromych piętrzą się coraz to wyższemi szczytami; podnóża i stoki tych gór, ustrojone w cyprysy, mirty i oliwne krzewy, a szczyty, choć nagie i śniegiem błyszczące, nie wydają się groźnie, ale miękimi, pełnemi powabu liniami zarysowują się na tle przejrzystem. Nawet morze, przerażające nas zazwyczaj tajemniczą, bezgraniczną przestrzenią, u brzegów Grecyi traci grozę swoją, wijąc się u stóp jej pełnemi wdzięku zatokami, tworząc srebrzyste drożyny i przejścia. Rzeczy można, że sama natura, jak mistrzyni rzeźbiarka, w cudne kształty wyrzeźbiła tę ziemię, więc też i nie dziw, że lud na niej urodzony, ukształcił i ukochał piękno; boć wiadomą jest rzeczą, iż przyroda nadaje swe piękno usposobieniu, upodobaniom i dążnościom człowieka.

Patrzyliśmy z zachwytem na zmieniające się co chwila, a zawsze barwne i urocze krajobrazy; zebrałi na przodzie okrętu wieśniacy greccy witali śpiewem rodzinną ziemię, twarze ich o rysach niezbyt regularnych i postawy niekształtne, nie przypominały wcale starogreckich typów, również i strój ich ludowy, jaskrawy, obcisły, niema podobieństwa do dawnej greckiej togi: biała, fałdzista koszula, t. zw. „fustanela“, sięga zaledwie powyżej kolan; bogato złotem wyszywany dolman, o szerokich, w tył zarzuconych rękawach, otwarty jest z przodu i pozwala podziwiać błyszczące jatagany i sztylety za szerokim zatkniętym pasem; ubiór ten uzupełniają długie, białe pończochy i misternie haftowane sandały.

— *Missolonghi!* — zawołał nagle jeden z Greków, wskazując z dumą na wybrzeże, uświęcone wspomnieniem bohaterskiej walki 1823 r.¹⁾ i śmiercią Bajrona (w r. 1842), którego serce mieszkańcy

¹⁾ W r. 1823 Marko Bozearis, jeden z bohaterów greckiego powstania, uratował miasto obleżone przez Turków, rzucając się z garstką Suliotów na obóz nieprzyjacielski.

miasta z czcią najwyższą przechowują, chlubiąc się tą relikwią przed obcymi.

Murów twierdzy nie mogliśmy dojrzeć z okrętu, na wybrzeżu, dość niskiem w tem miejscu i poprzęznanem bagnami, bieliło się parę chat nędznych i ubogich lepianek.

— *Horrible!* — odezwał się tuż za mną głos jednej z mych towarzyszek podróży, starej angielskiej „Lady,” obdarzonej długim, czerwonym nosem.

Zwiedzała ona Europę; nieczuła jednakże na wdzięki natury, narzekała ustawicznie na brak komfortu i porządku, ganiła i wyszydzała kraj i ludzi. Nadaremnie starałam się zwrócić jej uwagę na uroczą okolicę; przypominałam bohaterskie czyny i dzieła Grecyi, którą jej rodak-poeta tak ukochał silnie, iż życie za nią oddał w ofierze. — *Stupide!* — odrzekła mi, wzruszając kościstemi ramionami.

Nie było zresztą czasu na długą dysputę, gdyż stanęliśmy wkrótce w przystani Patrasu u podnóża gór Woidia, których szczyt najwyższy Panachajkon, na 1,900 metrów nad poziomem morza wzniesiony, góruje nad dzisiejszą stolicą Achai.

Wspaniale i malowniczo roztacza ona swe białe mury wzdłuż błękitnej zatoki morza, która przeciskając się przemocą wśród gór wyniosłych, tworzy poniżej Patrasu tak zwane „Małe Dardanele“, srebrną drożynę, przedzielającą Peloponez od stałego lądu Hellady.

Przywykła do dziwacznie zabudowanych, krętych i wązkich ulic w miastach wschodnich, zdumioną byłam, ujrawszy symetrycznie pocięte, szerokie ulice, rozległe place, ozdobne wodotryski i okazałe domy Patrasu¹⁾). Pomimo jednak tego pozornego przepychu miasto jest zaniedbane i nieczyste, jak wszystkie miasta greckie. Obok pałaców i otocz-

¹⁾ Nazwę swą zawdzięcza Patras Patreuszowi, potomkowi Lacedemona, synowi Preugenesa.

nych ogrodami willi widzimy nędzne kramy i budy, w których odarty kupiec rozkłada greckie przysmaki, mogące wonią odstraszyć najsilniejszych turystów; przy wspaniałych wodotryskach kobiety greckie piorą bieliznę, a małe chłopaki używają kąpeli. Gazowe lampiony oświetlają wnętrza wstrętnie brudnych gar-kuchni i „kaphenionów“¹⁾, przed którymi bogaci pannie i ubodzy wyrobnicy wspólnie dnie i noce pod gołym niebem na politycznych dysputach i naradach przepędzają.

Wyznać muszę, że przy pierwszej mej przechadzce po mieście przypominał mi się często wykrzyknik mojej towarzyszki podróży: *Horrible*, szczególnie na widok hotelów greckich, które pod względem czystości i kuchni z najnędźniejszymi zajzadami w naszych małych miasteczkach zaledwie w porównanie iść mogą.

W hotelu greckim mamy tylko to zadowolenie, że usługujący nam sprytni, ale odarci i brudni chłopcy, noszą dumne imiona historycznych bohaterów; możemy więc widzieć Temistoklesa, czyszczącego obuwie; Milcyadesa, usługującego do stołu, a Aspazya lub Penelopa, najczęściej stara, ohydnie brzydka Greczynka, przyrządza nam wieczerzę.

Wogóle piękne twarze i postawy, tak u mężczyzn, jak i u kobiet, rzadkiem są zjawiskiem w tych stronach Peloponezu; przy ciągłym napływie obcych plemion, które od wieków uderzały o wybrzeża morza Jońskiego, dawny typ grecki zatarł się zupełnie. W samymże Patrasie nie wiele również starożytnych gruzów i pamiątek spotykamy.

Dzisiejszy Patras²⁾ jest miastem zupełnie no-

¹⁾ Kaphemion—kawiarnia.

²⁾ Miasto Patras ważną grało rolę w walce Greków o niepodległość z r. 1821. W Patrasie rozpoczęła się rewolucja 2-go kwietnia 1821 roku, zanim wybuchła w Kalawryta (6-go kwietnia)

wem, powstałem w przeciągu ostatnich lat 50. Starożytny Patras leżało o wiele wyżej, osłonięte górami od zdradnych fal morza, z potężnymi murami swej Akropoli, zakryte od sąsiedzkich napadów, tak częstych w dawnej Grecji. Dziś ze starożytnego grodu niema i śladu; gmachy i świątynie, obalone przez Alaryka, złupione przez hordy najeźdźców, zniszczone zostały do szczętu przy trzęsieniach ziemi, dość częstych w tychże stronach¹⁾.

Z gruzów odbudowana, nędzna miejscina, zwana dziś starym Patrasem, przeszła w czasie wojen krzyżowych w posiadanie Francji, później w XIV-em stuleciu tytułem kupna dostała się Wenecyanom, a wreszcie uległa potędze Murata II-go, który na ostatnich zdeptanych gruzach starożytnego świata zwycięzki zatknął półkiężyc.

W miejscu dawnej Akropoli ponad ubogimi chatami starego miasta wznoszą się po dziś dzień ruiny twierdzy, założonej przez jednego z francuskich krzyżowców, Gotfryda Wardouin (w r. 1204), gdy Achaja jako księstwo lenne przypadła w udziale francuskim rycerzom.

Tuż do murów twierdzy przypiera kościółek św. Mikołaja; tak budowa kościoła, jak i zdobiące go kolumny jońskie zdradzają, iż przebudowany został z greckiej świątyni, z kronik zaś Pauzanasza dowiadujemy się, iż w miejscu tem istniała świątynia Junony i Jowisza, ozdobiona licznymi posagami. Pauzanasz wspomina również o innych licznych świątyniach Patrasu; z tych najświetniejszą była świątynia Cerery, na której gruzach już w pierwszych wiekach chrześcijaństwa stanął istniejący po dziś dzień

¹⁾ W dniu, w którym przyjechałam do Patrasu, miało miejsce silne, kilka minut trwające trzęsienie ziemi. Parę starych lepianek zostało obalonych, mieszkańcy przywykli jednak do tych zjawisk, nie zwracali na to wiele uwagi.

kościół św. Andrzeja, patrona miasta¹⁾. Dość już stanąć w przedsionku kościółka, dość spojrzeć na lekkie a kształtne, choć złoceniami i malowidłami zeszpecone kolumny, aby poznać, iż mamy przed sobą starogrecką budowę. Obok świątyni znajduje się grotta ze studzienką w skalę wykutą; był to niegdyś proroczy źródło Cerery; do źródła tego śpieszyli chorzy z całej Grecji, aby zapytać wyrocznię, czy żyć będą; na powierzchni wody umieszczone było ruchome zwierciadło. Jeśli chory ujrzał w tem zwierciadle twarz własną spokojną i uśmiechniętą, wtedy mógł być pewnym długiego życia; jeśli zaś ukazała mu się trupia głowa, natenczas gotować się musiał na śmierć rychłą.

W pobliżu świątyni Cerery znajdowały się gaje bogom poświęcone, a w ich cieniu wznosiła się świątynia Serapisa, pochodząca z tych odległych stuleci, kiedy kolonie egipskie²⁾ pierwsze ziarno sztuki i wiedzy rzuciły na wybrzeża Grecji.

Im bliżej dziś, dzięki najnowszym archeologicznym badaniom, zapoznajemy się z archaiczną, najdawniejszą epoką sztuki greckiej, tem łatwiej przychodzimy do przekonania, że duch grecki, choć wyzwolony z ciężkiej a tajemniczej osłony symbolów, choć pod rodzinnem niebem w innych, bardziej uzmysłowionych, a w niezrównanie pięknych objawił się kształtach, wzrósł i wzbogacił się spuścizną po starożytnym Egipcie, jak my dzisiaj kształcimy się i żyjemy spuścizną po nim. Niestety jednak, z tej starożytnej epoki nie posiadamy w okolicach

¹⁾ Św. Andrzej ukrzyżowany został w Patrasie w roku 63 po Chrystusie; lud grecki opowiada, iż mieszkał on w grocie nad źródłem Cerery i liczne czynił cuda; kamień zaś, na którym usiadł sędzia, skazujący św. Andrzeja na śmierć krzyżową, przemieniony został w bryłę siarki i przechowany jest między relikwiami świętego.

²⁾ Pierwsze kolonie egipskie przywiedli na brzegi Peloponezu: Imahus, a później Danaos, w 1570 przed Chr.

Patrasu ani jednego pomnika; odkryte przed dwoma laty, w pobliżu twierdzy, sarkofagi i ruiny teatru (jednego z największych teatrów w Grecyi) pochodzą nie z greckiej, ale z rzymskiej epoki, z czasów, kiedy miasto Patras, otrzymawszy od Cezarów szczególne przywileje i swobody, wzbogaciło się i podniosło znacznie; również pod opieką bizantyjskich cesarów, Patras był ogniwem handlu pomiędzy Wschodem i włoskimi wybrzeżami.

Porzućmy jednak te odległe historyczne wspomnienia, a przypatrzmy się jej dzisiaj, gdy z nędznej tureckiej mieściny znów się obecnie do rzędu głównych miast greckich podnosi, licząc już 44,000 mieszkańców i rozszerzając się z każdym rokiem.

Wspominałam jednak powyżej, iż pomimo pozornego przepychu, spotykamy tu na każdym kroku nieład i zaniedbanie; wina tego leży tak w samym usposobieniu mieszkańców, których natura nieokiełznana, nie daje się nałamać do dzisiejszych wymagań porządku i ładu i nie znosi przymusu, jak i w samej administracji, gdyż zarząd miejski obraca znaczne dochody nie na podniesienie miasta, ale na agitacje polityczne przy wyborach.

Każdy Grek jest przedewszystkiem politykiem i sejmikowiczem, a ponieważ prawo głosowania przysługuje tu każdemu bez wyjątku, kto skończył lat 24, w czasie wyborów zatem rolnik porzuca rolę, kupiec skład towarów, pasterz swą trzodę i śpieszy, aby wziąć udział w sprawie publicznej, a jeśli potrzeba, poprzeć swe zdanie siłą pięści, kulą lub sztyletem. W dniu wyborów nikt w Grecyi nie ma służącego, ani woźnicy lub kucharza, wszystko, co żyje, śpieszy głosować. Tysiące partyj tworzy się w kraju i nie dziw, że dobrobyt podnieść się nie może w państwie, szarpanem rozlicznymi stronnictwami.

Z drugiej strony wziąć trzeba na uwagę, że lud grecki nie rozwijał się stopniowo i powoli, jak inne

państwa Europy, ale nagle z ciężkiego jarzma tureckiego przeszedł do zupełnej swobody. W wiekach, w których ludy Zachodu budziły się do życia i samobytu, Grecya, jakoby snem zaklętym ujęta, pod sztandarem muzułmańskim wstecz się raczej cofała.

Spotykamy więc dziś na tej ziemi dziwną mieszaninę pojęć nowożytnych i barbarzyńskich zwyczajów, postępu z jednej, a ciemnoty i zaniedbania z drugiej strony. Objawia się to tak w ustroju państwa, w stosunkach towarzyskich, jak i w charakterze mieszkańców.

Grecy dzisiejsi do wad i zalet, odziedziczonych po praojcach, dodali wiele przywar, nabytych od ludów, które przez przeciąg długich stuleci zalewały Helladę.

Pełen sprytu, odwagi i energii Grek stał się pod obcem jarzmem nieufny i podejrzliwy, szorstki i ponury, stracił wesołość i tę swobodę umysłu, która charakteryzuje dawne jego czyny i dzieła; przytem jest chytry, fałszywy, przebiegły, bo takim był już w starożytności. Nie nadaremnie przysłowie wschodnie mówi: „Żyd oszuka Turka, Ormianin Żyda, Grek Ormianina, ale Greka to i sam dyabeł nie oszuka.“

Wybitną cechą charakterów greckich jest pewna, aż do uporu posunięta nieugiętość: jej to zawdzięczają Grecy, iż pomimo wpływu obcych, zachowali swą indywidualność i własny, jakkolwiek skoszlawiony język. Dziś jednak ten sam upór jest im przeszkodą w przyjęciu cywilizacji i ogłady zachodniej. Grek nie chce i nie może pojąć wymagań i potrzeb naszych, żyje po dziś za pan brat z naturą i trzyma się uparcie dawnych półdzikich obyczajów. Miałam sposobność przekonania się o tem w pierwszych dniach pobytu mego w Grecyi, a były to właśnie ostatnie dni Wielkiego tygodnia. Na ulicach Patrasu panowała wrzawa piekielna; przed Bożym grobem strzelano i pukano z moździerzy, strzelb i pistoletów, lud na cześć Chrystusową krzy-

czał z całego gardła; w Wielką Sobotę zaś założono wśród ulic ogniska, a przy nich zarzynano i ćwiartowano barany; krew biednych zwierząt płynęła ulicami, przed każdym domem zaś leżały drgające ich tułowy i skrwawione skóry. Po rezurekcyi, w nocy, przed ogniskami zasiadły gromady ludzi, częstując się wzajem świeżo pieczonem mięsiwem i barwionemi jajami. Było to święcone *à la belle étoile*, szczęściem o świcie wymieciono ulice, co się podobno tylko raz do roku zdarza, gdyż zazwyczaj tylko wicher, od morza wiejący, oddaje tę usługę mieszkańcom Patrasu. W drugi dzień Wielkanocy na przedmieściach miasta odbyły się igrzyska ludowe, przy których, podobnie jak u nas, barwione jaja główną grały rolę¹⁾. Przy tych igrzyskach, jakby w dawnych wiekach, mężczyźni tańczą i śpiewają sami, kobiety zaś nie biorą udziału żadnego w zabawach i tylko zdala im się przypatrują. Wogóle w całej Grecyi panuje dotychczas obyczaj wschodni, skazujący kobiety na ciche życie domowe. Tylko kobiety klas bogatszych ukazują się czasami na ulicach; zarzuciły one dziś zupełnie strój narodowy grecki, jedynie stare mieszczanki noszą jeszcze dawne okrycie głowy: pasowe jedwabne fezy, od których spada na ramię jakoby warkocz spleciony z nawleczonych na sznureczki złotych monet, pereł i drogich kamieni. Często cały majątek nosi Greczynka w takim warkoczcu.

Ulubionem miejscem przechadzki mieszkańców Patrasu jest wzgórze, zwane „Ypsyla Alonia,” t. j. górskie powietrze, z kądem widok wspaniały rozciąga się na miasto i góry: Woidia z jednej, na zatokę

¹⁾ Zwyczaj rozdawania jaj przy święcie wiosennem, przypadającym w dniu porównania dnia z nocą (25 marca), był już w pogańskim świecie rozpowszechnionym i pochodzi ze Wschodu. Jajo było symbolem budzącego się życia, obrazem elipsy. Buddyści przedstawiali wszechświat pod postacią jaja, którego złotkiem było słońce—pierwiastek życia.

morza z drugiej strony. W miejscu tem znajdować się miał niegdyś cyrk rzymski, którego mury na wpeł w ziemię zapadłe, widoczne są od strony miasta. Dziś na tem wzgórzu zbiera się całe „high life“ Patrasu. Przed kilku laty jeden z prefektów miasta ozdobił wzgórze wodotryskami, alejami drzew i klombami kwiatów, mieszkańcy jednak uważają ten zbytek za niepotrzebny, zdeptali wkrótce trawniki i klomby, a zimową porą pościnali drzewa na opał.

Od wzgórza Ypsyla Alonia, wiodą cieniste aleje, cyprysami i pomarańczowemi krzewami zarosłe, pomiędzy wspaniałe ogrody i winnice, otaczające wille i letnie pałacyki bogatych mieszkańców Patrasu. Niektóre z nich ukryte są zupełnie w zaroślach róż i laurów, tak, że przestrzeń tę nazwaćby można doliną róż. Pola zaś zasadzone są przeważnie winogronami korynckimi; jest-to osobny gatunek ¹⁾ winogron, znany nam w postaci drobnych naszych rodzyneków, a których z okolic Patrasu i Koryntu 350,000 ton corocznie przeważnie do Anglii i Ameryki wysyłają. Prócz koryntów, uprawiają mieszkańcy okolic Patrasu inne gatunki winogron, z których wyrabiają słynne wina „Małmazya“ i „Mawrodafne“. Przedsiębiorstwem tem zajmuje się towarzystwo niemieckie „Achaja“, posiadające najbogatsze winnice i składy win w Patrasie.

Dawnemi laty słynęły również wyżyny Achai oliwnemi gajami i cienistemi lasami, aczkolwiek naszych gęstych cienistych borów Grecya nigdy nie posiadała. Jej lasy, tak powabne dla oka grą barw rozmaitych, zacząwszy od ciemnej zieleni cyprysów aż do jasnej błękitnozielonej barwy drzew oliwnych, są to raczej gaiki, dla upiększenia i urozmaicenia okolicy tu i owdzie rozrzucone. Większe drzewa, stare

¹⁾ Mieszkańcy nazywają ten gatunek winogron „uva passa“, czyli „passolima“, po grecku „Stafida“.

odwieczne platany i dęby spotykamy jedynie na granicach sąsiadującej z Achają Elidy, zbliżając się do cichej, poświęconej bogom, a dziś z gruzów dobytej... Olimpii.

III.

Olimpia. — Muzeum olimpijskie.

Silnym spienionym nurtem rozrywa rzeka Alfejos dzikie skały Arkadyi i przez kamienne przepaście, przez niedostępne urwiska i szczeliny, bieży ku zatoce morza Jońskiego. W pobliżu ujścia jednak, w miejscu, kędy gór łańcuchy zniżając się, tworzą niezbyt strome wyżyny, Alfejos zwalnia biegu, a zakreślając półkole, potężnem ramieniem, niby uściskiem miłym, obejmuje kwiecistą, uroczą dolinę, ukrytą w cieniu wzgórz i gajów zielonych.

To ustronie ciche, zamknięte w sobie, oddalone od gwarów portowych i loskotów morza, zakryte od ourz i wichrów, to dolina Olimpii; sama natura dziwnym ją ustroiła powabem, jakby na przybytek dla niebian i bohaterów. I oto przed wiekami pan Olimpu, Zeus, zstąpił na nią widomie, zaklęty mistrzowskim dłutem Fidyasza w posąg z kości słoniowej i złota.

Olimpia była niegdyś sercem i duszą Hellady; dziś to cmentarz rozległy, pełen skarg i wspomnień; cmentarz dawnej sławy i starożytnych bogów Grecyi. Rzędy wspaniałych kolumn doryckich, odłamy rzeźbionych gżemsów, okruchy lśniących marmurów leżą dokola obalone, zdruzgotane, rozsypujące się na posłaniu z traw miękkich i kwiatów leśnych, któremi dolina bujnie porasta.

Smutno, zaiste, patrzeć na to zniszczenie, jakiemu uległy arcydzieła, których żadna siła dziś odtworzyć nie zdoła, gdyż nie wskrzesi wpływów, dzięki którym

rozwinęła się w Grecyi owa doskonałość kształtów, harmonia formy i treści, przeglądająca z każdego odłamu tych gruzów.

Gmachy i świątynie Olimpii przeżyły upadek Grecyi i pierwsze wieki chrześcijaństwa; rzymskie kohorty, choć nielitościwie plądrowały w Peloponezie, zatrzymały się z czcią i podziwem u wniścia do przybytku bogów, a dumni władcy Romy schylili czoła przed geniuszem Grecyi. Wszakże wiadomą jest rzeczą, iż Neron ubiegał się nawet o wieniec laurowy w wyścigach olimpijskich. Ostatnie zaś igrzyska odbyły się w roku 593 naszej ery. W rok później wydał bizantyński cesarz, Teodozusz, edykt, potępiający jak najsurowiej wszelkie pogańskie zwyczaje, igrzyska i obrzędy.

Natenczas ciche, opustoszałe gmachy Olimpii odarto i złupiono nielitościwie, aby starożytnemi skarbami wzbogacić pałace i kościoły nowej stolicy wschodu. Posąg Zeusa (wiekopomne arcydzieło Fidyasza) również powędrował do Bizancjum i zginął tam, zniszczony w czasie pożaru, czy też, jak twierdzą Grecy, przetopiony na brzęczącą monetę. Niebawem napłynęły hordy Gotów, niszcząc i obalając wszystko to, czego nie zburzyła już pierwiej fanatyczna gorliwość chrześcian.

Dzieła zniszczenia dokończyły wreszcie powtarzające się raz po raz trzęsienia ziemi. Olbrzymie kolumny, których ręka ludzka nie zdołałaby obalić, runęły w gruzy; bryły ziemi i sztuczne nasypy usunęły się ze wzgórz otaczających dolinę. Rzechy można, iż ziemia grecka, czując zhańbienie i znieważenie swych świątyń, zadrżała z oburzenia i sama porzębała ich gruzy. Ostatnie szczątki zalała rzeka Alfejos, wystąpiwszy z brzegów wskutek trzęsienia ziemi. Zwirem i namulem pokryła się cała dolina; pokłady ziemi porosły murawą, zaginęły ślady dawnej kultury i chwały, a ludy, które zawładnęły Helladą, nie zapytały nawet o jej gruzy.

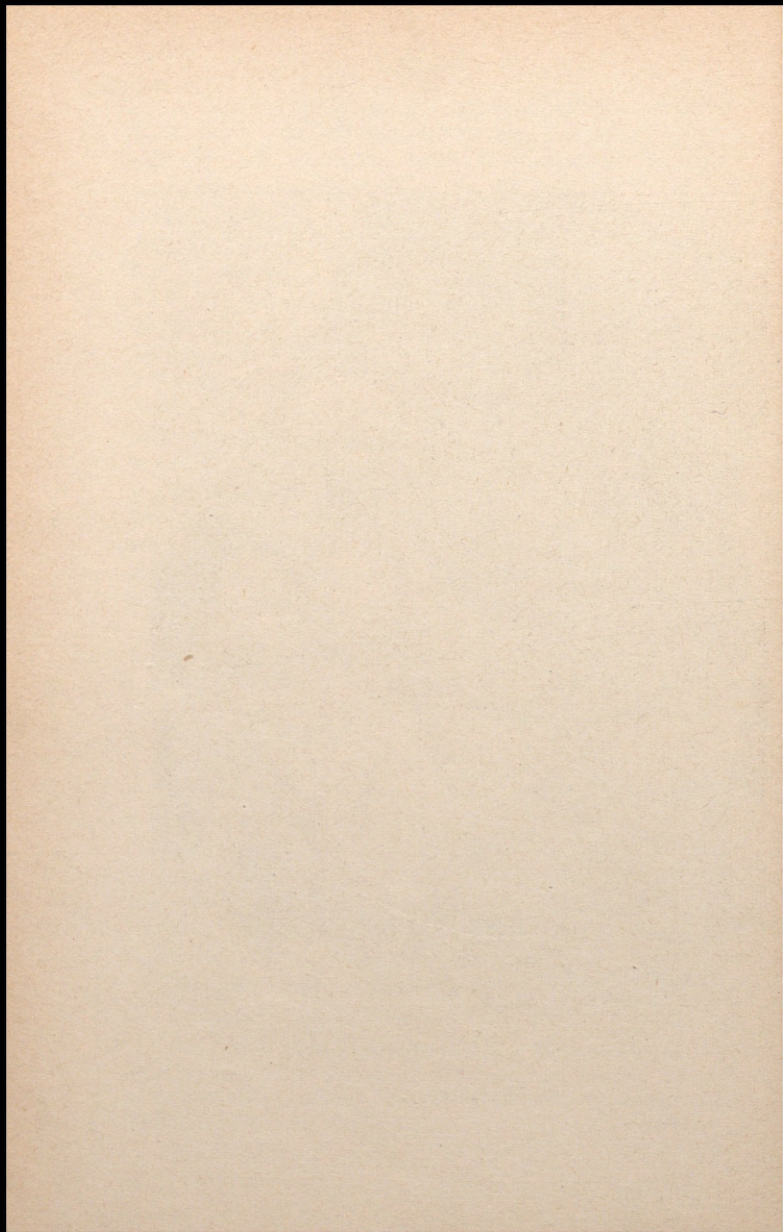
Dopiero przy końcu zeszłego stulecia angielscy podróżnicy zwrócili pierwsi uwagę na dolinę Olimpii. Później zaś, w roku 1829 towarzystwo francuskie rozpoczęło poszukiwania, ale je wkrótce przerwało, uniósłszy kilka płaskorzeźb i odłamów do Francji. Jednakże w r. 1852 niemiecki znów archeolog, profesor Kurtius, podał plany i zachęcił rząd swój do ofiar w celu odkopania ruin Olimpii. Długo trwały układy z rządem greckim, gdyż Grecy, zrażeni przykładem lorda Elgina ¹⁾ i jemu podobnych barbarzyńskich grabieżników, nie ufali obcym. Wreszcie zgodzono się na to, że rząd niemiecki pokryje wszystkie koszta poszukiwań, a odgrzebane zabytki pozostaną w muzeum greckim, z wyjątkiem tych, któreby się w podwójnych egzemplarzach znalazły. Tak więc ze strony Niemiec była to ofiara zupełnie bezinteresowna, poniesiona dla wiedzy i sławy, a przyczynił się do niej najbardziej książę, później nieodżałowany cesarz Fryderyk III, który ze swej własnej szkatuły dokładał do sumy przez rząd wyznaczonej. Rozpoczętą w 1875 r. pracę ukończono w 1881 r., dobywszy z pod warstwy ziemi 6 metrów wysokiej zwaliska najznacześniejszych gmachów i wiele rzeźb nieocenionej wartości.

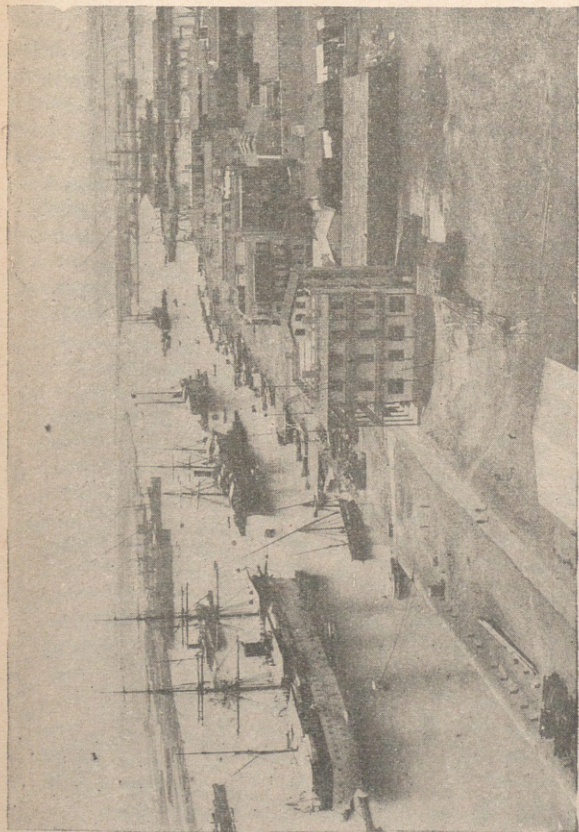
Ale przypatrzmyż się zblizka tej dolinie świętej, do której przed wiekami dążyły tłumy pielgrzymów z całej Grecji; wiodło do niej siedem dróg, t. zw. olimpijskich, ocienionych wspaniałemi drzewami, ozdobionych posągami bóstw, świątyniami i wodotryskami. Dziś dostać się możemy do Olimpii bądź drogą morską, wylądowując w Katakolo, lichej portowej miejscinie, bądź wygodną żelazną koleją z Patrasu, wzdłuż morskiego wybrzeża, przez żyzne pola i gaje

¹⁾ W r. 1799 lord Elgin, poseł w Konstantynopolu, uzyskał od sultana pozwolenie na wywiezienie greckich zabytków sztuki, zniszczył więc i zrabował Parthenon, wylamując najpiękniejsze rzeźby.

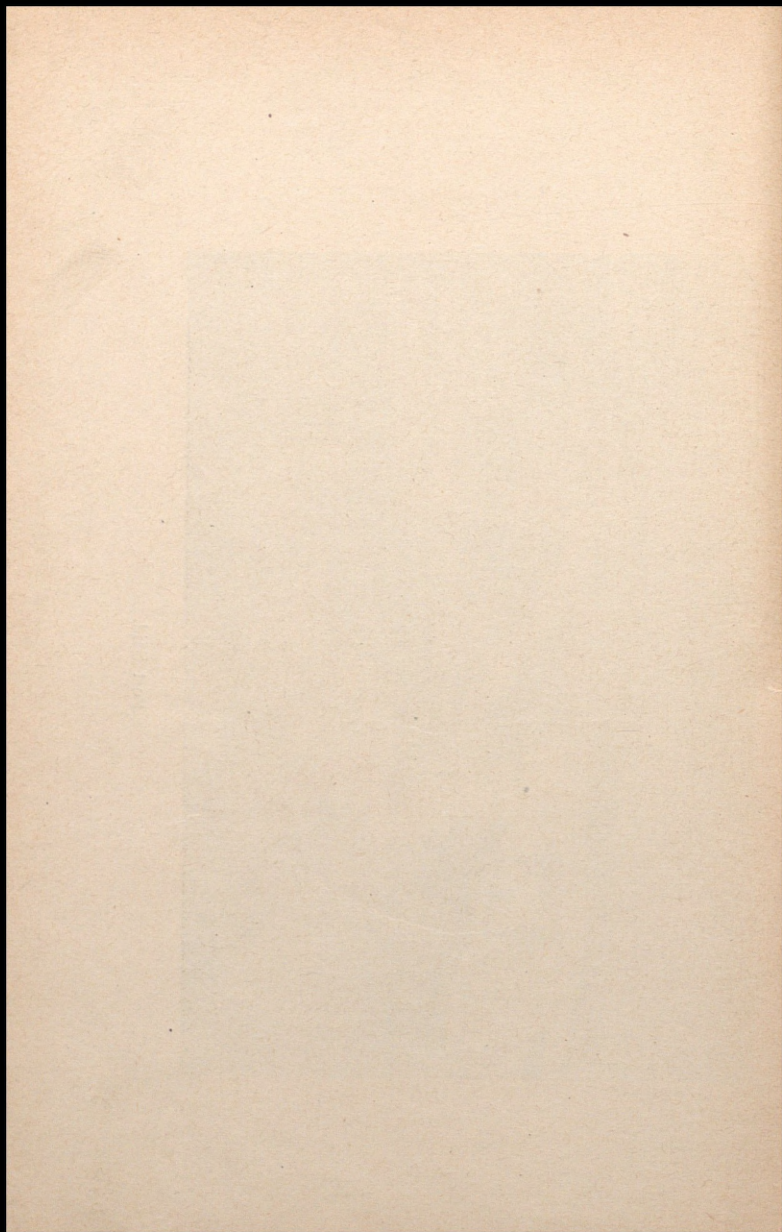


Sudańczycy.





Port Said,



Elidy. Ta ostatnia podróż najmniej jest trudząca, gdyż po pięciu godzinach stajemy z Patrasu w samej Olimpii. Dobrze jest jednak zaopatrzyć się w żywność, ponieważ na kolejach greckich, prócz tureckiego „rahatlekum“ i obwarzanków, nic się nie dostaje. Pocieszać się trzeba widokiem wspaniałych krajobrazów, dość schludnych wiosek, rozległych winnic i dębowych lasów; w dali zaś na tle przejrzystej, kryształowej atmosfery, ukazują się po wschodniej stronie góry Olenos, których szczyt najwyższy Erymanthos błyszczy dumnie srebrną koroną wiecznych śniegów. Przed samą Olimpią mijamy miasteczko Pyrgos, zniszczone trzęsieniem ziemi w r. 1886, a słynne tylko ze swych win wybornych i niebezpiecznej febry, której przyczyny szukać trzeba w wyziewach bagnistych nadmorskich jezior.

Kolej żelazna, wiodąc z Pyrgos do Olimpii, zatrzymuje się przed świeżo zbudowanym „hotelem“, w którym zapoznać się można z grecką gościnnością, ale też i grecką czystością.

Naprzeciw hotelu wznosi się muzeum olimpijskie, gmach nowy, okazały, zbudowany kosztem i staraniem bogatego greckiego bankiera, Singrios'a; tu złożono najcenniejsze wykopaliska Olimpii.

Z wyżyny, na której stanęło muzeum, mamy rzut oka na przeciwległy, niezbyt wyniosły wzgórek Kronosa i otwierającą się u stóp jego, szeroką, gruzami pokrytą dolinę olimpijską; najznacniejsze budowle i świątynie znajdowały się w obrębie tak zw. „Altis“, czyli gaju świętego, którą to przestrzeń zupełnie odsłonięto, podczas gdy większą część areny (stadyon i hippodrom) pokrywa dotychczas ciężka warstwa ziemi, porośnięta murawą i barwnymi polnemi kwiatami.

Z nieopisanem wzruszeniem wstępowałam w tę dolinę, zamykającą wielkie wspomnienia Hellady. Byłam zupełnie samotną; dzień był nieco chmurny i dzi-

wny spokój panował dokoła; żaden powiew wichru, żaden szelest liści nie mącił poważnej ciszy; tu i owdzie slychać było tylko brzęczenie pszczół, co wśród ruin kwiatów i ziół polnych szukały; czasami z wyższych, poszarpanych murów kamień się ode-rwał i spadał powoli, staczał się smutnie, niby ciężka lza kamienna.

Przebywszy górski strumień Kladeos, minęłam „Gimnazyon“, ozdobiony szczątkami kolumn doryckich, i stanęłam w głównym niegdyś gmachu Olimpij, w świątyni Zeusa. U stóp moich leżały olbrzymie zdruzgotane kolumny, których 38 dźwigało przed wiekami wspinały strop gmachu; odłamy niektórych tkwią jeszcze w marmurze podwalin, gdyż stylem doryckim rzeźbione, nie mają one podstaw osobnych, ale dumnie i silnie wprost z ziemi się wznoszą. Dokoła tych potężnych głazów rozsypały się drobnemi okruchami marmurowe ozdoby świątyni; fryzy jednak i metopy, z wielkim trudem z małych szczątków złożone, podziwiać będziemy w muzeum.

Z marmurowej posadzki, co zdołała wewnątrz świątyni, zachowało się zaledwie kilka kamieni dokoła niewzruszonej dotąd podstawy ołtarza, na którą patrząc, mimowoli pytamy: Gdzie ów Zeus potężny: „stwórca bogów i ludzi“¹⁾, którego postać Fidyasz w tak przepysznych oddał kształtach, iż jeden ze współczesnych mu poetów woła: „Fidyaszu, albo Pan Olimpu okazał się tobie, albo ty zdołałeś dostać się do przybytku bogów, byś go oglądał!“

W posągu tym Zeus był przedstawiony nie jako władca ciskający pioruny, ale jako Pan łaskawy, z miłością patrzący na świat i ludzi. Była to postać, przedstawiająca nadludzką potęgę ducha, wcieloną

¹⁾ Głowę Zeusa w Watykanie mylnie biorą niektórzy za starożytną kopię Jowisza Olimpijskiego; jest-to dzieło Fidyasza ale w innym duchu pojęte.

w najdoskonalsze kształty człowieka i jako taka odpowiadająca najlepiej charakterowi sztuki greckiej. Trzeba wiedzieć bowiem, że postać Zeusa, równie jak cześć dla niego, z biegiem wieków rozmaitym ulegały zmianom. W przedświcie helleńskich dziejów, kiedy, według starożytnej legendy, gołębica z Egiptu przylatująca, przemówiwszy ludzkim głosem, nakłoniła lud Pelazgów do wzniesienia Jowiszowi pierwszej świątyni w ciemnych borach Dodony, wtedy mistyczna postać władcy niebios była odbiciem egipskiego Ammona. Grekom jednakże, obdarzonym ognistą fantazyą, wspólną wszystkim ludom aryjskim, nie wystarczało to mistyczne pojęcie bóstwa; uzmysłowili je zatem, czyniąc Zeusa bohaterem mytów, zaczerpniętych z azyatyckich religij.

Za czasów Fidyasza owe myty były już ustalone; Zeus, jak drugi Indra w Rig-Weda, pokonawszy wrogie sobie żywioły, królował w spokoju i majestacie. Takim go też przedstawił arcymistrz grecki; posąg zaginął, niestety, w toni wieków, posiadamy jednakże odbicia na medalach i monetach olimpijskich. Ze świątyni Zeusa w Olimpii możemy objąć okiem kształty i kierunek wszystkich gmachów, które się dokoła tej głównej budowy wznosiły. Od strony północnej widzimy najpierw oryginalny, pięciokątny przybytek, poświęcony pamięci Pelopsa, obok niego zaś witają nas znów rzędy kolumn doryckich wpośród ogólnego zniszczenia, jakby cudem dość dobrze zachowane, co tem więcej zdumiewa, ponieważ kolumny te należą do świątyni Hery ¹⁾, najdawniejszej ze świątyń olimpijskich.

W pobliżu tych ruin spostrzegamy niewielką, ale dziwnie piękną kapliczkę okrągłą, zdobną jońskiemmi kolumnami, dokoła których leży w odłamach drobnych przepyszne rzeźbione gzemzy. Budowa ta

¹⁾ Świątynia Hery była pierwotnie z drzewa budowana.

pochodzi z r. 388 przed Chr., a wzniesioną została przez Filipa Macedońskiego i to na uczczenie zwycięstwa nad Ateńczykami.

Po przeciwległej stronie świątyni Hery, pod samym wzgórzem Kroniosa, stał niegdyś szereg wspinających zabudowań; były to skarbcce, w których składano dziękczynne dary za zwycięstwa, przy igrzyskach odniesione, oraz błagalne ofiary dla bogów. Każde z miast głównych Hellady miało swój skarbiec oddzielny.

Rozległą przestrzeń między skarbcami a wschodnim murem „Altis” zajmowała „Agora”, t. j. rynek główny, obwiedziony krytymi galeryami i kolumnadą, wzdłuż której przeprowadzone były wodociągi, zasilające liczne wodotryski i rezerwoary Olimpii wodą rzeki Alfejos.

Prócz świątyń i gmachów bogom poświęconych, mieściły się w Olimpii po za obrębem „świętego gaju” (Altis) liczne budowle, przeznaczone na pomieszczenie dostojnych gości i wyższych urzędników w porze igrzysk olimpijskich.

Jeden z tych przybytków, na cześć bohatera Leonidasa wzniesiony, służył greckim, a później rzymskim dygnitarzom za mieszkanie. Tuż obok stanął w późniejszych wiekach mały kościółek bizantyński, ze szczątków pogańskich świątyń zbudowany, a w 6-em stuleciu trzęsieniem ziemi obalony.

Przy drodze, wiodącej wzdłuż murów „Altis”, spotykamy co krok marmurowe podstawy, na których niegdyś umieszczone były posągi zwycięzców olimpijskich, albo też posągi Zeusa z brązu odlane, kosztem tych zapaśników, którzy przekroczyli ustanowione przy igrzyskach reguły.

Niejeden z czytelników moich zapyta zapewne z ciekawością, kędy mieściły się owe niezliczone tłumy pielgrzymów, przybywających w czasie igrzysk. Otóż publiczność ówczesna nie była wybredna, więc rozkładano się obozem na wzgórzach otaczających

dolinę, a o świcie zasiadano na sztucznych nasypach i stopniach dokoła areny.

Dygnitarze, sędziowie, zapaśnicy i ich mistrze, złożywszy bogom ofiary, przechodzili z Agory krytem, sklepieniem, po dziś dzień wybornie zachowanym przejściem do areny.

Igrzyska rozpoczynały się wyścigiem pieszym wzdłuż przestrzeni na 211 metrów długiej (Stadion), dalej następowała walka na pięście, z której nawet zwycięzcy nie zawsze cało wychodzili, czego dowodem przechowany w muzeum posąg jednego ze zwycięzców z wieńcem oliwnym na głowie, ale z obrzękłą twarzą i mocno napuchniętymi uszami.

Koroną igrzysk były, jak wiemy, wyścigi konne i na wozach, znane nam z precudnych pieśni Homera. Często jeźdźcy obaleni, krwią zalani, leżeli w piasku areny; jeśli wszakże konie same dobiegły pierwsze do mety, to właściciele czekały wieńce i nagrody, a zwyciężkim koniom stawiano posągi.

Walki atletów zbrojnych, gry rozmaite, ciskanie lancy, kamieni, przesadzanie zapór i zapasy chłopiąt urozmaicały zabawy, do których zwyczajem wschodnim kobiety nie były przypuszczane.

Ostatni dzień przeznaczony był na rozdawanie nagród; nagrodą był skromny wieniec, uwity z oliwnych gałązek poświęconego bogom drzewa, ale uzyskanie tego wieńca było szczytem szczęścia dla Greków.

Zwycięzca, otoczony czcią i szacunkiem współobywateli, wolnym był od podatków, zajmował najwyższe miejsce w teatrach i na zgromadzeniach ludowych, a jeśli po trzykroć zwyciężył, stawiano mu posągi.

Ale nietylko atleci i jeźdźcy, również malarze, lutniści i poeci ubiegali się w Olimpii o wawrzyny sławy. Rzeźbiarze, podnieceni widokiem tych ciał zręcznych, gibkich a silnych, szukali tu najpiękniejszych wzorów; poeci układali hymny na cześć zwy-

ścieżców. Słowem, w Olimpii święci Grecya swój tryumf najwyższy piękna i siły.

Aby się przypatrzeć zblizka arcydziełom tej niepowrotnej epoki sztuki, zajrzyjmy do olimpijskiego muzeum, otworzonego przed 6-ciu laty, gdzie złożono rzeźby, z największym mozolem z drobnych odłamów i okruchów sklejone.

W pierwszej sali, naprzeciw wejścia umieszczona, wita nas bogini zwycięstwa Nike, dłuta Pajoniosa¹⁾. Twarz, odrąbana niestety, ale postać cała, dumnie i śmiało zrywająca się ku niebu, jedną stopą zaledwie dotyka podstawy i z niezrównanym oddaniem jest wdziękiem. Przez miękie faldy draperyi, z którą wicher igrac się zdaje, przezierają kształty silne a powabne. U stóp bogini orzeł, równie jak ona, unosi się w przestrzeń nieba.

Temu samemu mistrzowi przypisują frontony świątyni Zeusa, w tych jednakże nie widzimy wcale tego wykończenia, jakie podziwialiśmy w posagu „Nike.“ Niektóre postacie tej wypuklorzeźby dość grubo są ociosane, trzeba jednak wziąć na uwagę, że mistrz zajęty tu był jedynie wrażeniem, jakie wywoła całość z dołu, a więc zdała widziana.

Na jednym fryzie przedstawiony jest mýt o Pelopsie i Oinomosie. Temu ostatniemu, jak wiadomo, przepowiedziała wyrocznia, iż zginie z ręki swego zięcia, nie chcąc więc oddać nikomu swej córki, pięknej Hippodamei, Oinomos wzywa do wyścigów każdego pretendenta. Punktem wyjścia był ołtarz Zeusa w Olimpii, celem — świątynia Neptuna w Koryncie. Na tej długiej drodze pozbywał się zwykle król niemitych mu konkurentów. Pelops jednakże, przekupiwszy woźnicę Oinomosa, wygrywa zakład, a z nim i rękę Hippodamei.

Rzeźba przedstawia w pośrodku Zeusa; po je-

¹⁾ Pajonios żył w piątym stuleciu przed Chr.

dnej stronie Pelops zwraca się ku swej narzeczonej, po drugiej Oinomos, pewny zwycięstwa, dumnie opiera się na swej lancy; po rogach umieszczone są rumaki, a w samych kończynach pelzające postacie przedstawiać mają rzeki: Kladeor i Alfejos.

Na przeciwległym fryzie widzimy znów Tezeusza w walce z centuarami, którzy porywają narzeczoną Perithosa. W pośrodku Apollo (bóg światła, zwycięzca potęg złowrogich) rękę opiekuńczą wyciąga nad pasującą się z centaurami narzeczoną.

Obok fryzów umieszczone są metopy, które zdobiły niegdyś ściany świątyni, a przedstawiają prace Herkulesa.

Na jednej z nich Herkules, uzbrojony w olbrzymią miotłę, w bardzo realistycznej pozie, czyści stajnię Augiasza. Z największej zaś płaskorzeźby wyobrażającej pokonanie byka na Krecie, niestety, tylko głowa byka znalezioną została; inne odłamy przewieźli Francuzi do muzeum Luwru.

W drugiej sali muzeum stajemy przed arcydziełem Praksitelesa; posąg przedstawia Hermesa w postaci młodzieńczej, piastującego na ręku dziecię (Dyonizosa). W drugiej ręce, do góry wzniesionej, trzyma Hermes grono winne, do którego Dyonizos (Bachus) chciwie rączkę wyciąga.

Stanąwszy przed posągiem, pytamy mimowoli, czy kształty tak piękne istnieć mogą w naturze? czy ktokolwiek ze śmiertelnych może mieć w obliczu ten wyraz spokoju, swobody i nadziemskiego szczęścia?

Postać Hermesa jest istotnie nadludzko piękną, a jednak tak pełną życia i ruchu, iż zdaje się, jakoby fala krwi cieplej płynęła pod marmurem, pożyłkłym nieco pod wpływem czasu i tem wierniej przez to naśladowującym barwę ciała.

Mistrzowską rękę znać szczególnie w układzie włosów i ugięciu szyi, jako też w oddaniu mięśni niezbyt wydatnych, a pulsujących życiem i młodzieńczą siłą.

Posąg Hermesa jest najszczytniejszym wyrazem sztuki greckiej; treść duchowa, choć promieni się w tej postaci, zlewa się jednak w nierozzerwalną całość i jedność z doskonałością formy. Dlatego też trudnoby było modlić się wobec tak przedstawionego bóstwa; chyba patrząc nań długo, możnaby zostać poganinem i ubóstwiać samą formę, boć ta forma jest tu bosko piękną.

Arcydzieło Praksitelesa budzi podziw nie tylko u znawców i turystów, ale jest przedmiotem chluby dla ludu greckiego. Przewodnik mój po Olimpii, ubogi wyrobnik grecki, wszedłszy do sali, położył palec na usta na znak niemego podziwu, poczem zachodząc to z lewej, to z prawej strony, zwracał uwagę moją na rysunek głowy i układ rzeźby, wreszcie odchodząc, rzekł do mnie naiwnie: „Teraz podziękuj Panu Bogu, że ci pozwolił oglądać największe arcydzieło świata.“

W dalszych salach muzeum złożone są odłamy rzeźb, posągi cesarów rzymskich, których większa część potraciła głowy, i rozmaite przedmioty wśród ruin znalezione, a więc: statuetki bogów, szczątki dzemsów, ozdoby wodotrysków i starożytne naczynia na wodę, przypominające kształtem egipskie „gulle.“

Pokazywano mi także wielki kamień, który dwóch ludzi zaledwie dźwignąć mogło, na kamieniu zaś znajduje się napis, iż jeden z atletów przerzucił ten kamień przez wskazaną mu metę.

Między rzeźbami zauważyłam dwie śliczne główki: głowę Afrodyty, dłuta Praksitelesa, i drugą, malutką, z zalotnym uśmiechem i dołkami w twarzy; była to zapewne gracya lub nimfa.

Najciekawsze są jednak zabytki starożytnej archaicznej epoki; między niemi zwraca uwagę głowa Hery, malowana dość niezręcznie, a okrągłemi oczami i dobrotliwym uśmiechem ust grubych, przypominająca azyatyckie bóstwa. Między bronzami zaś znaj-

duże się odłam tarczy, na której przedstawiona sztywna skrzydlata Artenis, przypominała mi postać Izydy ¹⁾, powiewającej skrzydłami nad ciałem Ozirysa.

W pomnikach tej dawnej epoki nie dostrzegamy jeszcze ani cienia tego piękna, które jest cechą późniejszych arcydzieł. Znać, że geniusz grecki nie był tu jeszcze sobą, a kształcąc się na wzorach wschodnich, skrępowany przyswojonemi pojęciami, szukał dopiero odpowiedniej sobie formy, aby się w niej objawić w całej swej potędze.

Dlatego też w niektórych dziełach widzimy już pewną dążność do wyłamywania się z pod form narzuconych, bądź w układzie rąk i postawy, bądź w wyrazie twarzy. Podobnie jak azyatyckie myty pod greckiem niebem tracą wkrótce mistyczną mglistość i stają się dziejami bohaterów, tak i symboliczne wschodnie bóstwa pod dźwiękiem Greków nabierają prawdy i życia, wcielają się w kształty ziemskie. Treść religijna traci na tem, zaciera się często w tej formie, bo też nie możemy mitologii greckiej uważać za religię; nie stawia ona dogmatów, nie nadaje praw i przepisów moralnych, a chociaż kryje często prawdy głębokie, jest tylko, jak wiadomo, alegorycznym przedstawieniem zjawisk natury.

Greki nie oddawali się mistycznym rozmyśleniom o tajemniczej potędze bóstwa, jak to czynił Egipcyanin, nie zrywał się też jak chrześcijanin tęsknotą ducha w sfery nadziemskie, ale zaludniwszy świat swój bogami, czynił ich odpowiedzialnymi za swe błędy i cnoty, i żył w zgodzie a jedności z przyrodą...

Duch ludzki święcił w Helladzie dni niepowrotnej pierwszej młodości, tej młodości, co nie pyta o przeszłość, nie zna troski o jutro, ale żyje pełnią życia, czuje w piersiach całą rozkosz istnienia.

¹⁾ Muzeum starożytności egipskich w Kairze,

Dlatego też z arcydzieł tej epoki, jak ze źródeł kastalskiej krynicy, płyną po dziś dzień strumienie ożywcze wiecznej młodości... natchnienia, zachwytu.

ROZDZIAŁ XIX.

Rzut oka na dzisiejsze stosunki Grecyi.—Podróż z Patrasu do Koryntu i do Aten: Eleusis. — Przybycie do Aten.—Nowożytne miasto.—Świeże wykopaliska w Akropolis. — Muzea i zbiory starożytności. — Phaleron. — Pireus.

Odwagi potrzeba dziś istotnie, aby, stanąwszy na ziemi greckiej, chwycić za pióro i opisywać kraj znany każdemu, rzec można „na pamięć,” bądź ze studyów młodzieńczych, bądź z rozmaitych, mniej lub więcej ulotnych lub poważnych opisów.

Jednakże, jak pod względem archeologicznym grecka ziemia niewyczerpaną jest po dziś dzień skarbnicą, tak i stosunki jej dzisiejsze, jej społeczność, kształtująca się dopiero i rozpoczynająca nowe życie, otwierają szerokie pole dla studyów i nowych spostrzeżeń.

Wyznać też potrzeba, iż niejedno fałszywe pojęcie istnieje u nas o nowożytnej Grecyi; po okresie chwilowego entuzjazmu filhellenów nastąpiło jakoby rozczarowanie, iż lud dzisiejszy grecki nie dorównał starożytnym swoim praojcom; jeśli wszakże zwążymy warunki, w jakich naród ten pozostawał przez wieki, jeśli spojrzymy na zgłiszcza i ruiny, które po ustąpieniu Turków jedynem pozostały mu dziedzictwem, to zdziwić się istotnie musimy, że Grecya w przeciągu lat kilkudziesięciu i tak znacznie w kulturze postąpiła.

Gnuśności wschodniej zarzucić Grekom nie można, przeciwnie, naród to energiczny, ruchliwy, pełen sprytu i buty. Jest on jednak lepszym przemysłowcem, niż rolnikiem, co i stąd może pochodzi, że w wielu okolicach, jak w Attyce na przykład, walczyć mu przychodzi przy uprawie ziemi z ciężkimi trudnościami. Nie można jednak powiedzieć, aby ziemia grecka była wogóle ubogą; doliny i wybrzeża Peloponezu są nawet bardzo żyzne.

Nędzy prawdziwej, tej nędzy, co żebrać musi o chleb codzienny, nie spotykamy prawie w greckich wioskach. Pomimo, że znaczne podatki i opłaty ciężą przeważnie na klasie uboższej, na kupcach i rolnikach. Wieśniak grecki, w Peloponezie szczególnie, jest często bardzo zamożny; żyje jednak tak nędznie, jak żebrak najuboższy u nas wyżyłby zaledwie zdolął. W chatach greckich niema ani łóżka, ani stołu, ani innych niezbędnych sprzętów; słomiana rogoża służy za pościel, a kamień zastępuje stół. Codzienne pożywienie wieśniaków składa się z surowych jarzyn, ryb suchych, owczego sera i mleka.

Pomimo tak nędznego wyżywienia, lud jest silny i czerstwy, często drobnej postawy, ale muskularny.

Przemysł krajowy polega na tkaniu welnianych makat i dywanów, na wyrabianiu cienkich, tak bawelnianych, jak i jedwabnych tkanin¹⁾.

W niedzielę wieśniaczka grecka zarzuca na głowę zasłonę z jedwabnej gazy, a w warkocz wplata kilkadziesiąt złotych ciężkich monet; wieśniak zaś ubiera się w dolman bogato złotem szyty, zamiast rogoży rozściela w chacie barwny dywan, własnoręcznie tkany, i zwykłą swą ucztę z cebuli i rzepy popija szklanką wina, zaprawnego żywicą²⁾

¹⁾ W Kalamacie istnieje obecnie fabryka przepysznych tkanin jedwabnych.

²⁾ Wina greckie łatwo ulegają fermentacji, dlatego zaprawiają je żywicą.

Całem bogactwem Peloponezu są dziś, jak już wspomniałam, korynty. Uprawa ich zapewnia zysk pewny i łatwy i nie wymaga sztucznego nawodnienia roli, co przy uprawie zboża letnią porą w niektórych okolicach Grecyi jest koniecznem z powodu braku deszczów.

Dlatego też uprawa zboża jest zaniedbaną; każdy wieśniak na swym kawałku gruntu zasadza korynty; ryzykowna to nieco gospodarka, gdyż opierając się na jednym tylko produkcie, w razie filoksery lub innej podobnej klęski, zagraża ruiną całej krainie¹⁾.

Dziś jednakże na całej przestrzeni od zatoki Arkadyi aż do Koryntu widać pola zasadzone wyłącznie koryntami. Jest to najżyźniejsza, a zarazem najpiękniejsza okolica Grecyi; szczególnie przy drodze wiodącej z Patrasu do Koryntu otwierają się przed nami niezrównane krajobrazy. Z powodu gór niedostępnych w głębi Peloponezu, kolej żelazna prowadzona jest nad samym brzegiem morza, które wąską wstęgą wody, jakby spokojna, cicha rzeka, przedziela oba wybrzeża, to odbijając ich zieleń jaskrawą, to przybierając tęczowe barwy greckiego nieba.

Gdziekolwiek wybrzeża tworzą strome ściany, a przez przepaście i szczeliny, roztwierające się między górami, przedzierają się ku morzu rącze spienione strumienie.

Rzeki te, zwilżając wybrzeża i zasilając wodą miasta i wioski, przynoszą błogosławieństwo całej krainie; dlatego też do każdej z nich przywiązane są odwieczne legendy i baśnie. Niestety, letnią porą niektóre z nich wysychają zupełnie. O jednym z tych strumieni, w pobliżu Patrasu, istnieje legenda, że kto o świcie wykąpie się w jego falach, ten nie dozna nigdy uczucia miłości; wistocie, woda tej rzeki tak jest zimną, że najgorętsze zapaly ostudziłyby mogła.

¹⁾ W chwili, gdy to piszę, popłoch panuje tu ogólny z powodu narośli, pokazującej się na winogronach.

Dążąc z Patrasu do Koryntu mijamy najpierw wysunięte w morze przylądki: Rhion i Antirhion, tworzące wąską cieśninę Lepanto, czyli tak zwane „Małe Dardanelle;“ dalej stację Aeghion, noszącą dziś słowiańską nazwę „Vostica“, i miasteczko „Akrata,“ położone w pobliżu starożytnego grodu Aegea i ruin Egeiry, tej ulubionej dziedziny Posejdona, który zdaniem Homera, w tych stronach, pod falami Korynckiej zatoki posiadał swe czarodziejskie podwodne pałace.

Na przeciwległym zaś wybrzeżu Liwadyi ukazuje się potężny szczyt Parnasu, błyszczący śniegiem w najskwarniejszych dniach lata; pod cieniem olbrzymiej góry kryje się wśród skał dzikich święta dolina Delphi, słynna niegdyś świątynią i wyrocznią Apollina. Dziś, niestety, prócz kilku w skałach wykutych grobowców, prócz murów smutnie gdzieniegdzie sterzących i kilku kolumn pokruszonych, niema ani śladu dawnej wspaniałej przeszłości. Tylko kastalska krynica sączy się między skałami i szemrze jak przed laty!

Przed samym Koryntem krajobraz zmienia się nieco; góry Peloponezu zniżają się znacznie i tworzą niezbyt wyniosłe wzgórza, bardziej skaliste, niż w okolicach Patrasu. Na jednym z takich pagórków wznoszą się dumnie ruiny wspaniałej Akropolii korynckiej, zwanej niegdyś „kluczem i bramą Peloponezu,“ a przebudowanej przez Weńecyan i Turków

Tuż za Koryntem, minąwszy most rzucony nad przekopem, wjeżdżamy na wybrzeża Attyki.

W dali na falach morza ukazuje się odludna dziś wyspa Egina, a za nią Salamina, słynna nie tylko ze zwycięstwa Temistoklesa, ale także ze swych kur, kaczek, indyków, z owoców i miodu.

Naprzeciw Eginy, nad samą zatoką morza leży Eleuzis, poświęcone niegdyś najszczytniejszym tajemniczym obrzędom greckiej wiary. Niezbyt dawno, bo w r. 1885, odsłonięto główną, część gruzów sta-

rożytnej świątyni, w której, jak wiadomo, odbywały się misterye na cześć bogini Demeter i jej córki Kory, czyli Prozerpiny, porwanej do Hadesu, i przedstawiającej siłę żywotną natury, co po chwilowym uśpieniu znów się budzi i zmartwychwstaje.

Na jednej z płyt marmurowych, dobytých z gruzów świątyni, czytamy napis, według którego w Eleuzis uczono tej wielkiej prawdy, iż „śmierć nie jest złem, ale zbawieniem i dobrodziejstwem dla ludzi,“ a wtajemniczeni w obrzędy święte adepci „czerpią w nich słodkie nadzieje nie tylko na życie doczesne, ale również na wieczność całą.“

Przypuszczeni do misteryj eleuzyjskich uczestnicy przebyć musieli rok próby, oczyścić się wodą zrodzów świętych i wyznaniem win, w życiu popełnionych, poczem uczestniczyć w mistycznej wspólnej uczcie i obrzędach.

Jako znak symboliczny, pokazywano im kłos zboża albo ziarno, które, „choć pogrzebione w ciemnym łonie ziemi, budzi się znów później do życia.“

Co do arcydzieł i zabytków sztuki, znalezionych w Eleuzis, to wspomnę tu tylko o znajdującym się obecnie w muzeum ateńskim posągu Euboleusa Plutona i płaskorzeźbie, przedstawiającej Demeter, ofiarującą ziarno zboża Triptolemowi, uczniowi swemu. Obie rzeźby mają być dziełem Praksytelesa.

Z Eleuzis „via sacra“ (święta droga), dość dobrze zachowana, prowadzi do Aten. Dzisiejsi śmiertelnicy o wiele śpieszniej jednak dostają się do Aten koleją żelazną, wijącą się pomiędzy skałami, otaczającymi Thriaską, a później Attycką równinę.

Przybycie do Aten nie należy wcale do najmiłszych przygód podróży po Grecyi. Jeszcze pociąg jest w ruchu, a już zgraje przewodników, faktorów i obdartych chłopaków wskazują do wagonów, ofiarując z krzykiem swe usługi, najczęściej łamaną francuzczyzną; szarpia oni i wydzierają sobie wzajem podróżnych w sposób nielitościwy.

Nieład panuje wszędzie niesłychany, a przytem dziwna jakaś demokracja, charakterystyczna w całej Grecji.

Najuboższy robotnik zasiada w poczekalni 1-ej klasy, jeśli nie znajdzie miejsca w innych salach, i nikt go nie śmie wyprosić, ponieważ może on należeć do grona wyborców, których głos przeważy szalę w walce parlamentarnej.

Zato widok miasta jest istną niespodzianką dla tych, co przywykli do miast wschodnich. Nowożytnie Ateny, to prawdziwy klejnocik pod względem elegancji, stylu, a nawet (*c'est beaucoup dire* jak na Grecję)... czystości.

Ulice szerokie, wygodne chodniki, wspaniałe hotele, elektryczne lampiony każą nam zapominać, że jesteśmy na wschodzie. Tylko magazyny i sklepy w porównaniu do tych ulic dość są nędzne, a to z tej przyczyny podobno, że bogatsi mieszkańcy Aten wstydzą się zakupywać towary we własnym kraju i sprowadzają wszystko z zagranicy. Zupełnie jak u nas.

Domy w Atenach nie są zbyt wysokie, a zazwyczaj zewnątrz ozdobne, co im nadaje pozór pałaców; zieleni wiele. Najmniej gustowny jest pałac króla, otoczony za to przepyszny cieniastym parkiem, zazwyczaj otwartym dla publiczności. Front pałacu zwrócony jest na plac Konstytucji, tworzący centrum nowego miasta. Przed pałacem przechadza się gwardya królewska w kostyumach greckich, t. j. krótkich a fałdzistych *sustanellach* i jasnych pończochach; zdala wygląda ta gwardya jakby grono baletniczek.

Wieczorami przygrywa na placu niezła wojskowa kapela, a dokoła przez otwarte okna domów dochodzą dźwięki licznych fortepianów, bo, niestety, „fortepianomania“ na klasycznej ziemi, równie jak u nas, grasuje w sposób przerażający.

Ruch na ulicach nie jest zbyt ożywiony, gdyż

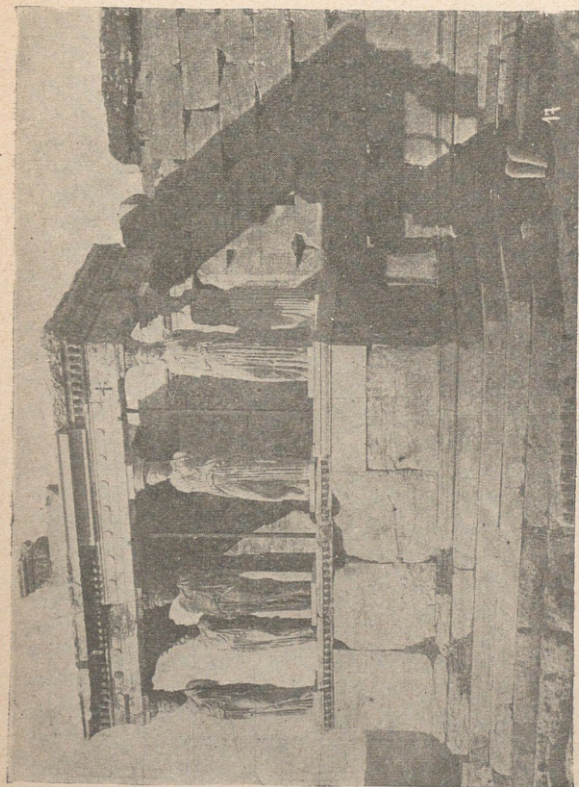
grecka publiczność, zwyczajem wschodnim, nie przechadza się wiele, ale za to długie godziny przesiaduje przed „konfekcyonami“ i cukierniami.

Kobiet nie spotykamy wiele; wiedzą one, jak już wspomniałam, ciche życie domowe; mężatki odwiedzają się wzajem, a panny czekają na... mężów, bo jest to ogólnym zwyczajem, że panna „musi“ wyjść za mąż, gdyż bracia nie mogą się żenić, dopóki nie wyposażą i nie wyjadzą sióstr swoich. Istnieje tu także dziwny zwyczaj, że w dniu ślubu cała wyprawa panny młodej, zacząwszy od sukien, a skończywszy na meblach, w otwartych pojazdach, powoli, obwożona bywa i pokazywana w całym mieście.

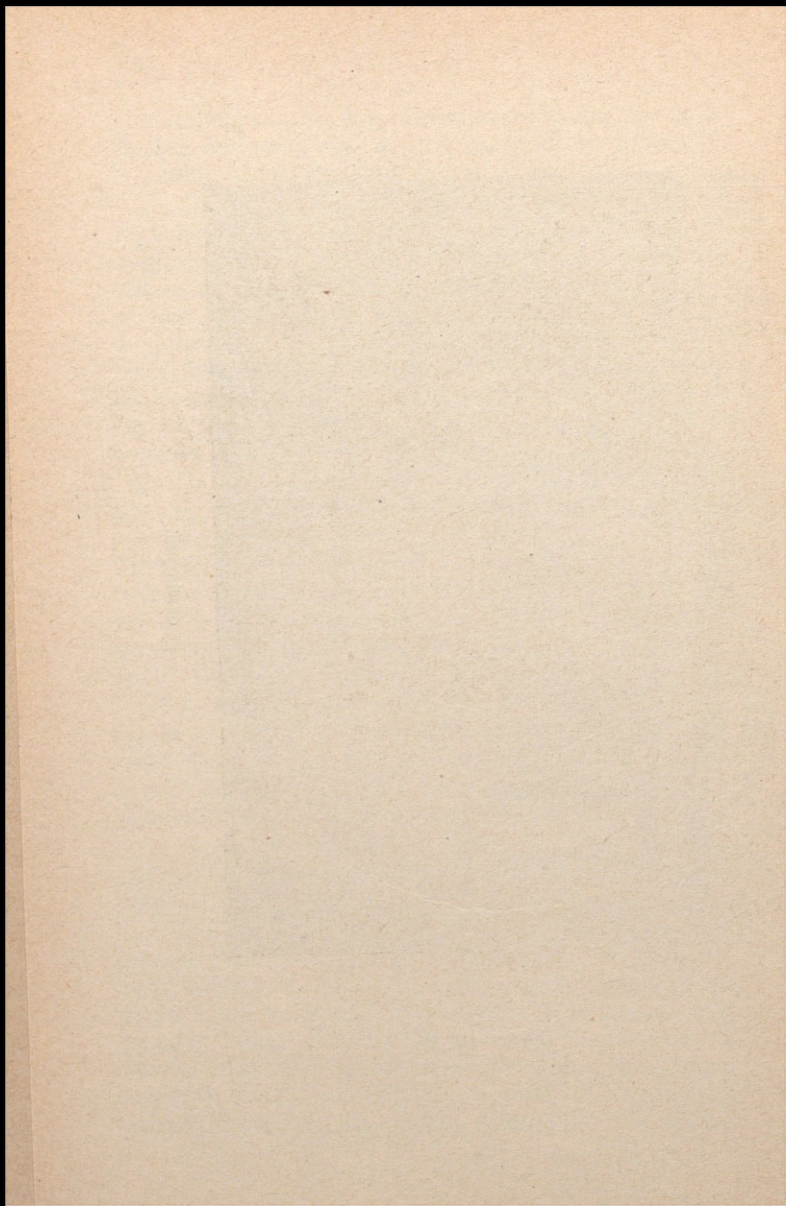
Co do stosunków towarzyskich, to wspomniałam już, iż spotykamy się tu z zupełną równością stanów, o rodową arystokrację nikt tu nie pyta. Jest ona też bardzo nielicznie przedstawioną przez rodziny tak zwanych Fanaryotów, t. j. potomków dawnych mieszkańców przedmieścia „Fonar“ w Konstantynopolu, od wieków zamieszkałego przez zamożnych Greków.

Arystokracji niema więc w Grecyi, jak jej niema na całym Wschodzie, gdyż pod jarzmem tureckim nie mógł się wytworzyć stan rycerski, ten żywioł potężny, który w średnich wiekach stał się na zachodzie podstawą towarzyskich stosunków.

Naprzeciw pałacu królewskiego, wzdłuż parku, szeroki bulwar, ocieniony platanami, prowadzi do kończyn nowożytnego miasta, t. j. do bramy Hadryana. Dziwnego tu istotnie doznaje się wrażenia, gdy przechodząc tym modnym bulwarem, słysząc tuż obok świst parowego tramwaju, stajemy nagle przed korynckimi kolumnami Olimpejonu, tego olbrzymiego gmachu, który Hadryan nie na cześć Zeusa, ale na chwałę własnego imienia wystawić kazał, jak o tem świadczy napis, zachowany na bramie: „To nie jest miasto Tezeusza, ale miasto Hadryana;“ z drugiej



Erechthejon.



zaś strony bramy, wychodzącej ku Akropolis, czytamy: „Oto miasto Tezeusza.“

Wistocie stajemy tu już na gruzach starożytnej stolicy greckiej; droga wije się w górę, w ślimaka prowadzona, ku murom Akropolis; pod skałą szerokim półkolem rozsiadł się teatr Dyonizyosa, najdawniejszy i najobszerniejszy w całej Grecyi. Sama scena jednak dziwnie szczupła i wązka, nie rozumiem, jak się aktorowie greccy w tak ciasnej przestrzeni poruszać mogli, zato na wykutych w skale stopniach, na marmurowych krzesłach i fotelach, przeznaczonych dla dygnitarzy, około 30,000 widzów pomieścić się mogło.

Pod sceną znajduje się grota podziemna, w której odbywały się niegdyś religijne misterye na cześć Bachusa i bogini Demeter, dające początek późniejszym dramatycznym przedstawieniom.

Z teatru Dyonizyosa przejść możemy stromą ścieżyną w górę do świątyni Aisklepiosa (Eskulapa), gdzie obok obszernych krużganków, przeznaczonych na pomieszczenie chorych, pokazywano mi źródło słono-żelazistej wody; służyła ona zapewne kapłanom greckim jako cudowny środek leczniczy, za który jednak bożek dość drogo płacić sobie kazał, czego dowodem są wzmianki o wotach i darach, składanych w tej świątyni.

Potężne mury Akropolis, wkopane w skałę, ale dziś w większej części w gruzach leżące, przedzielają Aisklepiion od Parthenonu, do którego dostajemy się zazwyczaj drogą przez Propyleje. Przebywszy wygodnie w górę wiodące aleje, stajemy u bram twierdzy na szerokim nasypie, pokrytym gruzami i tureckimi nagrobkami. Z wyżyny tej widok mamy wspólny; z jednej strony na miasto, roztaczające swe lśniące, białe mury ku szarym kamiennym szczytom Lykabettu, a z drugiej na srebrzące się w dali fale zatoki Saronńskiej, na wyspy i malowniczo wykrojo-

ne wybrzeża. U stóp zaś naszych, tuż pod murem Akropolis, otwierają się przepaście, piętrzą się wzgórzka i skały, z których każda dźwiga gruzy i wspomnienia odwieczne.

Najniższa z nich, dołem poszarpana w urwiska, u góry rozszerzona, to dawny Areopag. Nieco dalej widać z olbrzymich głazów utworzony, sztuczny amfiteatr Pnyksu, po dziś dzień przez lud ateński zwany mównicą Demostenesa. Naprzeciw zaś Parthenonu, przedzielony szeroką przepaścią, wznosi się groźny Mussejon ze szczątkami Philipaposa. W skale tej wykute są szerokie groty, które zapewne służyły za grobowce, a które lud zowie więzieniem Sokratesa.

Nie myślę tu dawać szczegółowego opisu starożytnych gmachów ateńskich — bo któż ich nie zna, choćby tylko z obrazów i dzieł historycznych; wyznać jednak muszę, iż w rzeczywistości gruzy te budzą nietyle podziwu i zachwyty, ile żalu i oburzenia przeciw wszystkim, zarówno cywilizowanym, jak dzikim najeźdźcom, którzy się przyczynili do zniszczenia arcydzieł tej niepowrotnej epoki.

Parthenon — rozdarty na dwoje bombą Königsmarka ¹⁾, poczerniały od dymów, złupiony przez szkockiego lorda — czyni dziś wrażenie wspaniałego szkieletu, który wyobraźnia nasza z wielkim trudem ubierać musi w pierwotne kształty.

Każde stulecie pozostawiło na jego ruinach ślady przejścia, wgrzyzło się w jego mury, jak robak w trumny łono. Na jednej ścianie widać malowidła bizantyjskie, gdyż Parthenon w pierwszych wiekach naszej ery przerobiony był na kościół Najśw. Maryi Panny. Z drugiej strony znajdują się szczątki tureckiego meczetu, w którego zniszczonej wieży gnieźdzą się dziś setki jaskółek i świergocą wesoło, nie dbając o dawną sławę tych murów.

¹⁾ W czasie wojny weneckiej i oblężenia przez Morosiego w r. 1687.

Wszystkie kolumny Partenonu pokryte są wyrytymi w marmurze napisami i nazwiskami. Znalazłam na jednej z nich napis w języku polskim: „Maryo! tę łzę poświęcam Tobie!“ Podpis nieczytelny; ale mnie przyszło na myśl, że mógłby to być napis Słowackiego, który podobno lubił zostawiać takie wspomnienia na gruzach przez siebie zwiedzanych.

Ze wszystkich świątyń w obrębie Akropolis najlepiej zachowany jest przedsionek Erechtejonu, ten niezrównany klejnocik jońskiego stylu, którego strop spoczął nie na kolumnach, ale na kobiecych, dziwnie wdzięcznych i kształtnych posągach. Niestety, i ten gmach złupiony został przez lorda Elgina, który dwie karyatydy uwiózł do Londynu. Jedną z nich zastąpiono w ostatnich czasach nowym posągiem; zdala jednak poznać można nową rzeźbę, bo chociaż zręcznie naśladowana, niema ona tej swobody w postawie i w ugięciu głowy, jakimi odznaczają się starożytnie posągi.

Prócz arcydzieł z epoki Peryklesa, Akropolis ateńska posiada o wiele dawniejsze, przed kilku laty odsłonięne i z gruzów wydobyte pamiątki. Wiadomą jest dziś rzeczą, iż przed wojnami perskimi istniały już w obrębie Akropolis gmachy i budowle (po części drewniane), które Persowie do szczętu zniszczyli; Ateńczycy zaś nie zadali sobie później trudu, aby te obalone budowle podnosić, ale na ich gruzach, użytych na podwaliny, wzniesli nowe, świetniejsze gmachy. Otóż przed kilku laty (w r. 1885 i 1888) rozpoczęto pracę nad odkopaniem owych pierwotnych zabytków sztuki i tuż pod Parthenonem odkryto ruiny starożytnej świątyni Minerwy; z gruzów tych wydobyto wiele rzeźb cennych, które, choć zniszczone i porąbane nielitośną ręką, dowodzą jednak, iż w tej odległej, przedśydiaszowej epoce, Grecy dzielnie już władali dłutem. Rzeźby te, pochodzące z 7-go i 6-go stulecia, złożono w osobnem muzeum w samej Akropolis; są one po większej części powleczone bar-

wami, snąc artysta nie ufa jeszcze sobie, aby dłutem mógł oddać życie i piękno w posągu, więc do barw się uciekał. A jednak niektóre z rzeźb tych oddane są z wielką prawdą i swobodą; takim jest np. posąg olbrzymi, przedstawiający walkę byka z tygrysam; głowa, którą byk, widocznie pokonany, z ostatnim podnosi wysiłkiem, jakkolwiek pomalowana na kolor błękitny, jest istotnie mistrzowsko rzeźbiona, również jak potężne łapy tygrysów, rozdzierające tułów byka.

Jedna z sal muzeum zapełniona jest posągami kobiet, zapewne kapłanek Minerwy, gdyż strojem i postawą wszystkie te postacie podobne są do siebie; na długie, fałdzone chitony, używane zazwyczaj przy religijnych obrzędach, narzucony widzimy płaszcz lekki (himatyon), w jaskrawe wzory malowany. Włosy utrefione sztucznie, bądź wysoko śpięte dyademem, bądź, jak na azyatyckich posągach, w licznych spadają warkoczach. Kształty ciała nie są jeszcze dość wykończone i naturalne, na niektórych jednak posągach widzimy już to w układzie głowy, już w postawie samej, pewien wdzięk dziwny i widoczną dążność artysty do wyzwolenia się z narzuconej sobie, czy też zwyczajem przyjętej manieri.

Tylko w pełnych, nieco zmysłowych ustach, spostrzegamy wszędzie tensam dobrotliwy, stereotypowy uśmiech. Nawet w posągu, przedstawiającym walkę Herkulesa z Trytonami, tensam łagodny uśmiech ozdabia twarz walczącego półboga, równie jak twarze Trytonów, których brody noszą ślady barwy błękitnej. Prócz rzeźb z marmuru i kamienia, muzeum w Akropolis posiada także brzozy nie odlewane, ale mozolnie wykonane, prawdopodobnie z bardzo odległej pochodzące epoki.

* * *

Przeszedłszy wzdłuż i wszerek przestrzeń objętą murami twierdzy, natłukłszy nóg o starożytne kamie-

nie i gruzy, powróciliśmy do miasta przez dawne, niegdyś tureckie dzielnice, zaniedbane dziś i zamieszkałe przez najuboższą, wstrętnie brudną ludność grecką.

Po drodze zwiedziliśmy świątynię Tezeusza, która, choć wybornie zachowana, nie wydaje się tak wspaniała, jak gmachy w Akropolis, a to z tego powodu, iż wznosi się na ciasnej przestrzeni, w pośrodku nędznych lepianek i nowożytnych domków. Pod doryckimi kolumnami umieszczone są stoliki i krzesła greckiej kawiarni, a w przedsionku świątyni stara Greczynka, której powierzone są klucze przybytku, rozwiesza bieliznę i rozkłada swe gospodarskie sprzęty.

Dziwna losów zmiana!

Prócz opisanych powyżej zbiorów w Akropolis, Ateny posiadają inne jeszcze, nierównie cenniejsze zbiory starożytności, złożone tak w Muzeum centralnem, jak i w gmachu politechnicznym.

W zbiorach tych nie spotykamy wprawdzie wielu arcydzieł mistrzowskich, gdyż, jak wiadomo, najcenniejsze greckie rzeźby zdobią obce muzea, ale studyować możemy pomniki archaicznej epoki z VI i VII stulecia przed Chrystusem i z nich poznajemy, jak geniusz grecki kształcił się na wzorach wschodnich, jak powoli dopiero odpowiedniej szukał sobie formy. Bardzo zajmującym jest późniejszy nieco, z IV-go stulecia pochodzący zbiór nagrobków i urn przepysznych.

Uwagę moją zwróciły szczególnie dwa nagrobki: jeden z nich przedstawia młodzieńca w pełni życia i siły obok zgrzybiałego starca, t. j. życie obok śmierci; na drugim rzeźbiona jest postać młodej dziewczyny, która ze szkatułki wyjmuje klejnoty, jak gdyby stroić się chciała do grobu, czy też pożegnać swe ziemskie upodobania.

W gmachu politechnicznym złożone są wykopaliska z Mykene, Tyryntu, Tanagry i Sparty, tak

przez Schliemana wydobyte, jak i późniejsze. Zbiory te są istnemi skarbcami, nie tylko pod względem archeologicznym, ale i wartościowym. Podziwiałam tam korony i marki złote, naszyjniki, dyademy, misternie wyrobione puchary, alabastrowe i szklane kubki i urny, drobne przedmioty z kości słoniowej i t. zw. egipskiej niebieskiej porcelany, dalej sztylety i lance z brązu, ozdobione złotymi deseniami, kamee sztucznie żłobione, rozmaite paciorki, bursztyny i tysiące innych drobnostek, między którymi zauważyłam wielką ilość złotych blaszek i guzików.

Szkielety właścicieli tych przedmiotów spoczywają w osobnych oszklonych skrzyniach w tej postawie, w jakiej zostały znalezione przez Schliemana.

Zdziwiona byłam jednak, nie znajdując w tych zbiorach ani jednego posągu bóstwa, ani jednej rzeźby, w którejby symbol religijny był przedstawiony; drobne zaś figurki drewniane, które Schlieman uważać każe za fetysze, podobniejsze są do nieforemnych cacek, sprzedawanych na naszych wiejskich jarmarkach, niż do posążków starożytnych bożków. Wszystkie te przedmioty, tak różne od późniejszych greckich wyrobów, pochodzą z bardzo odległej epoki, bo z czasów, gdy plemiona karyjsko-fenickie na greckich osiedliły się brzegach.

* * *

Ostatni dzień pobytu mego w Atenach spędziłam na wycieczkach w okolice miasta. Zwiedziłam także Piréus, oddalony od Aten o kwadrans drogi koleją. Jest to jednak, mojem zdaniem, najnudniejsze miasto Grecyi. Nagie skały dokoła, białawy kurz ciśnię się ustawicznie do ust i do piersi, a jaskrawe promienie słońca, odbijając się od białych marmurowych domów, niemile rażą oczy. Cienia za żadną cenę nie kupić; kilka oskubanych akacyj, oto i cała wegetacya wybrzeża. Tylko port miasta wspaniale

się przedstawia z lasem masztów, żagli, kominów, z widokiem na rozległą zatokę i dalekie wyspy. W kilku miejscach nad starym portem widać szczątki dawnych murów, jednakże lew historyczny, strzegący w starożytności wejścia do portu, powędrował do Wenecji, uwiezony przez Morosiniego, i zdobi dziś arsenał wenecki. Tak to spuścizną po Grecyi niejedno się państwo szczyci!

O ile miasto Pireus nie przedstawia ponęty dla obcych turystów, o tyle znów śliczną miejscowością jest znajdujący się w pobliżu zakład morskich kąpiel, t. zw. nowy Phalleron; parowy tramwaj prowadzi z Aten do zakładu, a wieczorami zbiera się tu nad brzegiem uroczej zatoki morza cała publiczność ateńska, przy dźwiękach walca Straussa i kuflach piwa, co dowodzi, że kultura niemiecka i klasyczną obejmuje ziemię.

Co do mnie, to niezatarte wspomnienia uniosłam z tych wybrzeży. Zwiedzałam Phalleron ranną porą, gdy malownicze skały Attyki, szczyty Akropolis jaśniały w najpiękniejszym stroju rosy i promieni zorzy. W dali na falach morza kołysał się wojenny okręt francuzką ozdobiony banderą, a ponieważ była to niedziela, więc muzyka okrętowa przygrywała do mszy świętej poważne i rzewne hymny. Echem odpowiadały ruiny Parthenonu, w jasnej zarysowujące się przestrzeni i fale morza szemrały pacierz ranny.

Była to jedna z tych chwil niepowrotnych, co to błysną czasem w życiu ludzkim, upoją i rozkołyszą umysł... i zagasną, niestety, na wieki.

* * *

Zdawaćby się mogło, że kto najpiękniejsze lata życia spędzi w miejscowościach tak zajmujących i uroku pełnych, jak Egipt i Grecya, ten żyć się

z niemi musi, jak gdyby mu one rodzinnym były krajem.

Przekonałam się jednak na sobie, że polska natura nasza nie umie żyć się z obczyzną.

Niemiec przenosi swój „Heim“ w najodleglejsze świata krańce, a własne domostwo, w sposób niemiecki urządzone, zastępuje mu kraj rodzinny, dlatego też najlepszym jest kolonizatorem. Anglik czuje się najszcześniejszym po za obrębem Anglii, a sądząc się panem świata, narzuca też całemu światu swój język, swoje lawn-tennis i swoje whisky.

My zaś, Polacy, nie zdołamy się nigdy otrząsnąć z tęsknoty za chmurną naszą ojczyzną; przywiązanie do zagrody praocjów tkwi w naszym charakterze i krwi naszej, Odczułam to sama bardzo żywo, pomimo czarów i powabów Wschodu, pomimo wrażeń barwnych, tam doznanych. A dziś po latach tułaczach:

Ziemio rodzinna! chociaż tyś spowita
 Ciemnymi chmury—witam cię z tęsknotą,
 Tak jak sierota grób swej matki wita
 Bólem i łzami—a choćbyś mi, Boże,
 Oddał w dziedzictwo jaką gwiazdę złotą,
 I nad nią szczęścia rozświecił mi zorze,
 To ja tę gwiazdę pod stopy ci rzucę
 I na próg chaty ojczystej powrócę,
 O jedno ziarno zebrać naszej niwy,
 O jeden uśmiech serdeczny i tkliwy,
 O jedną perłę rodzinnego szronu,
 Na polnej zorzy, co liśćmi złotemi
 Zapłacze za mną kiedyś w naszej ziemi
 W godzinę smutku... i bólu... i zgonu!

K O N I E C.



72071
/1